

**Detektyw Monk i straż pożarna**

**Detektyw Monk jedzie na Hawaje**

**Detektyw Monk i dwie asystentki**

**Detektyw Monk w kosmosie**

**Detektyw Monk jedzie do Niemiec**

Lee Goldberg

Na podstawie serialu telewizyjnego Andy'ego Breckmana

# Detektyw Monk jedzie do Paryża

## Podziękowania i nota autora

Moja żona Valérie jest Francuzką, zatem w ciągu ostatnich dwudziestu lat bywałem w Paryżu wielokrotnie. W mojej książce znajduje się wiele autentycznych miejsc, ale również wiele zmyślonych. Bardzo przepraszam, zwłaszcza wszystkich krewnych mojej małżonki, za wszystkie geograficzne czy historyczne dowolności, których się dopuściłem, by zaspokoić swój niepokromiony zapał twórczy.

Wydarzenia w niniejszej książce rozgrywają się przed emisją odcinka telewizyjnego pod tytułem *Monk ucieka* i stanowią kontynuację wypadków opisanych w książce *Monk jedzie do Niemiec*.

W tym miejscu raz jeszcze pragnę podziękować za pomoc dobrym i cierpliwym mieszkańcom Lohr, a także moim przyjaciołom, Hermannowi Josze, Elce Schubert, Heiko Schmidt, Jasmin Steigler i Alexandrowi Schustowi oraz pracownikom hotelu Franziskushohe.

Moimi dłużnikami pozostaną także dr D. P. Lyle, Cara Black, Lee Lofland, Alexia Barlier oraz antropolog sądowy Gwen Haugen. Jestem im winien wdzięczność za wnikliwe porady techniczne, których zapewne nie pojąłem zbyt lotnie i nie wykorzystałem ich w odpowiedni sposób.

W czasie pracy sięgałem do kilku szczególnie przydatnych dla mnie książek, zwłaszcza *Paris Sewers*

*and Sewermen* Donalda Reida, *Paris Souterrain* Emanuela Gaffarda, *Paris Under-ground* Caroline Archer i *Subterrean Cities* Davida L. Pike'a.

Jak zawsze książka ta nie powstałaby bez pełnego entuzjazmu wsparcia Andy'ego Breckmana, Kristen Weber, Kerry Donovan, Giny Maccoby i Madison Goldberg. *Merci beaucoup!*

Książkę pisałem w Paryżu, Monachium, Nowym Jorku, South Lake Tahoe, Pittsburghu i Los Angeles... oraz w samolotach latających między tymi miastami.

Oczywiście czekam na Was na stronie [www.lee-goldberg.com](http://www.lee-goldberg.com)!

# 1

## Monk w Niemczech

Jeśli uważasz, że panujesz nad swoim życiem, tylko siebie oszukujesz. Człowiek nie ma pojęcia, co może mu stać na drodze.

Nie mówię o nagłych, często tragicznych wydarzeniach, przewracających życie do góry nogami, jak wypadek samochodowy, śmierć ukochanej osoby czy uderzenie huraganu, które zmiata dom z powierzchni ziemi. Mówię o nieoczekiwanych zmianach, które czynią wszystko bardziej interesującym i stawiają człowieka w sytuacjach, o których nie pomyślałby, że mogą mu się przytrafić.

Gdyby na przykład ktoś mi powiedział, że spędzę cały tydzień z Adrianem Monkiem w malowniczym miasteczku w Niemczech, w życiu bym mu nie uwierzyła. Więcej, powiedziałabym, że to po prostu niemożliwe.

A to dlatego, że Monkowi potrzeba odwagi i silnej woli, aby wyjść za próg swojego niesłychanie uporządkowanego i sterylnie wydezynfekowanego mieszkania w San Francisco.

Monk boi się zarzków, drzazg, książek do kolorowania, wymieszanych orzechów, zmechaconych nitki w kieszeni, kędzierzawych włosów, koszulek bez rękawów, kłębków kurzu, kulek przędzy, Neila Diamonda, ptasich odchodów, niedopiętych koszul,

płatków śniadaniowych, figurek kolekcjonerskich Chia Pets i tak wielu innych rzeczy, że sporządził listę swoich fobii z przypisami, historycznymi objaśnieniami, wykresami, fotografiami i szczegółowym indeksem.

Monk jest również niewzruszenie przekonany, że wszystko, co widzi i napotyka wokół siebie, musi podlegać jego osobiście pojętym zasadom powszechnego porządku. Otóż, mówiąc ogólnie, Monk chciałby, aby wszystko było parzyste, wyprostowane, zrównoważone, symetryczne, uporządkowane i trwałe — a ponieważ natura i ludzkość niechętnie się poddają takim zasadom, to świat zewnętrzny jest dla Monka nieustającym źródłem frustracji i lęków.

Co prawda strefa bezpieczeństwa Monka mocno się poszerzyła; zaczął bywać w różnych miejscach poza swoim mieszkaniem przy Pine Street i gabinetem swojego psychiatry na Pacific Heights. Ale gdy wyjeżdżamy za miasto, nadal jest nerwowy, a kiedy ośmielamy się przekroczyć granice sąsiedniego hrabstwa, traci oddech. Wolałby też nie przejeżdżać przez Bay Bridge bez kamizelki ratunkowej, zapasu prowiantu na sześć miesięcy, księdza oraz przyczepy ze wszystkimi swoimi meblami, pościelą i naczyniami kuchennymi.

Wszystko to rzecz jasna utrudnia Monkowi życie, więc radzi sobie, zatrudniając w pełnym wymiarze czasu asystentkę, która stara się usuwać mu z drogi każdą przeszkodę. Cóż, tak się składa, że tym biedaczyskiem jestem ja, Natalie Teeger. Nie mam zawodowych kwalifikacji do tego rodzaju pracy, chyba że do takich zalicza się wdowieństwo i samotne matkowanie dorastającej nastolatce.

Niełatwo być asystentką Adriana Monka, ponieważ nie tylko muszę przewidywać i eliminować mnóstwo potencjalnych zagrożeń, aby mógł funkcjonować w społeczeństwie, ale jeszcze załatwiać osobiste sprawunki, a do tego być jego szoferem, sumienną sekretarką i w miarę silną asystentką śledczą.

Monk pracuje jako konsultant w Departamencie Policji San Francisco, gdzie wcześniej był zatrudniony w wydziale zabójstw, dopóki jego żona, Trudy, dziennikarka, nie zginęła w wybuchu bomby podłożonej w samochodzie. Tragedia pogrążyła Monka w tak głębokiej żałobie, że na długie lata uczyniła go niezdolnym do zapanowania nad swoimi lękami.

Do dziś nie udało mu się rozwiązać zagadki śmierci Trudy, ale od tamtego dnia zdołał rozwikłać setki innych tajemniczych morderstw, które kapitana Lelanda Stottlemeyera i jego detektywów zapędzały w ślepy zaułek. Przy wielu okazjach byłem dla Monka doktorem Watsonem, Kato, Rico Tubbsem i Boyem Wonderem w jednej osobie.

Obsesyjna potrzeba porządkowania wszystkiego wokół siebie obdarzyła Adriana Monka zadziwiającą umiejętnością dostrzegania najdrobniejszych śladów i nielogiczności, które uchodziły uwagi wszystkich innych.

Dar i przekleństwo, jak nieraz mawiał.

Jego sposób postępowania w śledztwie, jak wszystko inne w życiu Monka, był męczący i drażniący nawet w najlepszym okresie, którym cieszyliśmy się właśnie przed tygodniem.

Monk był częściej radosny niż smutny, o wiele mniej małostkowy, a sprawy kryminalne rozwiązywał w mgnieniu oka, co wprawiało w zdumienie

Stottlemeyera i porucznika Randy'ego Dishera, prawą rękę kapitana.

Stottlemeyer nie krył wdzięczności dla Monka, choć jednocześnie cierpiało na tym jego poczucie własnej wartości.

- Nie wiem, po co tu w ogóle przyjeżdżam -zalił mi się kiedyś na jednym z miejsc zbrodni. -Mógłbym tu sterczeć cały miesiąc, a nie zauważyłbym tego, co Monk spostrzegł w pięć sekund.

- Za to przy śniadaniu może pan swobodnie wysypać na talerz płatki Cap'n Crunch - odpowiedziałam. - Monk wrzuca każdy osobno, bo musi być pewny, że każdy jest idealnie kwadratowy i że ma na talerzu parzystą liczbę płatków.

- Zamieniłbym talerz płatków na jego umiejętności detektywistyczne - stwierdził Stottlemeyer.

- Monk boi się wiatru - ostrzegłam.

- Trąby powietrznej? Huraganu?

- Najmniejszej bryzy - odparłam. - Czasami dręczy go koszmarny sen, w którym prześladowają go pustynne rośliny gnane przez wiatr.

- W San Francisco nie ma pustynnych roślin.

- Monk twierdzi, że mogą się pojawić - odpowiedziałam. - A jeśli to się zdarzy, będziemy wiedzieli, że nadszedł nasz sądny dzień.

Stottlemeyer uśmiechnął się, pogładził sumiaste wąsy i od razu poczuł się lepiej. Może istotnie brakowało mu zmysłu spostrzegawczości Monka, ale przynajmniej nie musiał się zamartwiać pustynnymi roślinami.

Wszyscy więc byli zadowoleni. Rzeczy miały się jak najlepiej.

Wtedy doktor Kroger, psychiatra Monka, na koniec jednej z sesji terapeutycznych niespodziewanie



oznajmił, że wyjeżdża na konferencję naukową do Lohr w Niemczech.

Monk popadł w całkowitą zapaść emocjonalną i umysłową. Taka była jego pierwsza reakcja. Sytuacja znacznie się pogorszyła, gdy doktor Kroger już wyjechał z kraju. W jednej chwili Monk zachowywał się histerycznie, by sekundę później zapaść w stan katatoniczny. Zapomniał, jak się przełyka. Zapomniał, jak się oddycha. Całkowicie zatracił zdolność rozwikływania zbrodni.

W rozpaczy, w akcie szaleństwa, który przejdzie zapewne do przestępczych annałów jako ekstremalny przykład naruszania prywatności, Monk postanowił podążyć śladem swojego psychoterapeuty.

Pojechałam z nim.

Wiem, co myślicie - Monk miał wytłumaczenie dla swojego wariackiego postępu, ale ja powinnam wiedzieć, czym to się może skończyć. Jako kobieta rozsądna, inteligentna i przestrzegająca prawa powinnam była odwieść Monka od tego zamiaru, a w wypadku niepowodzenia znaleźć sposób na zamknięcie go na tydzień za kratkami - dla jego własnego dobra.

Do moich obowiązków należało jednak ułatwianie Monkowi funkcjonowania w świecie, a Monk nie potrafił funkcjonować bez spotkań z terapeutą. Nasuwał się zatem jedyny prosty wniosek, żeby, bez względu na wszystko, jak najszybciej doprowadzić do spotkania Monka z psychiatrą. Po prostu działałam w jego najlepszym interesie.

No dobrze, kłamałabym, gdybym nie wyznała, że powodowało mną również kilka pobudek osobistych. Przede wszystkim chciałam wyrównać rachunki z doktorem Krogerem, który parę lat temu

nie powstrzymał Monka, który zamierzał się wprosić na moje hawajskie wakacje.

Podróż do Europy miała mi z nawiązką wynagrodzić tamtą niespełnioną chwilę wytchnienia na Hawajach, gdzie zamiast pływać w oceanie i opalać się na plaży, przez cały urlop musiałam się uganiać za Monkiem, który rozwiązywał zagadkę morderstwa. Doszłam do wniosku, że kiedy dotrzemy do Lohr, a Monk spotka się z terapeutą i odzyska równowagę, to między jego zwyczajowymi trzema sesjami w tygodniu uda nam się zwiedzić Niemcy.

Zapomniałam tylko, że Monk to Monk i gdziekolwiek się wybierze, tam nieuchronnie natrafi na zwłoki. Stało się tak nawet na weselu mojego brata, ale to już zupełnie inna historia i niepotrzebnie wybiegam naprzód.

Na pewno się zastanawiacie, w jaki sposób Monk poleciał samolotem do dalekich Niemiec, skoro robi mu się słabo na samą myśl o przejechaniu samochodem przez most nad zatoką San Francisco. Otóż poleciał dzięki pewnej małej, niebieskiej pigułce. Nie, nie mówię o viagrze.

Zażył dioxynl, eksperymentalny lek, który na dwanaście godzin wytlumia fobie i likwiduje hamulce psychiczne. Niestety na zmysł obserwacji działa równie przytępiająco jak kryptonit na Supermana, a co gorsza o sto osiemdziesiąt stopni zmienia osobowość Monka i na czas działania przemienia go w obrzydliwego, trudnego do zniesienia typa.

W Niemczech udało się nam odnaleźć doktora Rrogera, a Monk, jakżeby inaczej, rozwikłał przy okazji zagadki paru morderstw, o mały włos nie paląc nas przy tym żywcem.

Moje osmalone włosy jeszcze następnego ranka zalatywały spalenizną śmierci - och nie, wcale nie dramatyzuję! - toteż uznałam, że w ramach zadośćuczynienia za to, przez co musiałam przejść, zasłużyłam sobie na lepsze potraktowanie.

Po południu tego samego dnia mieliśmy odlatywać z Frankfurtu nad Menem, ale ponieważ tuż za miedzą leżała piękna Francja, to pomyślałam, że powinniśmy skorzystać ze sposobności i spędzić parę dni w Paryżu.

Obojgu nam dobrze by to zrobiło.

Postąpiłam więc tak, jak w mojej sytuacji postąpiłaby każda oddana i godna zaufania sekretarka.

Zmusiłam go do posłuszeństwa szantażem.

Poszłam do pokoju Monka w naszym małym hoteliku w Lohr i pokazałam mu zdjęcie, które zachowałam w telefonie komórkowym. Zostało ono zrobione wieczorem poprzedniego dnia, kiedy odurzony dioxynem Monk, z powodów zbyt skomplikowanych, aby je teraz wyluszczać, stał pokryty błotem niczym panierką i jadł niemyte jabłko brudnymi rękami.

Jak się spodziewałam, gdy spojrział na zdjęcie, z przerażenia stracił oddech.

Zagroziłam, że wyślę zdjęcie znajomym, jeśli nie zgodzi się przesunąć powrotu do San Francisco i pojechać na kilka dni do Francji - na jego rachunek. Miałam go w garści i dobrze to wiedział.

Monk przystał na moje warunki z entuzjazmem skazańca idącego pod gilotynę.

Mimo zwycięstwa wciąż piętrzyły się przede mną poważne przeszkody. Musieliśmy się dostać do Paryża, a na miejscu musieliśmy jeszcze znaleźć nocleg.

Dla większości ludzi nie przedstawiałoby to większego

problemu, ale jeśli podróżuje się z Adrianem Monkiem, jest to problem.

Jazda samochodem zajęłaby nam około pięciu godzin, co jest dość długim okresem na przebywanie z Monkiem w jednym pomieszczeniu, a poza tym nikt nie wie, w jakie tarapaty mógłby nas po drodze wplątać. Zresztą z samochodu nie mielibyśmy pożytku; przeciwnie, w Paryżu, gdzie wszędzie można dojść pieszo lub dojechać środkami komunikacji publicznej, stałby się tylko ciężarem. Natomiast na wynajęciu auta i opłatach parkingowych moglibyśmy zaoszczędzić masę pieniędzy.

Lot samolotem zajęłby nie więcej niż godzinę. Ale Monk bał się latać, chyba że był odurzony lekiem, lecz w takim wypadku przez następne dziesięć godzin byłby trudnym do zniesienia chamem (zakładając, że po kłopotach, w jakie wpadł poprzedniego dnia, w ogóle chciałby zażyć dioxynl). Z kolei bez pigułki Monk mógłby na pokładzie samolotu wpaść w dziki amok, a po wylądowaniu trafić do aresztu. W sumie kusząca perspektywa; gdyby Monka zamknięto w Bastylii, mogłabym się do woli włóczyć po Paryżu.

Moglibyśmy pojechać pociągiem, ale wydawało mi się, że ten rodzaj podróży łączy w sobie najgorsze cechy obu poprzednich.

Wybrałam więc samolot.

Teraz wystarczyło znaleźć dostęp do Internetu, zarezerwować lot i zapolować na jakiś nocleg.

Wymeldowaliśmy się z hoteliku, zostawiliśmy bagaże u jego właścicieli i ruszyliśmy pieszo przez główny plac miasteczka. Lohr to średniowieczne miasto, zbudowane między Menem a wzgórzami porośniętymi lasem Spessart. Były tu brukowane

ulice, szachulcowe kamieniczki oraz kamienna wieża wartownicza wznosząca się pięknie nad skośnymi dachami domów, iglicami kościołów i okrągłymi wieżyczkami starego zamku, w którym rzekomo mieszkała zła macocha królowny Śnieżki. Spacer po miasteczku kojarzył mi się z wędrówką po krainie baśni. Miałam wrażenie, że w każdym momencie mogę wpaść na elfa albo jakiegoś czarnoksiężnika z długą brodą.

Jednak do Monka w ogóle nie docierała baśniowa aura otoczenia. Trwożliwie patrzył pod nogi, z ostrożnością stawiając kroki na kocich łbach, jakby szedł przez pole minowe.

- Jak tak można żyć? - zapytał.  
- Brukowane ulice są tu od stuleci - odpowiedziałam.  
- I nie mieli czasu, żeby je wyasfaltować?  
- Mam nadzieję, że nigdy ich nie wyasfaltują.  
- Może jeszcze nie powinni mieć bieżącej wody, elektryczności i penicyliny, co?

- To co innego - stwierdziłam. - Te ulice przydają Lohr średniowiecznego uroku.

- Nie wiem, co może być urokliwego w zarazach i śmierci - powiedział Monk. - Tymi ulicami spływały kiedyś ścieki.

- Pan nie dostrzega najbardziej istotnej rzeczy, panie Monk. To nie jest ani lunapark, ani bajkowa wioska odtworzona w centrum handlowym. To coś autentycznego. Gdyby zabrać stąd samochody i ludzi z telefonami komórkowymi, to zobaczyłby pan tyle samo, co mieszkaniec tego miasteczka widział siedemset lat temu.

- W tym właśnie problem - stwierdził Monk. - Nie żyjemy już w czasach średniowiecza. Lohr powinno dołączyć do cywilizowanego świata. Ulice powinna pokryć gładka, równiutka warstwa asfaltu.

- Czy asfalt ma w sobie jakiś urok?  
— Jest płaski, gładki, jednobarwny — wyliczał Monk. - Jednolity, w najgłębszym sensie tego słowa. Długo mógłbym wymieniać.

- Asfalt nie ma charakteru. Stary bruk powinien być dobrze utrzymywany i prawnie chroniony.

Chodzimy po żywej historii.

— Chodzimy po jednej wielkiej ubikacji — odparł Monk. — Będę musiał sobie kupić nowe buty.

Doszliśmy do parterowego z pruskiego muru budynku, który wyglądał tak, jakby lada moment miał się zawalić. Drzwi wejściowe były niskie, niemal kwadratowe i niewiele większe od frontowych okien.

Właściciele naszego hoteliku powiedzieli mi, że przez wieki mieściła się tu tawerna, a dzisiaj jest tu kawiarenka internetowa.

Zajrzałam do środka. Panował tam półmrok. Podłoga była zbita z litych desek, a ściany wymurowane z kamiennych ciosów. Strop spoczywał na grubych, drewnianych belkach.

Wokół jednego z czterech komputerów z płaskimi monitorami, ustawionych na stole wyciętym z długiego pnia, pochylało się troje dwudziestoparoletnich turystów z plecakami.

Za ladą, również wyciętą z jednego pnia, siedziała młoda kobieta słuchająca muzyki z iPod'a, a na ladzie wystawiony był dzbanek kawy i talerz różnych ciast.

Urządzenia elektroniczne zdecydowanie nie pasowały do starej tawerny. Można było pomyśleć, że w czasoprzestrzennej ciągłości powstała tu jakaś

wyrwa i fragmenty przyszłości przesączyły się w przeszłość. Ta wizualna niezgodność wywołała we mnie jakiś wewnętrzny niepokój i zapewne oddziaływała na mnie tak, jak na Monka działała miseczka płatków wymieszanych z rodzynkami.

Miałam nadzieję, że lęki Monka się na mnie nie przenoszą.

- Nie masz zamiaru tu wchodzić, prawda? — zapytał ostrożnie Monk.

- Muszę przez Internet dokonać rezerwacji samolotu i noclegów - wyjaśniłam. - To nie potrwa długo.

- Nie wolno ci tego robić — zaoponował. - Budynek nie jest bezpieczny.

- Stoi tu od setek lat - stwierdziłam.

- To znaczy, że dzień jego zawalenia się dawno już minął.

- Chyba jednak zaryzykuję.

- Załóż chociaż kask ochronny.

- Nie mam przy sobie kasku.

- Nie zapakowałaś kasku? - zdumiał się Monk.

- A pan zapakował?

- Ja byłem odurzony pigułką. Jestem jak najbardziej usprawiedliwiony. Czy ciebie coś usprawiedliwia?

- Nie mam w domu kasku.

- Nie żartuj. Każdy ma w domu kask ochronny,

- Nie, nie każdy.

- Mówię o Ameryce.

- Ja też - odparłam. - Zresztą nawet gdybym miała w domu kask, po co miałabym go zabierać w podróż?

- Na wypadek, gdyby przyszło ci wejść do budynku przeznaczonego do rozbiórki.

- Ten budynek nie jest przeznaczony do rozbiórki.
- To chatka z gliny - przekonywał Monk. - To gorzej niż budynek przeznaczony do rozbiórki.
- Wchodzę - oznajmiłam. - Gdzie będzie pan na mnie czekał?
- Dokładnie w tym samym miejscu - odpowiedział Monk. - Na tych dwóch kocich łbach niebezpiecznie balansuje całe moje życie.
- Takie odczucie towarzyszy panu zawsze, niezależnie od tego, gdzie pan stoi - zauważyłam. - Trzeba odkrywać nieznanne. Otworzyć się na nowe wyzwania. Żyć choć trochę.
- To nie życie. To szaleństwo.
- Uważa pan, że włączenie się po świecie za psychoterapeutą jest objawem równowagi psychicznej?
- Oczy Monka rozszerzyły się gwałtownie i zrozumiałam, że popełniłam ogromny błąd, wspominając doktora Krogera. Przypomniałam Monkowi, po co w ogóle przyjechaliśmy do Niemiec. Teraz modliłam się w duchu, żebym nie musiała zmagać się z tą kwestią przez następne dwa dni.
- Doktor Kroger jedzie z nami do Paryża, tak? - chciał się upewnić Monk.
- Pokręciłam głową.
- Dzisiaj rano odleciał do San Francisco. Monk w szoku wybałuszył na mnie oczy.
- Beze mnie?
- Taka była umowa.
- Co to za idiotyczna umowa?
- Umowa, która uchroni pana przed koniecznością szukania nowego psychiatry. Doktor Kroger bardzo się na pana gniewa. Potrzeba mu teraz trochę czasu, by mógł ochłonąć.



—Jak można być takim egoistą? — zżymał się Monk.  
- A moje potrzeby?  
—Może pan odbywać swoje sesje na odległość, drogą telefoniczną.  
—Telefonowanie to nie to samo.  
—Zważywszy na okoliczności, to jedyne ustępstwo, na które chciał przystać doktor Kroger. Jakoś to pan przeżyje.  
—Wątpię.  
Istniała realna groźba, że zwątpienie Monka przerodzi się w samospelniającą się przepowiednię, ponieważ jeśli będzie nadal uparty, zapatrzony w siebie i kłótlivy, to prawdopodobnie uduszę go własnymi rękoma.

## 2

### Monk jedzie na lotnisko

Zarezerwowanie biletów lotniczych było proste, ale znalezienie w Paryżu noclegu, który odpowiadałby wyjątkowym wymaganiom Monka, należało do zadań zdecydowanie niełatwych.

Monk był człowiekiem o nadzwyczaj skromnych potrzebach, a do tego potwornym dusigroszem, wiedziałam więc, że czterogwiazdkowy hotel w ogóle nie wchodzi w grę. Podobnie jak wiedziałam, że Monk nie zatrzyma się też w hotelu trzygwiazdkowym, nie dlatego, aby był snobem, ale dlatego, że do parzystej liczby brakowało jednej gwiazdki.

Musiałam więc szukać w hotelach dwugwiazdkowych, które prawdopodobnie były na jego kieszeń, ale zapewne nie spełniały jego wyśrubowanych standardów czystości, a obsługa nie przejmowała się każdym drobiazgiem.

Na domiar złego wydawało się, że każdy rekomendowany hotel dwugwiazdkowy, jaki znalazłam w sieci, od dawna miał zarezerwowane wszystkie miejsca. Na szczęście w końcu udało mi się znaleźć hotel przy Avenue Carnot, jedną przecznicę od Łuku Triumfalnego, który był w miarę niedrogi, na zdjęciu wyglądał dość symetrycznie, a pokoje zdawał się utrzymywać w znakomitej czystości. Zarezerwowałam dwa jednoosobowe pokoje i mogliśmy ruszać w drogę.

Zabraliśmy bagaże z hoteliku i ruszyliśmy samochodem na lotnisko we Frankfurcie. Choć obowiązywało tu ograniczenie prędkości do stu dwudziestu kilometrów na godzinę, to Monk upierał się, abym jechała z prędkością dokładnie osiemdziesięciu sześciu kilometrów na godzinę, która wydawała mi się niedorzeczna.

- To trzydzieści cztery kilometry mniej niż zezwalają przepisy - protestowałam.

- To tyle samo, co pięćdziesiąt cztery mile na godzinę - wyjaśnił Monk. - Taką mamy dozwoloną prędkość w Ameryce.

- Nieprawda. Dozwolona prędkość w Ameryce to pięćdziesiąt pięć mil na godzinę - odparłam.

- Pięćdziesiąt cztery to liczba parzysta.

- Sto dwadzieścia to również liczba parzysta.

- Nie, jeśli dokonasz przeliczenia.

- Jakiego przeliczenia?

- Sto dwadzieścia kilometrów to siedemdziesiąt pięć mil.

- W porządku, w takim razie będę jechała z prędkością stu dziewiętnastu kilometrów na godzinę.

- To liczba nieparzysta.

- Po przeliczeniu na mile parzysta.

- Na szybkościomierzu będę jednak widział wskazanie liczby nieparzystej.

- To niech pan nie patrzy na szybkościomierz.

- To dwadzieścia mil więcej od dozwolonej prędkości.

- W Ameryce - powiedziałam. — My jesteśmy w Niemczech, panie Monk.

- Ale jesteśmy Amerykanami - odparł. - Prawo obowiązuje nas niezależnie od tego, gdzie jesteśmy.

- Nieprawda. Obowiązuje nas teraz niemieckie prawo, które właśnie naruszamy, bo jedziemy niebezpiecznie powoli.

- To oksymoron.

- Co jest oksymoronem?

- Niebezpiecznie powoli - odpowiedział. - Powoli nigdy nie jest niebezpiecznie. Powoli zawsze znaczy bezpieczniej.

- Zbyt wolna jazda czyni z nas zawalidrogę. Może w nas wjechać inny pojazd.

- Tylko jeśli będzie jechał za szybko.

Nie miałam pod ręką żadnych tabletek od bólu głowy ani środków uspokajających, więc postanowiłam nie kontynuować tego jałowego sporu.

Jechałam cały czas prawym pasem, wlokąc się ze stałą prędkością osiemdziesięciu sześciu kilometrów na godzinę.

Wściekli kierowcy kładli się na klaksony, wyprzedzając nas w okamgnieniu, a ich auta były jak rozjuszony zwierzęta.

Na szczęście przezornie skalkulowałam czas przejazdu na lotnisko i kiedy tam przybyliśmy, mieliśmy w zapasie mnóstwo czasu. Przy wejściu do samolotu stanęliśmy nawet przed pilotami.

Po chwili nadeszła cała załoga, maszerując równym krokiem w niemal tanecznym rytmie. Wyglądało to tak, jakby prezentowali przed pasażerami swoje umundurowanie, a nie wchodzili na pokład samolotu.

Piloci mieli na sobie świeżo odprasowane mundury w granatowym kolorze, sztywne czapki z błyszczącym rondem, a wokół mankietów opaski haftowane złotą nicią, przydające im wyglądu wysokich rangą oficerów wojskowych. Nie widziałam najmniej-

szego powodu, żeby musieli się tak ubierać, ale doszłam do wniosku, że pewnie miało to na celu wzbudzenie autorytetu i pokazanie, że ludzie ci przeszli rygorystyczne szkolenie, są nad wyraz zdyscyplinowani, a każdy z nich jest człowiekiem honoru.

Dla kontrastu uniformy stewardes, w formie obcisłych sukienek ledwie sięgających kolan, były uszyte w pełnym seksapilu stylu retro, przywodzącym na myśl lata sześćdziesiąte, martini, Deana Martina i klub Playboya. To ostatnie skojarzenie wywoływały może nie tyle sukienki, ile jasnoczerwone bereciki, rękawiczki z czerwonej skóry i buty na wysokich obcasach z ostrymi czubkami. Nie zdziwiłabym się, gdyby stewardesy miały jeszcze króliczy ogonek i pejczyk.

Wszyscy członkowie załogi ciągnęli za sobą identyczne walizeczki na kółkach o wymiarach w sam raz takich, aby zmieściły się do schowka na bagaż podręczny lub pod fotel. Podziwiałam, jak niewielu rzeczy potrzebowali w czasie podróży. To zapewne jedna z korzyści chodzenia przez cały dzień w mundurze.

Wiedziałam, że Monk byłby szczęśliwy, gdybym także nosiła uniform. Nie dlatego, że lubił seksa-pil, ale dlatego, że lubił jednolitość.

Monk ubierał się zawsze tak samo.

Koszule ze stuprocentowej bawełny w złamanej bieli, z ośmioma guzikami, numerem kołnierzyka czterdzieści, zapinane pod samą szyję. Spodnie z mankietami i zaprasowanymi zakładkami, zawsze z ośmioma szlufkami na pasek. Do tego brązowa marynarka i para równie brązowych skórzanych butów Hush Puppies.

Jego codzienny nieformalny uniform był równie sztywny jak mundury załogi naszego samolotu i Monk nosił go z taką samą powagą i dumą.

Kiedy załoga nas mijała, Monk zastąpił drogę jednemu z pilotów - temu, którego rękawy zdobiło najwięcej złotych belek. Mężczyzna miał podwójny podbródek, siwiejące włosy na skroniach, a pod oczami worki tak duże, że można by je nadać razem z naszym bagażem.

- Przepraszam - zaczął Monk. - Czy pan jest kapitanem samolotu?

- Owszem, tak.

Pozostali członkowie załogi zatrzymali się z ciekawieni.

- Czy dobrze się pan wyspał dzisiaj w nocy?

- Tak—odpowiedział kapitan z uprzejmym uśmiechem. - Bardzo dziękuję za troskę.

- Spał pan pełne osiem godzin?

- Mniej więcej.

- Zatem nie jest pan pewien. Zawsze jest pan tak zdezorientowany?

- Nie jestem zdezorientowany.

- Ale stracił pan poczucie czasu. - Monk zmrużył oczy i naraz pociągnął nosem. - Czy to woń alkoholu?

- To płyn do płukania ust — wyjaśnił kapitan.

- Poddałby się pan dobrowolnie testowi, który mógłby to potwierdzić?

- Kim pan jest?

- Zatroskanym pasażerem - wyjaśnił Monk. - Bardzo, bardzo, bardzo zatroskanym pasażerem.

Musiałam coś zrobić, zanim rozmowa przybierze zły obrót. Zrobiłam krok do przodu i puściłam do kapitana wielki, radosny, amerykański uśmiech.

- Pan będzie łaskaw wybaczyć mojemu przyjacielowi, kapitanie - rzekłam. - To nic osobistego. Po prostu bardzo boi się latania.

- Rozumiem - powiedział do mnie kapitan, a potem odwrócił się do Monka. - Może pan być spokojny. Zapewniam, że moje siły w żadnym razie nie są nadwątlone. W swojej karierze zawodowej odbyłem setki lotów i nigdy nie miałem najmniejszego incydentu. Monk podniósł jakiś kawałek zapisanego papieru i cofnął się kilka kroków od kapitana.

- Potrafi pan przeczytać, co tu jest napisane? - zapytał.

- Nie - przyznał kapitan.

- I uważa pan, że może usiąść za sterami?

- Życzę panu przyjemnej podróży. - Kapitan dotknął palcami czapki i odszedł w kierunku przejścia do samolotu.

- Tu wcale nie jest tak napisane - powiedział Monk i ruszył za kapitanem, ale zagroziłam mu drogę.

- Niech pan przestanie dokuczać załodze - prosiłam. — Ściągnie pan na nas poważne kłopoty.

- Pilot to skończony pijak. Czy może być większy kłopot?

- Niechże pan mówi ciszej. - Odciągnęłam go na bok. - Zanim się pan zorientuje, że jesteśmy w powietrzu, lot się skończy.

W tej chwili z głośników rozległ się dzwonek, a agent odprawy lotu, mężczyzna w bluzce polo z logo linii lotniczych na piersi, zaczął mówić coś przez minutę po niemiecku, by po chwili zapowiedzieć w języku angielskim, że wejście na pokład rozpoczną pasażerowie z miejscami w tyle samolotu, w rzędach numerowanych od dwunastu do dwudziestu

czterech. Jeszcze nie skończył ogłoszenia, a ludzie już zaczęli formować kolejkę do odprawy.

Monk podszedł na czoło kolejki, gdzie stał mężczyzna o gabarytach domowej lodówki, ściskając w potężnej dłoni bilet.

- Teraz wchodzą na pokład pasażerowie, którzy zajmują miejsca z tyłu - powiedział Monk do mężczyzny.

- Wiem — odparł grubas.

Monk skinął głową na jego bilet.

- Pan siedzi w rzędzie siedemnastym. Wchodzi pan przed innymi.

- Byłem pierwszy.

- To nie ma nic do rzeczy. Powinien pan się cofnąć co najmniej o siedem osób lub nawet o czterdzieści dwie, jeśli wszystkie miejsca za panem są zajęte. Proszę się zatem przesunąć. Ustawimy wszystkich we właściwej kolejności. - Monk odwrócił się do kolejki. - Proszę państwa, proszę pokazać bilety. Kto siedzi w rzędzie dwudziestym czwartym?

Sześć osób z różnych miejsc w kolejce podniosło ręce i pomachało biletami.

Monk przeprowadził ich na początek kolejki.

- Państwo powinniście stać tutaj - mówił. - Co też państwu przyszło do głowy, żeby stawać tak daleko?

Grubas warknął groźnie.

- Przede mną nikt nie stanie.

- Jeśli zajmowanie pierwszego miejsca w kolejce jest dla pana takie istotne, to powinien był pan kupić bilet w rzędzie dwudziestym czwartym. Nie zrobił pan tego. Siedzi pan w rzędzie siedemnastym. Jakoś musi pan z tym żyć.

W tym momencie podszedł agent odprawy lotu.



- Jest jakiś problem, proszę państwa? - zapytał uprzejmie.

- Ten mężczyzna ma rezerwację w rzędzie siedemnastym, a upiera się, aby wejść jako pierwszy - powiedział Monk.

- Na początek wpuszczamy pasażerów z tylnych rzędów, od dwunastego do dwudziestego czwartego - oznajmił agent.

- Właśnie - przytaknął zadowolony Monk, odwracając się do grubasa. - Pan będzie łaskaw usunąć się na bok i pozwolić nam uformować odpowiednią kolejkę.

Grubas powiedział coś do agenta po niemiecku, a ten zwrócił się wprost do Monka.

- Proszę pana, ten dżentelmen stanął pierwszy w kolejce. Jeśli siedzi między rzędem dwunastym a dwudziestym czwartym, to zostanie teraz wpuszczony.

- Wiem - stwierdził Monk. - Chodzi tylko o to, że nie może być pierwszy.

- Owszem, może - oświadczył agent.

- Przecież sam pan mówił, że pierwsi wchodzi ci pasażerowie, którzy siedzą z tyłu samolotu - powiedział Monk. - Ten mężczyzna siedzi w rzędzie siedemnastym. Nie umie pan liczyć? Czy też liczenie wstecz wykracza poza pańskie możliwości intelektualne?

Chwycałam Monka mocno za ramię i odciągnęłam na bok jak niegrzeczne dziecko. Zaczynałam żałować, że nie pojechaliśmy do Paryża samochodem.

- Co z panem jest? - zapytałam.

- Ze mną? Raczej z nimi. Nie potrafią liczyć.

- Nie wpuszczają pasażerów w kolejności od

ostatniego rzędu do pierwszego. Chodzi o to, że w pierwszej grupie może wejść każdy pasażer, który ma miejsce w rzędach pomiędzy dwunastym, a dwudziestym czwartym.

- Wcale tak nie powiedzieli.
- Ale to mieli na myśli.
- W takim razie powinni byli powiedzieć to, co mieli na myśli.
- Może mówili po niemiecku, ale w tłumaczeniu znaczenie się zatarło.
- Idiocyzm tego pomysłu w każdym razie się nie zatarł.

Podczas gdy część pasażerów zajmowała miejsca w tylnej części samolotu, Monk zaczął ustawiać pozostałe osoby w odwrotnej kolejności, na podstawie numerów miejsc na biletach.

Pozwoliłam mu, bo miał zajęcie i nie absorbował więcej uwagi agenta odprawy lotu. Niewykluczone, że również pasażerowie mu na to pozwolili, bo podobnie jak ja stracili ochotę, aby się z nim spierać.

Kiedy wezwano drugą grupę pasażerów, Monk zaczął podprowadzać każdego osobno do wejścia, zgodnie z numerami miejsca i rzędu.

Kiedy przechodziliśmy obok agenta odprawy lotu, Monk spojrzął na niego spode łba.

- Widzi pan, o ile teraz łatwiej? Mam nadzieję, że to doświadczenie czegoś pana nauczy.

Agent był na tyle mądry, że uśmiechnął się tylko i nic nie odpowiedział. Łatwo mu przyszło. Dla niego to koniec kłopotów. Ale dla mnie i dla reszty pasażerów jeszcze nie.

To już był diabelski lot, a przecież jeszcze .nawet nie wystartowaliśmy.

## Monk i nieprzyjazne niebo

Po wejściu na pokład usadowiliśmy się w swoich fotelach w ósmym rzędzie. Ja przy oknie, a Monk w środku. Miejsce z brzegu pozostało puste.

Wiedziałam, że nie ma sensu prosić Monka, aby się przesiadł i zrobił nam obojgu więcej miejsca. Nie było mowy, aby usiadł na fotelu z numerem nieparzystym (technicznie rzecz biorąc, oznaczeniem były litery, nie liczby, ale dobrze wiedziałam, że Monk i tak je odlicza).

Jako ostatnia weszła na pokład samolotu para małżonków, która usiadła obok nas po drugiej stronie przejścia między rzędami. Byli młodzi, atrakcyjni i najwyraźniej dobrze sytuowani. Mieli na sobie stylowe kurtki sportowe firmy Lacoste, buty Nike'a, a na rękach takie same szwajcarskie zegarki marki Ebel. Chociaż oboje nosili rzeczy tej samej marki, to wcale nie byli podobnie ubrani i nie sądzę również, aby świadomie zamierzali być tak samo zmanierowani. Zauważyłam, że ludzie, którzy razem żyją mają skłonność do robienia wspólnych zakupów. Moja córka i ja mamy wiele rzeczy tej samej marki, choć ona wygląda w nich dużo lepiej ode mnie.

Mężczyzna niósł torbę, której rączka obwieszona była postrzępionymi etykietkami z odpraw bagażowych. Otworzył nad sobą schowek na bagaż pod-

ręczny, który jednak okazał się zapełniony, więc obrócił się i otworzył pusty schowek nad naszymi głowami. Kiedy zaczął upychać do niego torbę, odezwał się Monk.

- To nasz schowek - powiedział krótko.

- Jest pusty.

Mężczyzna był Niemcem i od razu wiedziałam, że odtąd, dzięki Adrianowi Monkowi, będzie szczerze nienawidził amerykańskich turystów.

- Ale należy do naszego rzędu — nie ustępował Monk. - Musi pan skorzystać ze schowka nad własnym fotelem.

- Nasz jest zapełniony - powiedział mężczyzna.

- Przykro mi, ale takie obowiązują zasady. Jeśli nie zmieści pan torby pod fotelem, będzie musiał pan poprosić stewardesę, aby przeniosła ją do luku bagażowego.

- Przeleciałem tymi liniami dziesiątki tysięcy kilometrów. Świetnie znam obowiązujące tu zasady. Bagaż podręczny można włożyć do każdego schowka, czy to się panu podoba czy nie.

Mężczyzna wcisnął torbę do schowka, zatrzasnął z hukiem drzwiczki i usiadł na swoim miejscu. Monk spojrzał na mnie wymownie.

- Awanturnik - powiedział. - Nie powinniśmy zawiadomić kapitana?

- Myślę, że kapitan ma ważniejsze sprawy na głowie.

- Masz rację - przyznał Monk. - Powinniśmy zawiadomić stewardesy.

- Takie rzeczy ich nie interesują.

Tymczasem pierwsza stewardesa zdjęła ze ściany mikrofon i przedstawiła pasażerom najpierw siebie, a potem wszystkich członków załogi.

Stewardesa miała na imię Marise i niebawem monotonnym głosem zaczęła rutynowe objaśnianie zasad bezpieczeństwa lotu. Najpierw w języku niemieckim, a potem po angielsku. Zapewne każda osoba na pokładzie, bez względu na to, jakim językiem się posługiwała, potrafiłaby z pamięci wyrecytować jej przemowę.

- W razie raptownego spadku ciśnienia w samolocie maska tlenowa automatycznie opadnie ze skrytki nad siedzeniem. Aby otworzyć dopływ tlenu, wystarczy naciągnąć maskę na twarz, przycisnąć ją mocno do nosa i ust i normalnie oddychać. Należy pamiętać, aby najpierw samemu założyć maskę, a dopiero potem pomagać innym.

Monk podniósł rękę.

Marise zdawała się być zaskoczona. Prawdopodobnie pierwszy raz w życiu ktoś jej przerwał procedurę. Monk machał ręką, aby stewardesa go dostrzegła.

- Słucham pana?

- Co może spowodować raptowny spadek ciśnienia?

- Rozmaite czynniki — odpowiedziała stewardesa. - To się zdarza bardzo rzadko.

- Mówi pani „rozmaite”. Czy potrafiłaby pani wyrazić się ściślej?

- Nie - odparła krótko Marise i mówiła dalej: - Kamizelka ratunkowa znajduje się w worku pod każdym fotelem. W wypadku awaryjnego lądowania na wodzie należy rozłożyć kamizelkę, włożyć ją przez głowę...

Monk znowu podniósł rękę. Marise demonstrowała, jak trzeba zakładać kamizelkę ratunkową, i nie zwróciła na niego uwagi.

- ...w taki sposób. Następnie należy przyciągnąć paski u dołu kamizelki i spiąć je klamerką. Aby napędnąć kamizelkę powietrzem, wystarczy moc no pociągnąć za czerwony sznurek, ale dopiero po opuszczeniu samolotu.

Monk trzymał w górze obie ręce i gwałtownie nimi machał.

- Słucham pana? - przerwała stewardesa. - O co tym razem chodzi?

- Byłaby pani uprzejma zacząć od początku? Zapomniałem robić notatki.

- Nie ma takiej potrzeby - powiedziała Marise. - Wyczerpującą instrukcję zasad bezpieczeństwa znajdzie pan na karcie w kieszeni fotela przed panem.

- Na karcie? — zdziwił się Monk. - Naprawdę uważa pani, że na jednej karcie da się pomieścić wszystko, co powinniśmy wiedzieć o bezpieczeństwie lotu?

- Owszem - odparła stewardesa.

- Więcej informacji otrzymam przy zakupie samolociku w sklepie modelarskim.

Szturchnęłam Monka łokciem.

- Niechże pan przestanie przeszkadzać stewardesie.

- Wygłosiła ledwie trzyminutową przemowę. To niemożliwe, aby zawarła w niej wszystkie przypadki, które mogą się nam przytrafić.

- Po to właśnie ma pan kartę.

Monk wyciągnął kartę i podsunął mi ją pod oczy.

- W karcie nie jest napisane nic więcej ponad to, co powiedziała stewardesa. Co będzie, jeśli się zderzymy z innym samolotem? Ani słowa. Co bę-

dzie, jeśli zbije się okno? Ani słowa. Co będzie, jeśli wybuchnie pożar? Ani słowa. Co będzie, jeśli wpadniemy w trąbę powietrzną? Ani słowa. Co będzie, jeśli rozbijemy się na bezludnej wyspie i będziemy musieli budować własne społeczeństwo? Ani słowa.

- Nie są w stanie powiedzieć o wszystkim.

- Powinni się chociaż postarać. Stewardesa zbliżała się do końca wykładu.

- Za chwilę zaczniemy kołować na pas startowy. Jeśli państwo tego jeszcze nie zrobili, uprzejmie proszę schować swoje rzeczy do kieszeni w fotelu przed sobą lub do schowków nad głowami.

Monk podniósł rękę. Marise z widocznym wysiłkiem przytłumiła głuchy jęk.

- Proszę bardzo, pan w ósmym rzędzie - powie działa. - Znowu.

Monk wstał i wskazał palcem mężczyznę w sąsiednim rzędzie.

- On włożył swoją torbę do naszego schowka. Mężczyzna wstał.

- Nasz schowek jest pełen.

- Regulamin to regulamin - stwierdził Monk.

- Pan jest idiotą - nie wytrzymał mężczyzna.

- Heinrich. - Żona złapała go za rękaw. - *Bitte*.

Dobrze wiedziałam, co czuje.

- Też pociągnęłam Monka za rękaw.

- Niech pan usiądzie - powiedziałam. - Proszę.

- Pasażerowie mają prawo umieścić bagaż pod ręczny w dowolnym schowku, w którym znajduje się wolne miejsce - oznajmiła sucho Marise.

Mężczyzna uśmiechnął się drwiąco do Monka i obaj usiedli.

- Co to za linie lotnicze? - Monk nie mógł wyjść z oburzenia.

- Takie, które wyrzucą nas z samolotu, jeśli nie zacznie pan się dobrze zachowywać.

- Ja przestrzegam regulaminu - stwierdził i spojrzał spode łba na Heinricha. - To jego powinni wyrzucić z samolotu.

Stewardesa wróciła do przemowy.

- Prosimy o wyłączenie na czas lotu telefonów komórkowych, pagerów i innych bezprzewodowych lub zdalnie sterowanych urządzeń, ponieważ mogą one zakłócać działanie aparatury nawigacyjnej i komunikacyjnej samolotu.

Monk znowu podniósł rękę, ale stewardesa udawała, że go nie widzi. Nie była wielką aktorką.

- Z chwilą gdy ustabilizujemy pułap lotu, będzie można korzystać z laptopów, iPodów i innych urządzeń elektronicznych - mówiła. - Prosimy jednak czekać na sygnał załogi, że używanie tych urządzeń jest dozwolone.

Monk machał już obiema rękami i gwizdał.

- Słucham pana?

Monk wstał.

- Skoro telefon komórkowy, iPod i różne inne urządzenia elektroniczne są takie niebezpieczne, to dlaczego pozwalacie je wносить na pokład samolotu?

- Jeśli są wyłączone, nie stwarzają żadnego zagrożenia w czasie lotu.

- Pistolet też nie stwarza zagrożenia, jeśli nikt z niego nie strzela - zauważył Monk. - Co będzie, jeśli jakiś szaleniec zechce w samobójczym odruchu zatelefonować do domu? Uważam, że wszystkie takie urządzenia powinniście przed startem zarekwirować.

- To nie jest konieczne - odpowiedziała Marise.

- Uważam, że jest.



- Pan jest kompletnym idiotą- odezwał się Heinrich.

Żona trąciła go łokciem.

- Nie rozmawiaj z niepoczytalnym człowiekiem. Tylko pogarszasz sytuację.

- Przepraszam, Gertrude - powiedział Heinrich. - Masz rację.

Pociągnęłam Monka z powrotem na fotel.

- Błagam, panie Monk. Niech pan spróbuje nie spierać się ze stewardesą.

- Nie pozwalają wnieść do samolotu butelki wody, ale wolno wnosić urządzenia, które mogą uszkodzić system nawigacyjny w czasie lotu? Jeszcze nigdy żaden samolot nie roztrzaskał się o samotną górę z powodu butelki wody. Co oni sobie wyobrażają?

- Nie wiem.

Nie chciałam tego głośno przyznawać, ale rozumowaniu Monka nie można było odmówić logiki.

- Niewykluczone - ciągnął Monk - że po prostu kłamią w kwestii rzekomego zagrożenia ze strony telefonów komórkowych. Jeśli istotnie tak jest, powinniśmy ich zaskarżyć za celowe wywoływanie stresu emocjonalnego.

- Stresu emocjonalnego?

- Teraz nie mogę przestać myśleć o telefonach komórkowych, które znajdują się na pokładzie naszego samolotu. Co by było, gdybyś nie wyłączyła telefonu i gdyby raptem zadzwoniła do ciebie Julie, posyłając nas korkociągiem w otchłań?

Monk tak bardzo był pochłonięty zrządzeniem, że nie dotarła już do niego reszta instruktażu stewardesy. Ale odtąd sama zaczęłam myśleć o spadaniu korkociągiem w otchłań. Sprawdziłam, czy

rzeczywiście wyłączyłam telefon komórkowy. Wyłączyłam.

Samolot zaczął wolno kołować na pas startowy, a stewardesy usiadły na swoich fotelach i zapięły pasy bezpieczeństwa.

Monk wychylił się ze swojego siedzenia i pomachał nerwowo w kierunku stewardesy, by mogła go zauważyć. Jednak Marise już na niego nie zważała. Monk wcisnął parokrotnie guzik przywołania stewardesy i znowu zamachał ręką.

- A teraz o co panu chodzi? - zapytałam. Monk nie zwracał na mnie uwagi, a stewardesa nie zwracała uwagi na Monka.

- Marise! - krzyknął Monk. - Halo! Marise! Zniecierpliwiona stewardesa odpięła pasy, wstała i podeszła do naszych miejsc.

- Zaraz startujemy — powiedziała. — Czy to pilne?

- Z jakiej racji pasażerowie mają pasy zapięte tylko na biodrach, a załoga na biodrach i ramionach?

- To standardowe zabezpieczenia — odpowiedziała.

- Czy nie powinniśmy posiadać takich samych środków bezpieczeństwa co załoga?

- Jest pan zupełnie bezpieczny, proszę pana.

- Świetnie. W takim razie niech pani usiądzie na moim miejscu, a ja zajmę pani miejsce.

Stewardesa nie wytrzymała.

- Proszę pana, czy chce pan wylecieć z samolotu? - zapytała dosadnie.

- Ależ nie - odparł Monk. - Właśnie dlatego chciałyby zapiąć dodatkowe pasy na ramionach.

Pochyliłam się nad Monkiem, by powiedzieć coś do Marise.

- Proszę się nim nie przejmować. To tylko zde-

nerwowanie przed startem. Kiedy wzbijemy się w powietrze, będzie już spokojny.

— Mam nadzieję. Dla jego własnego dobra — od powiedziała stewardesa.

Spojrzała jeszcze na Heinricha i Gertrudę, którzy spleli dłonie na poręczu między fotelami, i wróciła na swoje miejsce.

Spojrzałam groźnie na Monka.

— Niech się pan nie odzywa do końca lotu.

- Masz rację - stwierdził. - Powiniennem oszczędzać struny głosowe na krzyk, gdy runiemy na łeb na szyję.

W czasie startu Monk przyjął pozycję ratunkową: pochylił się z głową wsuniętą między kolana i założył ręce na kark. Pozostał w takiej pozycji przez dziesięć minut, dopóki stewardesy nie zaczęły podawać czegoś do przegryzienia.

Marise podeszła do nas ze stewardesą o imieniu Diane; proponowały napoje z puszki, soki, fistaszki i croissanta z plasterkiem sera.

Zazwyczaj nie ufam samolotowym posiłkom, ale spojrzałam na croissanty z serem, które jedli Heinrich z żoną po drugiej stronie, i nabrałam apetytu, więc zamówiłam to samo.

Monk podniósł głowę, wcisnął mi łokieć pod żebro i szepnął:

- Nie pij i nie jedz nic, co poda Marise. Bierz tylko od Diane.

— Nie uważa pan, że to dziecinne?

- Marise nakłada jedzenie gołymi rękami. Druga stewardesa używa szczypiec.

Podniosłam wzrok i zobaczyłam, jak Marise wyciera dłonie w sukienkę i sięga po szczypce, aby przygotować dla mnie posiłek. Monk miał rację, ale

nie miałam zamiaru nic mówić, żeby nie rozzłościć jej jeszcze bardziej. Zresztą mojego croissanta nie podawała gołymi rękami.

Marise obsłużyła mnie z uprzejmym uśmiechem i przeszła dalej. Monk zrobił grymas i znowu przyjął pozycję ratunkową.

- Może dla zaoszczędzenia czasu powinienem już założyć kamizelkę?

- Nie lecimy nad wodą.

- Ale będę wolniej opadał, jeśli samolot rozłamie się w powietrzu na dwie części.

- Kamizelka to nie spadochron, panie Monk - powiedziałam.

Heinrich wstał ze swojego miejsca i pośpiesznym krokiem przeszedł do toalety w przodzie maszyny.

- Gdzie trzymają spadochrony dla pasażerów? - zapytał Monk.

- Tu nie mają spadochronów - odparłam.

- Żartujesz.

- Nie żartuję.

- To szaleństwo - jęknął Monk. - To tak, jakby na okręcie nie było szalup.

- Aby skorzystać ze spadochronu, trzeba przejść szkolenie.

Monk spojrział na mnie z niedowierzaniem.

- Jeśli spadasz na pewną zgubę z wysokości siedmiu tysięcy metrów, lepiej mieć spadochron, którego nie wiadomo jak używać, niż nie mieć go w ogóle.

Trudno było nie przyznać mu racji.

Raptem z toalety dobiegło nas walenie w drzwi. Oboje unieśliśmy się trochę i spojrzeliśmy przed siebie ponad zagłówkami stojących przed nami fo-

teli. Walenie było coraz głośniejsze i gwałtowniejsze, jakby w środku Heinrich toczył z kimś walkę na pięści.

Marise pobiegła szybko na przód samolotu. Pochyliła się, nacisnęła jakiś ukryty przycisk i drzwi odskoczyły z łoskotem, uderzając ją w głowę. Stewardesa zatoczyła się do tyłu, a Heinrich wypadł z toalety, trzymając się kureczowo za krtań, z wybaluszonymi oczami i potwornie zaczerwienioną twarzą. Ktoś krzyknął i w ułamku sekundy zaczęło krzyczeć mnóstwo ludzi. Zdaje się, że wrzeszczenie jest zaraźliwe. Sama miałam ochotę dołączyć do chóru.

Heinrich zataczał się między rzędami, głośno charcząc. Jego żona poderwała się z miejsca, ale w tym momencie Heinrich dotarł do naszych foteli, gdzie zwałił się na podłogę z głuchym dudnięciem.

Gertrudę przypadła do niego, chwyciła go za ramiona i zaczęła nim potrząsać, wykrzykując jego imię.

Monk dotknął szyi Heinricha i spojrzał mu w szeroko rozwarte, znieruchomiałe oczy. Nie musiałam sprawdzać pulsu tego nieszczęśnika, aby wiedzieć, co Monk za chwilę powie.

- Jemu nic już nie pomoże - stwierdził. - Nie żyje.

W samolocie zaległa grobowa cisza. Przez moment słychać było tylko szlochanie Gertrudę. Potem odezwał się interkom. Marise wolno stanęła na nogi, przykładając rękę do posiniaczonego czoła, i podeszła do słuchawki. Usłyszałam, jak coś mówi, i chociaż nie potrafiłam zrozumieć słów, domyśliłam się, że relacjonuje kapitanowi, co się stało.

Monk strzelił palcami, wrywając mnie z odrętwienia. Gestem poprosił o chusteczkę higieniczną.

W pośpiechu zaczęłam szperać w torebce i po chwili podałam mu chusteczkę.

Podczas długiej pracy z Monkiem widziałam już niejedne zwłoki, ale nie byłam przyzwyczajona do tego, aby ktoś padał mi trupem pod nogami. Przeżyłam prawdziwy szok.

Z tyłu samolotu nadeszła Diane, objęła ramieniem Gertrudę i zaczęła coś do niej mówić uspokajająco. Gertrudę podniosła na Monka zalane łzami oczy.

- Jak to się stało? - zapytała zrozpaczona.

Pytanie było retoryczne, kobieta z pewnością

nie spodziewała się odpowiedzi. Ale byłam pewna, że Monk nie omieszka odpowiedzieć. Modliłam się w duchu, aby jego odpowiedź nie miała nic wspólnego z umieszczeniem przez Heinricha bagażu podręcznego w nieodpowiednim schowku.

- To oczywiste - powiedział Monk, wycierając dłonie i oddając mi zużytą chusteczkę. — Został za mordowany.

## Monk dowodzi swojej racji

Jak zawsze morderstwo. W pobliżu Monka nikt nigdy nie umiera z przyczyn naturalnych.

Nie ma nawet sensu się z nim spierać. W kwestii zabójstw Monk nigdy się nie myli, choćby jego oświadczenie brzmiało nie wiadomo jak fantazyjnie i nieprawdopodobnie. Stopniowo nauczyłam się z tym żyć. Do jednego tylko nie mogłam przywyknąć; liczby ciał, napotykanym wszędzie, gdzie się ruszymy. Jeszcze trochę i zacznę nosić w torebce plastikowy worek na zwłoki.

To takie niesprawiedliwe.

W Niemczech Monk rozwikłał zagadkę dwóch morderstw - czy to mało? Czy nie wypełnił już swoich kosmicznych norm przewidzianych na jedną podróż?

- Z panem nigdzie nie można pojechać - powiedziałam głosem pełnym żalu.
- To nie moja wina - bronił się Monk.
- Kiedy jestem sama, jakoś nikt nie pada przede mną trupem.
- Nie padł sam. Ktoś mu pomógł - stwierdził Monk i odwrócił się do rozpaczającej żony. - Pani mąż był uczulony na fistaszki, prawda?
- Tak. Skąd pan wie? - zapytała Gertrudę.
- Kiedy wyszedł z łazienki, twarz miał czerwono-

ną, oczy szeroko otwarte, a ręce zaciskał na krtani, bo nie mógł złapać oddechu. Doznał wstrząsu anafilaktycznego.

- Ale on nie jadł fistaszków - powiedziała żona. — Zamówił croissanta z serem.

W tej chwili w głośnikach zabrzmiał głos kapitana. Najpierw mówił po niemiecku, a potem po angielsku.

- Szanowni państwo, mówi kapitan Schubert. Jeden z pasażerów niespodziewanie zaniemógł.

Co za niedomówienie.

- Uprzejmie proszę nie opuszczać swoich miejsc i zachować spokój przez resztę lotu - mówił dalej kapitan. - Wkrótce wylądujemy na lotnisku Charles'a de Gaulle'a w Paryżu. Dziękuję za uwagę.

Marise podeszła do nas i obrzuciła Monka marsowym spojrzeniem.

- Słyszał pan, co mówił kapitan. Proszę się nie ruszać z miejsca i myśleć o własnych sprawach. My się wszystkim zajmiemy.

- Samolot jest teraz miejscem zbrodni - powiedział Monk. - Załoga też powinna pozostać na swoich miejscach, aby zabezpieczyć ślady przed próbą ich zatarcia.

- Myślę, że dosyć się już pana nasłuchaliśmy - stwierdziła Marise. - Jeszcze jeden wybryk, a zaawiadomię policję, by po wylądowaniu aresztowała pana za zakłócanie lotu.

- Policja będzie na lotnisku czekać nie na mnie, lecz na panią.

- Jestem starszym członkiem załogi - oświadczyła oficjalnym tonem. - Utrudnianie mi wykonywania czynności służbowych to poważne naruszenie prawa.



- Chyba że owo wykonywanie obowiązków polega na popełnianiu morderstwa - stwierdził Monk. — To pani zabiła tego człowieka.

- Co za absurd - zachnęła się stewardesa.

Z całą pewnością brzmiało to absurdalnie, ale, jak już wcześniej powiedziałam, w takich sytuacjach nauczyłam się ufać Monkowi bezwzględnie, zwykle więc robię, co w mojej mocy, aby go wesprzeć, mimo że nie mam pojęcia, o co chodzi.

Kiedy Monk rozwiązuje zagadkę morderstwa, cieszy się rzadką chwilą pełnego zadowolenia i absolutnej pewności siebie. Słyszę to w jego głosie i widzę w sposobie jego zachowania; oto przywraca naturalną równowagę świata, naprawia to, co ktoś zepsuł, ustawia wszystko z powrotem na swoim miejscu.

Chciałabym, żeby zawsze miał takie poczucie, chociaż zapewne oznaczałoby to dla mnie utratę pracy.

- Dlaczego stewardesa miałaby skrzywdzić Heinricha? - zapytała Gertrudę. - Nigdy nie widziałam tej kobiety.

- Pani nie, ale pani mąż owszem - odpowiedział Monk. - Tę kobietę i pani męża łączył poza-małżeński romans.

Gertrudę spojrzała na Monka rozszerzonymi oczami.

- To nieprawda!

- Oczywiście, że nieprawda - przytaknęła Marise. - Ten człowiek jest umyślowo niezrównoważony.

- Jest niezbity dowód - stwierdził spokojnie Monk.

- Jak może istnieć dowód czegoś, co nigdy nie nastąpiło? - zapytała stewardesa.

- Na uchwycie jego torby znajduje się hotelowa etykieta. Dokładnie taka sama jest na pani walizeczce. Obie mają następujące po sobie numery. Recepcjonista w hotelu przyjmował oba bagaże razem, jeden po drugim.

- Skąd pan może wiedzieć, jakie mam etykiety przy walizce i co jest na nich napisane?

- Widziałem je, kiedy wchodziła pani na pokład samolotu, a jego, kiedy wkładał torbę do mojego schowka - odpowiedział Monk. - Naprawdę powinien był ją włożyć do własnego schowka, ale cóż, uparł się jak wół, choć zwyczajnie nie miał racji i gdyby...

- Panie Monk — przerwałam mu. — Ten człowiek nie żyje. Naprawdę nie sądzę, aby sprawa schowka miała jeszcze jakiegokolwiek znaczenie.

Marise potrząsnęła głową.

- Naprawdę uważa pan, że ktoś uwierzy, iż był pan w stanie odczytać etykiety i zapamiętać, co było na nich napisane?

- Przecież nie jestem ślepy. W przeciwieństwie do pilota.

- Taka sprzeczka donikąd nas nie prowadzi - stwierdziłam. — Wystarczy spojrzeć na etykiety, żeby się dowiedzieć, czy pan Monk ma rację czy nie. Jeśli ma, policja bez trudu zlokalizuje po etykietkach hotel, w którym się oboje zatrzymaliście.

- Nawet jeśli zatrzymaliśmy się w tym samym hotelu, to przez czysty przypadek - powiedziała Marise. - Trudno brać to za dowód romansu.

- Myślę, że będę potrafiła państwu wyjaśnić, co się stało - wtrąciła się do rozmowy Diane, stewardesa, która nadal obejmowała Gertrudę. - Zwykle latamy z Marise rejssem z Frankfurtu do Stansted,

ale dzisiaj w ostatniej chwili przeniesiono nas na ten lot, ponieważ członkowie stałej załogi doznali zatrucia pokarmowego.

- Zatrucie pokarmowe - rzucił w moją stronę Monk. - Gorszych linii nie mogłaś wybrać, hm?

- Zatruli się wieczorem w restauracji w mieście, gdzie poszli na kolację - wyjaśniła Marise.

- Kiedy Heinrich załatwia sprawy służbowe w Anglii, zatrzymuje się właśnie w Stansted - powiedziała cicho Gertrudę drżącym głosem. - Był tam wczoraj.

- To nie jest tak, jak pani myśli. - Diane ścisnęła pocieszająco jej ramię.

- W takim razie jak? - zapytała Gertrudę.

- Przy lotnisku w Stansted znajduje się tylko jeden hotel. Nocuje w nim wiele załóg lotniczych i wielu podróżnych na delegacji służbowej - tłumaczyła Diane. — Jeśli ktoś chce pojechać pociągiem do Londynu, a jego pokój jeszcze nie jest gotowy do zamieszkania, recepcjonista przechowuje bagaż, wydając odpowiedni kwit na odbiór. Prawdopodobnie Marise i pani mąż przez przypadek oddali bagaże w tym samym czasie.

- Zadowolony? - fuknęła Marise do Monka. - Powinien pan się wstydzić, że oburzającymi oskarżeniami zadaje pan tej biednej kobiecie jeszcze więcej cierpień.

- To nie wszystko - dodał Monk.

- Mało bólu jej pan zadał? - zapytała Marise.

- Na croissancie i serze jest tłuszcz z fistaszków.

- Co pan powie, z taką zdumiewającą spostrzegawczością potrafi pan zapewne wymienić wszystkie składniki sandwicza, tylko na niego patrząc, hm? - zadrwiła Marise.

Monk rzucił wzrokiem na zwłoki.

- Potrafię je wymienić, patrząc na niego.

Z piersi Gertrudę wydarł się zdławiony szloch. Monk nie był najbardziej wrażliwym człowiekiem, jakiego znałam.

- Nie przygotowywałam ani sandwicza, ani sera - mówiła Marise. - Dostajemy je gotowe i zapakowane. Jeśli do posiłku dostał się tłuszcz z fistaszków, musiało się to stać w kuchni firmy cateringowej.

- Pani ohydne niechlujstwo zdaje się mówić co innego - stwierdził Monk.

- Moje co?! - oburzyła się Marise.

- Wyciera sobie pani dłonie w ubranie - wyjaśnił Monk. - To dowód, że pani jest zabójczynią.

- Znajdzie pan tysiące ludzi, którzy w rozrządzeniu robią to samo i nie są zabójcami - odparła Marise.

- Ale to pierwszy krok na drodze do upadku moralnego i totalnej ruiny. Zanim się pani zorientuje, pali pani marihuanę, tańczy w klubach striptizerskich i morduje swoich żonatyh kochanków.

- Nie jestem ani narkomanką, ani striptizerką, ani morderczynią — oświadczyła stewardesa. - Nie może pan z czystym sumieniem obarczyć mnie winą za śmierć tego człowieka tylko dlatego, że wytarłam sobie ręce w ubranie.

- Oto, co się stało — zaczął Monk. - Od jakiegoś czasu miała pani z Heinrichem romans. Jak przy puszczam, nigdy nie przyznał się pani, że jest żonaty. Kiedy dziś zobaczyła go pani z żoną w samo locie, wpadła pani w furję. Dzięki kolacjom, na które się wspólnie wybieraliście, wiedziała pani o jego alergii. Zanim więc podała mu pani sandwicza, wy sypała sobie pani na rękę torebkę fistaszków,

rozgniotła i rozsmarowała tłuszcz na dłoniach. Potem, jak zwykle to pani robi, wytarła sobie pani ręce w ubranie. Ku własnej zgubie.

Ostatnie słowa wypowiadał z tak wielkim niesmakiem, że bardziej chyba raziło go niechlujstwo stewardesy niż zabójstwo, którego się dopuściła.

- To niczego nie dowodzi - stwierdziła Marise, ale jej głos stracił już siłę.

Musiała wiedzieć, że to koniec. Ja wiedziałam to na pewno.

- Jeśli istotnie miałam na palcach tłuszcz z fistaszków i dotknęłam nimi sandwicza, to tylko przez przypadek - broniła się jeszcze.

Wtedy ja się odezwałam.

- To nie był przypadek. Podawała mu pani posiłek gołymi rękoma, ale obsługując pozostałych pasażerów, używała pani szczypiec. Zauważyliśmy to z panem Monkiem.

- Pani jest jego znajomą - mruknęła Marise. -Nie dziwi mnie, że potwierdza pani jego obłąkaną historyjkę.

- Ja też to widziałam - powiedziała cicho Gertrudę, jej dolna warga drżała.

- Tak się tylko pani wydaje. On przemówił do pani wyobraźni - upierała się stewardesa.

- Etykiетки na bagażu, sandwicz, tłuszcz na sukience, otwarta torebka fistaszków z odciskami palców i rozsypane orzeszki na wózku z posiłkami wystarczą, aby przekonać policję - stwierdził Monk. -Odtworzenie pani kroków i odnalezienie świadków, którzy widzieli was również w innych hotelach, będzie tylko kwestią czasu.

Diane obrzuciła koleżankę zimnym, kamiennym spojrzeniem.

- Lepiej usiądź i nie wstawaj, dopóki nie wylądujemy.

- Nie słuchaj go, Diane. To nieprawda.

- To już rozstrzygnie policja. Do czasu jej przybycia będę cię miała na oku.

Nie musiała się trudzić. Wszyscy pasażerowie w milczeniu i z zaciekawieniem obserwowali to dramatyczne widowisko. Świdrowali Marise wzrokiem, aż ta cofnęła się w końcu zrezygnowana i usiadła na swoim miejscu.

Monk westchnął.

- Ależ to smutne.

- Bardzo smutne - zgodziłam się.

- Gdyby ktoś ją kiedyś nauczył, że ręce należy wycierać w serwetkę, jej życie potoczyłoby się zupełnie innym torem i nigdy nie doszłoby do tragedii.

- A on? - szepnęłam. - On oszukiwał żonę i stewardesę. Żył w zakłamaniu. Czy w jakiejś mierze również nie ponosi odpowiedzialności za swój koszmarny los?

- Bez wątplenia. Świadomie włożył bagaż podręczny do nieodpowiedniego schowka — odpowiedział do mnie szeptem Monk. - Tak zachowuje się tylko człowiek, który ma w pogardzie ludzkie życie. To jasne, że czekał go taki koniec.

## Monk znowu jedzie na lotnisko

Wyszło na to, że szybciej dotarlibyśmy do Francji samochodem niż samolotem, ale kiedy jeszcze ważyłam w myślach warianty podróży, w końcowym rozrachunku gapowato nie uwzględniłam składnika przypadkowego morderstwa.

Kiedy dotarliśmy do gmachu lotniska, na samolot czekały już radiowozy i parę innych samochodów o bardzo oficjalnym wyglądzie. Kapitan polecił, aby pasażerowie pozostali na miejscach, dopóki nie otrzymają dalszych instrukcji od przedstawicieli władzy, którzy wejdą na pokład samolotu.

Ciało Heinricha leżało wciąż w tym samym miejscu, a Monk zabronił nawet przykrywać je kocem, by nie zatrzeć ewentualnych śladów.

Wiedziałałam, że miał słuszość, ale spoglądanie przez ostatnią godzinę lotu na leżące między rzędami zwłoki męża było dla Gertrudę bolesnym przeżyciem, a dla całej reszty co najmniej niezwykłym. Jediną osobą, która robiła wrażenie odprężonej, był oczywiście sam Monk. Rozłożył się wygodnie w fotelu i założywszy nogę na nogę, przeglądał „International Herald Tribune”.

Wydawało się, że rozwikłanie morderstwa rozproszyło wszystkie jego lęki przed lataniem. Był to środek skuteczniejszy niż dioxynl, a do tego pozba-

wiony nieprzyjemnych skutków ubocznych, choć nie jestem pewna, czy Heinrich by się ze mną zgodził.

Z pewnością Monk podróżowałby częściej, gdyby za każdym razem zagwarantowano mu morderstwo odwracające uwagę od samego lotu.

Kiedy Diane otworzyła drzwi, na pokład samolotu weszło dwóch umundurowanych policjantów, a za nimi mężczyzna w wieku około czterdziestu lat, z muszką pod szyją, w spodniach z szelkami i w długim, rozpiętym, brązowym trenczu, spod którego wyłaniał się okrągły brzuszek. Pod nosem miał drobny wąsik, tak cienki, jakby ktoś mu go namalował czarnym ołówkiem.

- *Bienvenue à Paris* — mężczyzna zwrócił się do pasażerów. - Jestem nadinspektor Philippe Le Roux, a to mój asystent, inspektor Guy Gadois.

Skinął głową na inspektora Gadois, który wbiegł właśnie do samolotu z wielkim, radosnym uśmiechem na twarzy, niczym skory do zabawy szczeniaczek. Dobrze, że nie miał w ustach piłeczki tenisowej.

Le Roux westchnął ciężko i znów zwrócił się do pasażerów.

- Z przykrością muszę państwa poinformować, że pokład samolotu jest w tej chwili miejscem zbrodni i musimy w właściwy sposób zabezpieczyć ślady.

- Mówiłem - rzucił Monk, właściwie do nikogo konkretnego.

Le Roux spojrzał na niego.

- Zapewne pan jest tym amerykańskim detektywem. Monsieur Monk?

- Słyszał pan o mnie?

- Rozmawiałem już z komisarzem Stoffmache-rem w Lohr i kapitanem Lelandem Stottlemeyerem z policji w San Francisco.



- Szybko się pan uwinął - powiedziałam z podziwem.

- Jesteśmy profesjonalistami, mademoiselle... Teeger, nieprawdaż? - spytał Le Roux.

- *Vous l'êtes, mais je ne le suis pas.*

Powiedziałam mu, że on może jest profesjonalistą, ale ja nie. W ten sposób miałam sposobność zaprezentowania swojego zamiłowania do języków obcych, które w liceum zapewniło mi mocną czwórkę z francuskiego.

- *Et vous êtes?* - zapytał Le Roux.

- *Sous-payée, surchargée et prête pour les vacances.*

Zapytał, kim jestem, więc odpowiedziałam mu zgodnie z prawdą, że mam zbyt niskie wynagrodzenie, jestem za bardzo zapracowana i gotowa na wakacje.

- *Moi aussi* — powiedział ochoczo Gadois.

Le Roux rzucił mu groźne spojrzenie.

- Stewardesa, która za panem siedzi, zamordowała tego pasażera - powiedział Monk do Le Roux. — Mieli romans.

- *Qui n'en a pas en France?* - westchnął Gadois i mrugnął do mnie, czym zarobił sobie u szefa kolejne gniewne spojrzenie.-

Luźno tłumacząc, Gadois powiedział: „A kto go nie ma we Francji?”

Le Roux znowu odwrócił się do Monka.

- Jak rozumiem, wyraził pan przekonanie, że narzędziem zbrodni był fistaszek.

- Można tak powiedzieć.

Nadinspektor przytaknął i stanął twarzą do pozostałych pasażerów.

- *Alors.* Proszę nie wstawać z miejsc. Musimy

sfotografować wewnątrz samolotu i ustalić, gdzie każdy z państwa był w chwili zabójstwa. Kiedy poprosimy państwa o opuszczenie samolotu, proszę pozostawić swój bagaż i rzeczy osobiste. Zostaną zwrócone po przebadaniu. Za chwilę każdy pasażer zostanie odprowadzony do hali przylotów, gdzie spisujemy zeznania. Najmocniej przepraszam za te niedogodności.

Po tych słowach Le Roux i Gadois zabrali z samolotu Marise i pozostałych członków załogi z kapitanem na czele.

Monk spojrział na mnie.

—Nie wiedziałem, że mówisz po francusku.

—Wielu rzeczy pan o mnie nie wie, panie Monk. Jestem kobietą pełną tajemnic.

Minęła dobra godzin, zanim sfotografowano wszystkich pasażerów, wyniesiono ciało Heinricha i wyprowadzono nas z samolotu, pojedynczo, jeden za drugim, według rzędów.

Ten ostatni etap bardzo się spodobał Monkowi. Nawet służył swoją pomocą.

Pasażerów słoczono w miejscu ogrodzonym liną w hali przylotów, w której czekało dziesięciu detektywów, gotowych spisywać zeznania. Nas dwoje przeprowadzono jednak do osobnego, małego pokoju bez okien, wykorzystywanego zapewne do przesłuchań i rewizji osobistych.

Na środku pokoju stał metalowy stolik z trzema identycznymi krzesłami po jednej stronie i jednym po stronie przeciwnej — meble rodem z katalogu wystroju cel więziennych. W pokoju nie było niczego, co pozwoliłoby pomyśleć, że znajdujemy się we Francji.

Usiadłam na pojedynczym krześle, a Monk od

razu zaczął przestawiać krzesła, żeby z każdej strony stołu stały po dwa i wszystkie w tej samej odległości od siebie.

- Musisz wstać - powiedział do mnie.
- Tak mi dobrze.
- Ale twojemu krzesłu nie.
- Jemu też jest dobrze.

Wiedziałam, że chciał przesunąć moje krzesło o parę centymetrów w lewo, aby stało w jednej linii z krzesłem po przeciwnej stronie stołu, ale nie miałam najmniejszej ochoty dawać mu tej satysfakcji ani zapewniać wewnętrznego spokoju.

- Proszę.
- Nie.
- Dlaczego jesteś taką złośliwą marudą?

Spojrzałam na niego niedowierzająco.

- Jeszcze nie postawiliśmy nogi w Paryżu, a już mamy morderstwo na głowie - powiedziałam z wyrzutem.

- Zagadka została rozwiązana. Nie rozumiem, dlaczego się złościysz.

- Dopiero co prowadził pan śledztwa w sprawie dwóch morderstw w Niemczech, prawda? - przypomniałam. - Chociaż jeden raz chciałabym pojechać gdzieś z panem i nie oglądać zmasakrowanych zwłok.

- Heinrich nie został zmasakrowany - zauważył Monk. - Nie był nawet draśnięty.

- Pan gubi sens mojej wypowiedzi.  
- Twoja wypowiedź nie ma sensu.  
- Ludzie mogą żyć spokojnie i przez całe życie nie widzieć ani jednego morderstwa, ale pan musi to oglądać codziennie.

- To moja praca.
- Jest pan na wakacjach!
- Człowiek nie przestaje być tym, kim jest, tylko dlatego, że znajduje się w innym miejscu - wyłuszczył mi spokojnie Monk i jakby na potwierdzenie swoich słów nagle wyszarpnął spode mnie krzesło.

Pacnęłam na podłogę z bezwiednym jęknięciem, bardziej zdumienia niż bólu.

- To karygodne - oburzyłam się.
  - Nie dałaś mi wyboru - usprawiedliwił się Monk. - Później mi podziękujesz.
  - Dlaczego miałabym dziękować za zrzucenie mnie na twardą podłogę?
  - Bo to dla twojego dobra. Stwarzam ci komfortowe warunki do wypoczynku — wyjaśnił. — Proszę, teraz możesz wypoczywać.
  - Pewnie uważa pan, że w samolocie robił pan to samo, tak?
  - Jednak zauważyłaś. - Monk się uśmiechnął. -Już zaczynałem myśleć, że jesteś mało wrażliwa.
- Pozbierałam się, usiadłam z powrotem na krześle, oparłam łokcie na stole i ukryłam twarz w dłoniach. Co za cudowny początek wakacji w Paryżu.
- Z drugiej strony może jednak tak. Może wreszcie los ulitował się nade mną i na samym początku obdarzył mnie tym jednym, obligatoryjnym zabójstwem, żebym w ciągu następnych dni nie natknęła się już z Monkiem na żadne morderstwo.
- Zastanawiałam się tylko, czy w czasie tego ostatniego morderstwa znajdowaliśmy się wciąż w niemieckiej przestrzeni powietrznej. Jeśli tak, to czy obecne śledztwo zostanie zaliczone Monkowi w rejestrach losu jako zabójstwo francuskie, czy też wpisze się jeszcze do statystyk niemieckich? Ale nawet

jeśli zabójstwo Heinricha zaliczy się do rejestru niemieckiego, to czy nie przekroczyliśmy po stronie Niemiec jakiejś zdroworozsądkowej normy i czy nie daje to nam przywileju we Francji?

Rejestry losu. Statystyki morderstw.

Traciłam chyba rozum. Przypisałam to jednak efektom traumy, którą przeżyłam poprzedniego wieczoru, będąc o krok od śmierci, a nie długotrwałemu wystawianiu się na bliskie oddziaływanie Adriana Monka. W każdym razie miałam wielką nadzieję, że tak właśnie było.

Po chwili otworzyły się drzwi. Podniosłam wzrok i zobaczyłam, że do pokoju wchodzi nadinspektor Le Roux i inspektor Gadois.

- Przepraszam, że kazałem wam czekać, ale w tych okolicznościach było to nieuniknione - powiedział Le Roux. - Zatrzymaliśmy Marise Lambert pod zarzutem morderstwa.

- Udało się nam potwierdzić prawie wszystko, co odgadł pan w samolocie - dodał Gadois.

- Ja nie zgadywałem.

- Heinrich Wilke i Marise Lambert od miesiący byli kochankami - oświadczył Gadois. - Wyciągi transakcji kart kredytowych dowodzą, że w różnych miastach europejskich zatrzymywali się w tych samych hotelach w tym samym czasie.

- Lekarz sądowy jest przekonany, że nie pomylił się pan również co do przyczyn zgonu - dodał Le Roux. - Ofiara ma wysypkę i drobne pęcherzyki na skórze, typowe objawy anafilaksji.

- Na opakowaniu fistaszków w samolocie znaleźliśmy jej odciski palców - ciągnął Gadois. - Jej służbowy uniform przesłaliśmy do analizy.

Nurtowało mnie jedno pytanie.

- Dlaczego Heinrich i Gertrudę lecieli do Francji natychmiast po jego przylocie z delegacji?
- Obchodzili dwudziestą rocznicę swojego ślubu - wyjaśnił Gadois. - Cóż za ironia losu, prawda?
- Bardzo smutne - przyznałam.
- Morderstwo zazwyczaj nie jest niczym wesołym - stwierdził Le Roux i zwrócił się do Monka: - Jestem pod wrażeniem, monsieur Monk. Wątpię, czy na pana miejscu w samolocie potrafiłbym wykazać równie godne podziwu umiejętności. Jest pan geniuszem.
- Tak. Ciągłe mi to mówią - powiedział Monk.
- Podobną opinię o panu wyrażał mój poprzednik, nadinspektor Dupres - dodał Le Roux. - Nie wiedziałem, że to właśnie pan jest tym amerykańskim detektywem, który rozwikłał sprawę niesławnego morderstwa madame Beaudreau.
- Chyba się pan myli - wtrąciłam. - Pan Monk nigdy wcześniej nie był we Francji.
- To sprawa, o której kilka lat temu przeczytałem w gazecie - wyjaśnił Monk.
- Madame Beaudreau zwiedzała z mężem muzeum w Bastylli - mówił Le Roux. — Znaleziono ją uduszoną i z obcięzonymi rękami.
- Boże - szepnęłam.
- Ręce znaleźliśmy kilka metrów od ciała - ciągnął Le Roux. - Nie mogliśmy ruszyć z miejsca, dopóki pan Monk nie przeczytał wzmianki o morderstwie w amerykańskiej gazecie i nie zadzwonił do nadinspektora Dupres.
- Było oczywiste, co się stało. Madame Beaudreau została zamordowana przez męża, który skuł ją starymi kajdanami z kolekcji muzealnej. Jednak zgubił do nich klucz. Wiedział, że jeśli zostawi kaj-

dany, ślady poprowadzą policję wprost do niego. Więc obciął ręce - wyjaśnił Monk.

- Monsieur Monk rozwiązał zagadkę, siedząc w swoim domu, blisko piętnaście tysięcy kilometrów stąd - zakończył Le Roux. - Nie widząc ciała i nie oglądając miejsca zbrodni.

- *Incroyable* - podsumował Gadois.

- Spiszemy wasze zeznania i z wielką przyjemnością odwieziemy was do hotelu - zapowiedział Le Roux. - Może pozwolicie się zaprosić wieczorem na kolację?

- Chętnie skorzystamy z oferty podwiezienia do hotelu - powiedziała. - Ale obawiam się, że z kolacji będziemy musieli zrezygnować.

- Naprawdę? - zapytał Monk.

- Proszę tego nie brać do siebie. Jesteśmy na wakacjach i bardzo chcemy trzymać się jak najdalej od morderstw i pracy policji.

- Nie powiem, żeby to wam się udawało - stwierdził Le Roux z przyjaznym uśmiechem.

- Wiem - odparłam sucho.

- *Cen 'est pas grave. Je comprends parfaitement* - pocieszył mnie Le Roux. - *Ma femme déteste, quand je parle des affaires pendant nos vacances. Peut-être pourrions nous vous voir avant votre départ?*

Dobrze rozumiał, co czuję, i wyraził nadzieję, że może jednak uda nam się spotkać przed naszym odlotem do Stanów. Ale nie byłam gotowa na żadne zobowiązania.

- Być może. Zobaczymy, jaki obrót przybiorą sprawy - powiedziała.

- *D'accord* - zgodził się nadinspektor.

Na szczęście nie wziął tego do siebie. Usiedli z Gadois naprzeciw nas, wyjęli notatniki i poprosi-

li, żebyśmy opowiedzieli wszystko, co się wydarzyło na pokładzie samolotu.

Niestety Monk wziął tę prośbę dosłownie i opowiedział rzeczywiście wszystko, nie pomijając żadnego szczegółu i bardziej się skupiając na zasadach bezpieczeństwa lotu oraz kwestii schowka na bagaż podręczny niż na morderstwie.

Byłam pewna, że kiedy skończył opowiadać swoją wersję wydarzeń, Le Roux w duchu dziękował Bogu, że nie przyjął ich zaproszenia na obiad.



## Monk wprowadza się do hotelu

Nie rozmawialiśmy wiele podczas jazdy do hotelu. Siedziałam zatopiona w myślach, z nosem przyklejonym do szyby, i wpatrywałam się w oświetloną pięknie na tle nieba bazylikę Sacré-Coeur na szczycie wzgórza Montmartre.

Myślałam o swojej poprzedniej podróży do Paryża niemal dwadzieścia lat wcześniej. Trudno mi było uwierzyć (było to nawet zatrważające), że przybyło mi aż tyle lat i że mam tak odległe wspomnienia. Zakochani uciekliśmy z Mitchem do Europy. Odwiedzaliśmy rozmaite miejsca, a w końcu znaleźliśmy się w Paryżu, niemal bez grosza w kieszeni, zdecydowani do ostatniej chwili odkładać powrót do domu, do rzeczywistości małżeńskiego życia, gniewu moich rodziców i służby Mitcha w lotnictwie. Ani on, ani ja nie wiedzieliśmy, że czas pozwolił nam żyć na kredyt, że niebawem Mitch zginie zestrzelony nad Kosowem.

Dla mnie Paryż był wtedy najpiękniejszym miejscem na ziemi. Choć byłam zakochana tak bardzo, że każde miejsce, w którym wtedy byliśmy, wydawało mi się najpiękniejsze na ziemi - tylko dlatego, że tam byłam, a Mitch ze mną.

Myślałam wówczas, że będę czuła to samo każdego dnia do końca życia, i właśnie z tego czerpa-

łam olbrzymie siły i wiarę, że zdołam pokonać każdą przeszkodę, która nam stanie na drodze.

Nie planowałam żadnej kariery zawodowej, nie miałam nawet pojęcia, co chcę w życiu robić, ale to nie miało znaczenia, bo byłam absolutnie pewna, że moim przeznaczeniem jest być z nim, i tylko to się liczyło.

Taka jest miłość. W każdym razie taką ją zapamiętałam.

Nie chodzi o to, że od tamtego czasu nikogo już nie kochałam czy też sama nie byłam kochana, bo to nieprawda. Ale nigdy potem nie doświadczyłam już takich uczuć jak podczas tamtych bezcennych dni z Mitchem.

Teraz, gdy wjeżdżaliśmy w samo serce Paryża, tamte uczucia zaczęły we mnie odzywać, jakby wróciło do mnie echo odległego grzmotu.

Myślę sobie, że chyba dlatego tak bardzo chciałam wrócić do Paryża, aby w pewnym sensie przywrócić go do życia. Jednak gdy tam jechaliśmy, Paryż zaczął mi się wydawać jeziorem, w którym zanurzam się coraz bardziej, i coraz mocniej się bałam, że zaraz utonę. Miałam ochotę poprosić Le Roux, żeby zawrócił i odwiózł nas z powrotem na lotnisko.

Jednak zwyciężyło olbrzymie pragnienie, by pokonać lęk, wyjść na te ulice i zatopić się w tym mieście. Już wcześniej wiedziałam, że Paryż jest jak miłość: trzeba mu się poddać bez względu na to, co się może stać.

Objechaliśmy Łuk Triumfalny, zjechaliśmy ostrym skrzyżowaniem z jednej z ulic odchodzących promieniście od placu de l'Étoile i zatrzymaliśmy się przed hotelem La Reine Étoile.

Wysiedliśmy. Le Roux i Gadois wyjmowali z bagażnika nasze walizki, a my z Monkiem staliśmy obok i wdychaliśmy powietrze Paryża. Z jednego końca trzypasmowej Avenue Carnot widać było Łuk Triumfalny, a na drugim końcu rząd kilku kawiarenek i *pâtisseries*.

Monk stał na chodniku, przyglądał się frontowi hotelu i kiwał głową z aprobatą. Był to czarujący budynek z końca dziewiętnastego wieku ze zdobionymi kroksztynami i pięknymi balustradami z kutego żelaza na balkonach.

- Avenue Carnot dwadzieścia cztery. To jedna z moich ulubionych liczb parzystych. Sześć pięter, na każdym sześć okien, co za symetria - zachwycał się Monk. — Nareszcie wróciliśmy do cywilizowanego świata.

- Wiedziałam, że się panu spodoba - powiedziałam i odwróciłam się do nadinspektora. - Bardzo dziękuję za podwiezienie.

- *De rien* - odrzekł, przypatrując mi się z nieskrywaną ciekawością jakby próbował mnie rozgryźć. - Jeśli mógłbym coś zrobić, żeby uprzyjemnić wam pobyt w Paryżu, proszę się nie wahać i natychmiast do mnie dzwonić. — Wręczył mi wizytówkę.

- Do mnie również. - Podając mi wizytówkę, Gadois odwrócił się plecami do Le Roux, aby szef nie zobaczył, jak mruga do mnie.

To było już drugie mrugnięcie, jakim mnie obdarzył. Prawdopodobnie był święcie przekonany, że między nami zaczął się już gorący romans.

- W najgorszym razie mam nadzieję, że pozwolicie się odwieźć na lotnisko, gdy będzie wracać do domu - dodał Le Roux.

- Jestem pewna, że ma pan ważniejsze rzeczy do roboty niż podejmowanie się roli taksówkarza - powiedziałam.

- Przemawia przeze mnie czysty egoizm. Bardzo chciałbym się czegoś dowiedzieć o metodach dedukcji monsieur Monka.

- Nie mam żadnej metody - wtrącił się Monk. -Po prostu zwracam na wszystko uwagę

- Interesuje mnie jednak, na co pan spogląda - stwierdził Le Roux. - Weźmy choćby sposób, w jaki patrzy pan na ten hotel. Nigdy nie pomyślałbym, że w taki sposób można patrzeć na budynek.

- Tylko tak można patrzeć na budynek - odparł Monk.

Nadinspektor się uśmiechnął.

- To właśnie, drogi przyjacielu, jest pańska metoda.

Obaj detektywi wsiedli do swojego peugeot'a i odjechali, a my weszliśmy do hotelu.

Hol na parterze był bardzo wytworny. Na trawertynowej posadzce stały mahoniowe sofy i krzesła w stylu empire. Dekoracyjny gzyms nad kominkiem wieńczył biały marmurowy medalion, na którym namalowano wizerunek myśliwego na koniu. Całe wnętrze wyglądało ładnie, ale nie wydawało się szczególnie ciepłe. Przypominało mi salon w domu moich rodziców, który był przeznaczony tylko dla gości - przestrzeń bardziej na pokaz niż do codziennego użytku.

Mahoniowy kontuar w recepcji miał kształt półksiężycy i przykryty był marmurowym blatem. Na jednym końcu był rozdwojony: mieścił się tam niewielki bar z dwoma wysokimi taboretami. Zarówno recepcję, jak i bar obsługiwała młoda kobieta o tak

kredowobiałym obliczu, że ktoś mógłby ją wziąć za upiora straszącego w hotelu.

Powitała nas po francusku, a ja zdobyłam się na uprzejmość i prowadziłam konwersację w tym samym języku. Nie była to zbyt wymagająca rozmowa, nawet dla kogoś z podstawową znajomością języka francuskiego.

Kobieta wręczyła nam klucze do pokoiów o numerach 204 i 206 na drugim piętrze. Ponieważ w windzie Monk cierpiał na klaustrofobię, poszliśmy schodami, co wcale nie było takie proste, jak to się może wydawać. Schody były nadzwyczaj wąskie i kręte, biegły wokół niewielkiej windy, którą prawdopodobnie dobudowano sto lat po postawieniu budynku.

Szliśmy mozolnie stopień po stopniu, ciągnąc za sobą ciężkie bagaże, gdy nagle Monk stanął jak wryty. Wpatrywał się tępo w tablicę z brązu, na której wygrawerowana była cyfra „1”.

- Co to jest? - zapytał.

Czy pytał ten sam człowiek, którego niesłychane zdolności dedukcyjne niespełna parę minut wcześniej wprawiły w osłupienie nadinspektora Le Roux?

- Jesteśmy na pierwszym piętrze, panie Monk - odparłam. - Stąd, jeśli wolno mi wyciągnąć taki ostrożny wniosek, cyfra jeden.

- Ależ to nie jest pierwsze piętro, lecz drugie.

- Nie we Francji - wyjaśniłam. - Tutaj dolna kondygnacja to nie piętro.

- Mają chyba urojenia.

- Co kraj, to obyczaj - powiedziałam.

- Jeśli wyjdiesz i staniesz przed budynkiem, od razu zobaczysz, że ma sześć pięter.

- Najpierw jest parter, a potem pięć pięter.
- Bawisz się słowami.
- Nie jest pan w Ameryce - przypomniałam. - Francja to inna kultura. Trzeba to uszanować.
- Prawa natury i grawitacji wszędzie są takie same, bez względu na to, gdzie akurat przebywasz.
- Co prawa natury i grawitacji mają z tym wspólnego?
- Możesz drzewo nazwać skałą albo twierdzić, że ziemia jest płaska. Możesz też uważać, że drugie piętro to pierwsze. Ale to nie zmienia faktu, że drzewo to drzewo, że ziemia jest okrągła i że drugie piętro to drugie piętro.
- To kwestia kultury i różnego postrzegania.
- Na czym stoisz na tym swoim parterze?
- Na podłodze.
- Właśnie, a jeśli jest podłoga, jest także piętro - stwierdził Monk. - Tak nakazuje myśleć zdrowy rozsądek, nie mówiąc już o niezmiennych prawach natury.
- Co z piwnicą?
- A co ma być?
- Piwnica się już nie liczy jako piętro?
- Nie znajduje się nad poziomem ulicy - wyjaśnił Monk. - Zatem nie jest to w pełni uprawnione piętro.
- Kto to powiedział?
- Nikt. Po prostu tak jest.
- Gdybyśmy zeszli do piwnicy, to na czym tam staniemy? — zapytałam.
- Nie wiem - odpowiedział Monk. - Nigdy nie widziałem piwnicy.
- Na czymś jednak byśmy stali i zapewne byłaby to również podłoga.

- Stalibyśmy na ziemi, ściśle rzecz biorąc. Znajdowalibyśmy się pod poziomem ziemi, więc stali byśmy na jakimś klepisku.

Nie rozumiałam, dlaczego klepiska nie można ostatecznie uznać za podłogę, choćby w jego pokręconej logice, ale postanowiłam nie drążyć tego tematu.

- Chodzi mi tylko o to, panie Monk, że pochodzimy z kręgu kulturowego, w którym piwnicy nie uznaje się za piętro. Ale być może istnieje gdzieś jakaś społeczność, która uznaje piwnicę za piętro.

- Wymień mi choć jedną.

- Nieważne, czy rzeczywiście istnieje czy nie.

- Nie istnieje - zawyrokował Monk. - Ponieważ nikt nie jest aż tak głupi.

- Staram się tylko zobrazować, jak kultura, z której się wywodzimy, wpływa na widzenie świata.

- Obrazujesz, jak kultura oparta na ignorancji wpływa na widzenie idioty - stwierdził Monk. - Równie dobrze mogłabyś mówić o Marsjanach, ale ponieważ nie ma czegoś takiego jak Marsjanie, mówiłabyś tylko brednie. Nie mam zamiaru spać w pokoju na trzecim piętrze, bez względu na to, jak je tu sobie nazywają.

Wiedziałam, że tego sporu nie wygram. Prawdę mówiąc, wiedziałam to od samego początku, zanim jeszcze się wdałam w spór, ale nie mogłam się powstrzymać. Daję za wygraną dopiero wtedy, gdy zaczyna mnie boleć głowa albo żołądek. Teraz bolało mnie już jedno i drugie.

Zeszliśmy do holu i podeszliśmy do kobiety w recepcji.

- Ja się tym zajmę, panie Monk, dobrze? - powiedziałam. - Mówię w jej języku.

- Może naucz ją liczyć. Masz okazję zmienić Francję.

- Na razie zajmę się zmianą pokojów.

Byłam przekonana, że recepcjonistka zna język angielski, ale nie chciałam, żeby Monk rozumiał, o czym rozmawiamy, i komplikował mi sprawę nieustannymi uwagami na temat właściwego liczenia pięter.

Kobieta zapytała, czy jest jakiś problem, a ja wyjaśniłam, że mój przyjaciel nie chce spać na drugim piętrze i zapytałam, czy mają wolne pokoje na trzecim albo piątym piętrze. Jednak wszystko, co mogła nam zaproponować, poza naszymi dwoma pokojami, to pokój na piątym piętrze z dwoma dwuosobowymi łózkami, balkonem i widokiem na fragment Łuku Triumfalnego.

Zapytałam, ile będzie kosztowało wynajęcie jednego z naszych dwóch pojedynczych pokoiów na drugim piętrze oraz tego dużego na piątym. Koszt okazał się niemal dwa razy wyższy niż w wypadku wynajęcia dwóch pojedynczych pokoiów. Nie było mowy, żeby Monk mógł sobie na to pozwolić, więc próbowałam się targować cenę, ale ponieważ hotel był pełen, a w innych w miarę przyzwoitych hotelach dwugwiazdkowych brakowało wolnych miejsc, trudno było mi znaleźć dobry argument.

Zamiast dwóch małych wzięłam więc jeden pokój dwuosobowy. Wiedziałam, że Monkowi niełatwo przyjdzie dzielenie ze mną pokoju, ale w końcu byliśmy dorosłymi ludźmi i Monk będzie musiał się raz zachować jak dorosły człowiek.

Nie chciałam teraz odbywać z nim tej dyskusji. Byłam wykończona debatą na temat liczenia pięter, a bardzo chciałam już zobaczyć miasto. Poprosiłam



więc recepcjonistkę o przechowanie bagaży i kluczy do naszego powrotu. Odpowiedziała, że cała przyjemność po jej stronie. Odwróciłam się do Monka.

- Problem rozwiązany. Ma pan pokój numer pięćset sześć na szóstym piętrze.

- To jakiś nonsens. To powinien być numer sześćset sześć - stwierdził.

- Po powrocie do San Francisco będzie pan mógł napisać skargę do dyrekcji hotelu - powiedziałam hardo. - Teraz idziemy zdobywać Paryż.

- Nie sprawdzimy najpierw pokoju?

- Niech pan sprawdza - odpowiedziałam. - Ja idę na spacer i nie wiem, kiedy wrócę. Za długo już jestem zamknięta w klatce.

Poddał się z ciężkim westchnieniem.

- Dokąd idziemy?

- Dokąd nas oczy poniosą.

- Znajdujemy się na obcym terytorium - zauważył Monk. - To może być niebezpieczne.

- W naszym samolocie był morderca - stwierdziłam.

- Czy ulice Paryża mogą być bardziej niebezpieczne?

Wyszłam z hotelu, nie czekając na odpowiedź.

Ruszyłam w lewo, w kierunku placu de l'Étoile i Łuku Triumfalnego, mijając po drodze dwadzieścia identycznych rowerów, zapiętych na kłódki przy jakiejś budce, która na pierwszy rzut oka przypominała wolno stojący bankomat.

Zaciekawiona przeczytałam zamieszczoną na budce informację. Jak się okazało rowery są do wypożyczenia i za niewielką opłatą można nimi dojechać do jednej z wielu podobnych stacji rowerowych rozsianych po całym mieście. Superzabawa.

Odwrociłam się do Monka, który włókł się za mną ciężkim krokiem, dotykając każdego kolejnego roweru. Często tak robił, mijając rząd takich samych przedmiotów, jak parkometry czy latarnie uliczne, mimo swojego lęku przed zarazkami. Nie pytajcie dlaczego, bo nie wiem. Dawno już się poddałam i przestałam się zastanawiać, jak mają do siebie pasować wszystkie te dziwne Monkowe zachowania. Po prostu kiedy się pojawiają, jakoś z nimi żyję.

- Co pan powie na wypożyczenie któregoś dnia roweru? — zapytałam.

- To zależy.

- Od czego?

- Od tego, czy będę musiał wybierać między rowerem a stratowaniem przez rozjuszonego buhaja.

- Wątpię, by musiał pan kiedyś dokonywać takiego wyboru.

- W takim razie nie. Nie mam ochoty na jazdę na rowerze.

Odwrociłam głowę, aby nasycić oczy widokiem Łuku Triumfalnego, lecz mój wzrok przyciągnęła majacząca w oddali wieża Eiffla. Zdobiły ją mrugające wielobarwne światełka i wyglądała jak gigantyczna bożonarodzeniowa choinka.

Jak paryżanie mogli do czegoś takiego dopuścić?

Podkreślanie fantastyczną iluminacją majestatu budowli, jak zrobiono w przypadku Łuku Triumfalnego, jest jeszcze zrozumiałe. Ale owijanie wieży Eiffla splotem migoczących lampek wydawało się czymś wyjątkowo kiczowatym, bezmyślnym i żalonym. Była teraz raczej świetlną reklamą niż wielkim symbolem miasta i zabytkiem historycznym.

To trochę tak, jakby szykowna, dystyngowa-

na i wykształcona kobieta, pełna tajemnic i naturalnego piękna włożyła na siebie krótką sukienkę z bezwstydnie głębokim dekoltem, żeby pokazać wszystkim potworny silikonowy biust.

Jakie inne potworności jeszcze mnie tu czekały? Budynek paryskiej Opéry pokryty błyskającymi neonami, które pulsują w rytm dobiegającej z ukrytych głośników *Muzyki nocy* Michaela Crawforda? Ogromne telebimy na frontonie katedry Notre-Dame wyświetlające scenki ze *Shreka*? Złote posągi na moście Aleksandra, najpiękniejszym moście Paryża, zastąpione robotami, które śpiewają i tańczą co godzinę, ku ucieście gawiedzi płynącej stateczkami po Sekwanie?

- To jednak daje Francuzom pewną nadzieję - powiedział Monk.

- Wieża Eiffla w kolorowych światełkach?

- Dwanaście ulic odbiegających promieniście od ronda - wyjaśnił. - To modelowy przykład świadomego planowania urbanistycznego.

Z placu de l'Étoile roztaczał się doskonały widok wzdłuż Champs-Élysées aż po place de la Concorde, nad którym, ku mojej zgrozie, górował gigantyczny, udekorowany światełkami diabelski młyn.

Między diabelskim młynem a wieżą Eiffla człowiek bardziej się czuł, jakby zwiedzał lunapark imitujący Paryż niż prawdziwe miasto. Brakowało tylko kolejki górskiej i jeszcze może buchającego wulkanu.

To był Paryż skomercjalizowany, wyfrancyzowany, zdisneyowany. Nie było to już miasto, w którym byłam dawno temu i które tak bardzo pragnęłam jeszcze raz ujrzeć.

Ale dawny Paryż musiał gdzieś być. Chciałam powłóczyć się po ogrodach Tuileries. Chciałam stanąć przed bazyliką Sacré-Coeur i spojrzeć z góry na miasto. Chciałam poszperać w książkach u bu-kinistów nad Sekwaną. Chciałam wchłonąć Paryż w siebie i zabrać go do domu. Chciałam, żeby wrócił Mitch.

Nagle poderwałam się do biegu, ledwie świadoma biegnącego za mną Monka, ludzi, których potraçałam na chodniku, i deszczu padającego na twarz.

To nie deszcz. To łzy.

Po chwili zatrzymałam się i oparłam o jeden z tych często spotykanych we Francji słupów ogłoszeniowych z napisem Spectacles u samego szczytu, zwieńczonych zwykle cebulastą kopułą. Dyszałam ciężko, z trudem łapiąc oddech między spazmatycznymi chlipnięciami.

Plakałam? Co się ze mną dzieje? Postanowiłam wziąć się w garść. Zobaczyłam, że obok jest Monk. Stał odwrócony do mnie plecami, kryjąc mój wybuch przed ciekawskimi spojrzeniami przechodniów i chroniąc moją prywatność. To było miłe. Pociągnęłam nosem i otarłam łzy.

- Chcesz chusteczkę dezynfekującą? - zapytał, nie patrząc na mnie.

Wybuchy emocjonalne, zwłaszcza moje, zawsze wywoływały w nim psychiczny dyskomfort.

- Nie. Dziękuję - odpowiedziałam. - Niektórych rzeczy nie wymaże żadna chusteczka.

- Tak mi przykro.

- To nie przez pana, panie Monk - powiedziałam.

- Wiem. To Mitch.

Jego słowa zupełnie zbiły mnie z pantafelku. Monk potrafi być irytujący i niewrażliwy na to, co się wokół niego dzieje, a jednocześnie umie dostrzec tak wiele. Myślę, że to jedna z cech, które czynią z niego wielkiego detektywa.

- Więc dlaczego panu przykro?

- Dopiero teraz sobie przypomniałem, ile to miejsce dla ciebie znaczy - powiedział, ośmielając się lekko obrócić głowę w moim kierunku. — Jak przypuszczam, wiele się zmieniło od waszego pobytu, prawda?

- To głupi powód do płaczu. Wszystko się zmienia.

- Moje życie bardzo się zmieniło po śmierci Trudy, podobnie jak wszystko wokół mnie, ale moje uczucia do niej na zawsze pozostaną te same.

Nic dziwnego, że tak bardzo nienawidził wszelkich zmian.

- Więc co pan robi? - zapytałam.

- Patrzę na rzeczy w taki sam sposób, w jaki zawsze na nie patrzyłem.

To zapewne główny powód narzucania przez Monka własnego porządku i odrzucania wszystkiego, co koliduje z jego sposobem postrzegania świata.

- Ale rzeczy nie są wiecznie takie same - powiedziałam.

- Nie liczy się to, co widzisz. Ale jak to postrzegasz. Julie zmienia się każdego dnia, ale zawsze będzie twoją małą córeczką.

Poczułam, że łzy znowu napływają mi do oczu.

- Mam ochotę przytulić się do pana - wyznałam.

- Może jednak skorzystaj z tego. - Szybko podał mi chusteczkę. - Na pewno bardziej ci pomoże.

## Monk i *croque monsieur*

Wytarłam ręce chusteczką, żeby Monk był zadowolony, i wrzuciłam ją do stojącego nieopodal kosza na śmieci.

Byłam zawstydzona i ogłupiała. Z nas dwojga to ja miałam być tą zrównoważoną i racjonalną osobą, na której zawsze można polegać. Nie miałam pojęcia, co mnie pchnęło do opętańczego biegu po Champs-Élysées. Pędziłam do czegoś czy raczej od czegoś uciekałam? Może była to reakcja na cały ostatni stres; wczorajszy pożar, morderstwo na moich oczach w samolocie i powrót do miejsca tętniącego wspomnieniami. Przecież każda z tych rzeczy nawet z osobna doprowadziłaby na skraj załamania rozsądnego i normalnego człowieka, prawda? Czy rzeczywiście należało się dziwić, że na moment straciłam głowę? Tak w każdym razie próbowałam zracjonalizować sobie to trudne do wyjaśnienia zachowanie.

Nabrałam powietrza w płuca, wypuściłam je wolno i postanowiłam udawać, że nic się nie stało. Potoczyłam dookoła wzrokiem i nabrałam trochę siły, emocjonalnie i psychicznie.

Stałam na Polach Elizejskich. Niewiele się zmieniły od mojego ostatniego pobytu. Wciąż tu królo-

wała prowokacyjna mieszanka szyku i kiczu, elegancji i dekadencji.

Champs-Élysées to zapewne jedyna ulica na świecie, na której w jednym rzędzie można zobaczyć takie witryny, jak Cartier, McDonald's, Louis Vuitton, Virgin Megastore, Lancel, Pizza Hut i salon sprzedaży Peugeota.

Mimo wszystko ten eklektyczny melanz najwytworniejszych butików, tanich sklepików z pamiątkami, globalnych sieci i barów szybkiej obsługi nie mógł rozwiać wszechobecnej aury *haute bourgeoisie*, która unosiła się tu od dni, gdy bulwar był enklawą bogaczy, snobów i ludzi władzy, tak jak nie mógł umniejszyć jego roli jako symbolicznego serca stolicy.

To na Champs-Élysées paryżanie gromadzili się, aby świętować triumfy, dać wyraz dumie i uczcić swoją przeszłość. To tutaj armie najeźdźców maszerowały w defiladach, aby pokazać swoje panowanie, i tutaj armie wyzwolicieli maszerowały triumfalnie, obwieszczając symbolicznie powrót wolności.

Może Kentucky Fried Chicken to za mało, żeby stracić Champs-Élysées z piedestału, na którym stoi we francuskiej kulturze, ale mnie wystarczyło, aby stąd czmychnąć.

Wpadłam do Virgin Megastore i kupiłam jakieś przewodniki po Paryżu, podczas gdy Monk czekał na zewnątrz. Stał cały czas w jednym miejscu, lustrując podejrzliwym wzrokiem przechodniów, jakby się spodziewał, że w każdej chwili ktoś może się na niego rzucić ze sztyletem albo co gorsza z brudnymi rękami.

Z przewodnikami w ręku wyprowadziłam nas z Champs-Élysées w najbliższą boczną ulicę i ruszyłam na północ, kierując się mniej więcej do dzielnicy nazywanej przez paryżan jako siedemnaste *arrondissement*.

Minęliśmy parę przecznic i poczułam się o niebo lepiej. Ulice były wąskie, kamienice stare i nigdzie nie było widać obecnych w każdym zakątku świata barów szybkiej obsługi lub sklepów którejs z globalnych sieci.

Mijaliśmy krawców i jubilerów, piekarnie i małe restauracyjki, galerie i kancelarie prawnicze, sklepy z butami i salony fryzjerskie. Było coś intymnego i ciepłego w tej plątaniu ulic, w tych urokliwych sklepikach, w tym upajającym aromacie przyrządzanych potraw i kawy parzonej w kawiarenekach i mieszkaniach.

Monk szedł z rękami przyciśniętymi do ciała, zajadłe próbując nie ocierać się o nic ani o nikogo. Wyglądał na bardzo wystraszonego, zupełnie jakby przedzierał się przez stado groźnych bawołów, a nie mijał kilku uprzejmych przechodniów.

Zresztą nie inaczej chodził ulicą przed własnym domem.

— Jak się panu podoba Paryż? — zapytałam.

— Mają chodniki - odpowiedział. — To plus.

Najwyraźniej wciąż przeżywał bliskie spotka nie z kocimi łbami i rymsztokiem w Lohr.

Właśnie przechodziliśmy obok restauracji, gdzie zobaczyłam, jak ludzie jedzą małe kartofle z *jambon*, które chwyтали kawałkiem pieczywa jak szczypcami i maczali je potem w gorącym, roztopionym na patelence serze, ścieranym z półokrągłej bryły skwierczącego sera zwanego *raclette*.



Pamiętam, jak z Mitchem delektowaliśmy się tym w starej restauracyjce w Troyes, średniowiecznym miasteczku we Francji, do którego przypadkowo zawitaliśmy w drodze do Paryża. Jedzenie sprawiło nam dużo radości, a do tego było tanie i pyszne w przeciwieństwie do posiłków, jakie przyszło nam wcześniej spożywać w Ameryce.

Gdybym nie była z Monkiem, miałabym ochotę wejść do środka i znowu skosztować raclette. Aie Monk lubi proste potrawy, nie je niczego, co ocieka, co trzeba w czymś umoczyć, czego nie da się podzielić na talerzu na geometryczne, symetryczne i policzalne porcje.

Ale sama myśl o kwaskowatym serze, suszonych kawałeczkach mięsa i delikatnych kartofelkach wprawiła mój żołądek w tak warkliwe burczenie, że mogłabym wystraszyć małe zwierzątko.

Dopiero teraz uświadomiłam sobie, że po prostu umieram z głodu. Do listy powodów (czy tłumaczenia się), dlaczego się przed chwilą załamałam, mogłabym jeszcze dopisać niskie stężenie cukru we krwi.

—Jest pan głodny? — zapytałam Monka.

—I tak, i nie.

- To nie jest wybór między jedzeniem a stratowaniem przez rozjuszonego buhaja. Albo jest pan głodny, albo nie.

—W takim razie tak. Jestem głodny - powiedział. - Ale poczekam z jedzeniem do powrotu do domu.

—W naszym hotelu nie ma restauracji.

- Miałem na myśli mieszkanie w San Francisco.

- To może być za tydzień.

- Akurat tyle wytrzymam.

- Francuskie jedzenie jest wyborne - przekonywałam. — Nie zrobi panu krzywdy.

- Te napisy zdają się mówić co innego.

- Jakie napisy?

Monk wskazał ręką witrynę *boulangerie* dwie bramy dalej, z apetycznym pieczywem i ciastkami, na których widok od razu cieknie ślinka.

- Tam, wielkimi literami, na markizie - wskazał Monk. - Ból. Ból. Ból.

- *Pain*\*. Tak po francusku nazywa się chleb, panie Monk.

- Jeśli chleb tak bardzo kojarzy się tutaj z chorobą, że zaczęto go powszechnie nazywać „ból”, to dlaczego go sprzedają, nie mówiąc już o tym, że jedzą? - dociękał Monk. - Powinni spróbować naszego cudownego chlebka Wonder Bread.

- W języku francuskim słówko *pain* literuje się tak samo jak w angielskim, ale wymawia inaczej i ma ono zupełnie inne znaczenie.

- Nic dziwnego, że dwa oznacza tutaj trzy - westchnął Monk. — Co za kraj.

- Nie. Dwa to dwa.

- Nie w naszym hotelu - stwierdził Monk. -W takim razie jak jest po francusku „ból”?

- Monk - odparłam zgryźliwie i pokazałam kawiarenkę pod drugiej stronie ulicy z paroma stolikami wystawionymi na chodniku. — Może tam coś zjemy?

Przeszłam szybko przez ulicę, zanim Monk zdążyłby zaprotestować, i usiadłam przy jednym z okrągłych stoliczków.

- Czy to bezpieczne?

\* *Pain* (ang.) ból.

- Co w tym może być niebezpiecznego?
- Ludzie mogą nas stratować.
- Będą nas omijać.
- A jeśli tłum wpadnie w popłoch?
- Chyba jednak zaryzykuję.

Wzięłam do ręki menu. W kawiarni oferowano niewielki wybór kanapek i ciast. Wszystko wydawało się smaczne, a ponieważ byliśmy w Paryżu, z pewnością było smaczne.

Monk odsunął sobie krzesło i zanim usiadł, spojrział parę razy w lewo i w prawo, jakby miał przejść przez ruchliwą ulicę.

- Mam przetłumaczyć panu nazwy dań? - zapytałam.  
 - Nie będę jadł nic, co nazywa się ból, agonia, epidemia czy brudy, bez względu na to, jak się te słowa wymawia i jakie mają znaczenie w języku francuskim - oświadczył Monk. — To moja żelazna zasada.

- Od kiedy?  
 - Od pięciu sekund, ale jest już wryta w granicie. Jak jest po francusku tost?

- Chyba nie będzie pan jadł tosta na swoim pierwszym w życiu francuskim obiedzie.

- Nie chcę, żeby to był mój ostatni w życiu obiad.  
 - Nie ma mowy - zapewniłam go. - Ja złożę zamówienie. Proszę mi zaufać.

- Ufam ci - powiedział Monk.  
 - Naprawdę?  
 - Bardziej niż komukolwiek.

Bardzo mnie to ujęło. Mówię szczerze. Uścisnęłam go delikatnie w ramię.

- To najprzyjemniejsza rzecz, jaką mi pan kiedykolwiek powiedział, panie Monk.

- Ufam ci z konieczności - dodał.
- Niech pan nie psuje miłej chwili i nie nadaje swojemu wyznaniu innych znaczeń — poprosiłam. — To było słodkie. Chciałabym, żeby pan zawsze taki był.
- Nie chciałbym być źle zrozumiany.
- Czyli jak, panie Monk?

Nie mogłam się oprzeć, aby trochę się z nim podroczyć.

Od odpowiedzi wybawił go kelner, który podszedł do naszego stolika. Zamówiłam po francusku dwa razy *croque monsieur* z odciętą skórką tosta, a dla siebie kieliszek firmowego wina.

W końcu byliśmy w Paryżu.

- Co chciałby pan do picia? - zapytałam. - Wodę Evian czy Perrier?

Monk spojrział na kelnera.

- Macie wodę Sierra Springs?
- Perrier to francuska nazwa Sierra Springs - powiedziałam.
- Nie, to nieprawda - zaprzeczył kelner łamaną angielszczyzną.

Zabrzmiało to tak, jakby zbulgotał przez nos. Miałam ochotę go zamordować.

- Ale to jedno i to samo - powiedziałam mocnym głosem w nadziei, że kelner się połapie, o co mi chodzi. — *L'eau c'est l'eau*.

- Och, różnią się zasadniczo - zaprzeczył znowu kelner.

- Oczywiście - powiedział do mnie Monk.
- Sierra Springs to najznakomitsza woda stołowa w Stanach Zjednoczonych - oznajmił kelner. - Oczywiście, że ją mamy.
- Macie...? - Byłam zszokowana.

- Mamy wodę z całego świata, z Wioch, Szwajcarii czy Niemiec, że wymienię tylko parę krajów. Nie mamy tylko wody belgijskiej, straszny sikacz. - Kelner udał, że spluwa, i odwrócił się do Monka. - Życzy pan sobie wodę Sierra Springs w butelce czy w karafce, zmrożoną czy w temperaturze pokojowej?

— Zmrożoną w butelce — Monk promieniał z radości.

Kelner kiwnął głową i odszedł do kuchni.

- Sprawy mają się dużo lepiej - orzekł zadowolony Monk.

W rzeczy samej. Skoro Monk zaczynał się przyzwyczajać do Francji, doszłam do wniosku, że czas najwyższy pomyśleć o tym, jak spędzić następne dni. Wyjęłam kupione niedawno przewodniki i jeden z nich wręczyłam Monkowi.

- Powinien pan to przejrzeć. Może jednak znajdzie się w Paryżu coś, co chciałby pan zobaczyć.

—Na mojej liście jest tylko jedna rzecz.

—Ma pan jakąś listę?

- Na wszystko mam listy.

Jasne. Co za głupie pytanie.

- Ciekawe, co to jest. Luwr? Notre-Dame? Spacer bulwarami nad Sekwaną?

— Kanalizacja.

Wbiłam w Monka tępy wzrok, nie wierząc własnym uszom.

— Doprawdy, trudno się wybrać w brudniejsze i bardziej obrzydliwe miejsce, panie Monk. Kanały ściekowe zajmują u pana pierwsze miejsca na wszystkich listach rzeczy, których trzeba za wszelką cenę unikać, nawet jeśli to sprawa życia i śmierci. Opatrzył je pan nawet przypisem, że prędzej wolałby śmierć.

- Kanalizacja w Paryżu to co innego.
- Zapewniam pana, że paryskie ścieki są tak samo obrzydliwe jak każde inne.
- To pierwszy system ściekowy tego formatu na świecie. To kanalizacja, na której wzorują się wszystkie pozostałe - powiedział Monk. - Od dziecka marzyłem o zwiedzeniu paryskiego muzeum kanalizacji. Zresztą któż nie marzył.
- Tu jest jakieś muzeum ścieków? - spytałam zdziwiona.
- Gdzie ty zdobywałaś wykształcenie? To tak, jakby zapytać, czy w Waszyngtonie znajduje się Smithsonian Institution.

Monk podał mi książkę i wskazał palcem otwartą stronę. Opisywano tam Musée des Égouts de Paris, muzeum na lewym brzegu Sekwany nieopodal Pont de l'Alma, mostu, do którego spacerem można dojść z naszego hotelu.

- W końcu dziewiętnastego wieku kanały paryskie były największą atrakcją turystyczną miasta — mówił dalej Monk. — Ludzie ciągnęli tu z całego świata, aby ujrzeć ten cud techniki i higieny.
- Co było w nim takiego niezwykłego?
- Kluczowa rola, jaką kanały odgrywały w inicjowaniu zmian społecznych, politycznych i sanitarnych w Paryżu, a niebawem na całym świecie.
- Jak to możliwe, żeby ścieki miały takie znaczenie?
- Na początku dziewiętnastego wieku dziesiątki tysięcy paryżan zmarło w wyniku epidemii cholery wywołanej zanieczyszczeniem wody pitnej. Ci, którzy przeżyli, mdleli na ulicach z powodu duszącego smrodu ulatniającego się z gnijących odpadów. Kanalizacja wszystko zmieniła. Uczyniła Paryż

zdrowszym i czystszy miastem, a ludzie, im są zdrowsi, tym bardziej są zadowoleni i produktywni. Szczęśliwi ludzie nie wszczynają zamieszek na ulicach i nie próbują obalać rządu. Dzięki wspaniałemu systemowi kanalizacji Paryż stał się znany jako Miasto Światła, a na całym świecie zyskał sobie rozgłos jako latarnia higieny i błyszczącej czystości.

Nieraz słyszałam, jak Monk wygłasza przemowę na temat czystości, ale nigdy dotąd nie wplatał w nią wątku społecznego czy politycznego.

Nie ulegało dla mnie wątpliwości, że historia paryskiej kanalizacji, a przynajmniej Monkowa interpretacja tej historii, nadała znaczenie ideowe jego rygorom życia w absolutnej czystości i dała mu moralny pretekst do tego, by próbować wpoić te zasady wszystkim innym.

Nie zdziwiłoby mnie, gdyby to jego szurnięta matka kazała mu czytać książki o paryskich kanałach, aby od dziecka otaczał czystością nabożną czcią.

Nie jestem psychologiem, ale im więcej słyszę od Monka o jego mamie, tym bardziej oczywiste mi się wydaje, że ta kobieta odpowiada za większość psychicznych problemów, z którymi zmaga się Monk, a także jego cierpiący na agorafobię brat Ambrose.

Zastanawiałam się, ile sama zepsułam w wychowaniu własnej córki, nawet o tym nie wiedząc. Szybko jednak odpędziłam niemiłe myśli i odniosłam się do przemowy Monka.

— To bardzo interesujące, panie Monk, ale Paryż nie jest nazywany Miastem Światła z powodu kanalizacji.

- Ależ oczywiście.

- Nie uważa pan, że to ma raczej coś wspólnego z tym, że Paryż zawsze inspirował do tworzenia nieprzemijających dzieł sztuki, literatury i architektury?

- Żaden malarz nie dostrzeże niczego inspirującego w ulicy zaślanej ekskrementami, a poetom trudno się skupić, gdy dławią ich własne wymiociny.

- Nigdy o tym nie myślałam w ten sposób.

Teraz, tuż przed kolacją również nie bardzo chciałam się nad tym zastanawiać.

Wciąż nie potrafiłam sobie wyobrazić, jak Monk, ze swoim chronicznym lękiem przed zarazkami i swoją klaustrofobią brnie przez tunel pełen ścieków, bez względu na to, jak wielką czią darzy szczególne miejsce, jakie paryskie kanały zajmują w historii kanalizacji.

- Zamierza pan spacerować przez fekalia jak po salach Luwru?

Nigdy dotąd nie użyłam słowa ekstremity — właściwie zwróciłam na nie uwagę dopiero teraz, kiedy Monk je wypowiedział przed kilkoma minutami — zdawało się równie obrzydliwie jak to, co określało. Było jednak zabawne i cieszyłam się, że mogłam go użyć.

- Jestem przekonany, że to najczystsze na świecie muzeum kanalizacji — oznajmił Monk. — Ale oczywiście zamierzam się zabezpieczyć.

- Uważa pan, że gumowe rękawiczki i chusteczki higieniczne panu wystarczą?

- Skąd, do licha - odparł Monk. - Załatwisz nam hermetyczne kombinezony.

Nie wiedziałam, jak to sobie wyobrażał. Kelner przyniósł nam dania. *Croque monsieur*



to idealnie kwadratowa kanapka z dwóch tostów, z francuską szynką i szwajcarskim serem Gruyère, zapieczona w opiekaczu, który na wytopionym z wierzchu serze pozostawia deseń podobny do wzoru wafelków. Specjał robił o niebo lepsze wrażenie niż kanapki z grillowanym serem mojej babki, która owijała tosty w folię aluminiową i przyciskała je rozgrzanym żelazkiem.

Monk przyglądał się swojej kanapce z czymś, co mogło przypominać zadziwienie.

- To jest jedzenie dla smakoszy?
- Nie powiedziałabym - odparłam. - To klasyczny francuski sandwicz. Można to kupić w każdym bistro.
- Czy smakuje tak, jak wygląda?
- Dowie się pan, kiedy spróbuje.

Monk odkroił nożem i widelcem kawałek sandwicza i włożył go ust. Gryzł powoli i uśmiechał się coraz bardziej błogo, a potem popił wodą Sierra Springs.

- To jest życie - powiedział.

Butelka wody, opiekany sandwicz z serkiem i obietnica wycieczki do kanałów ściekowych - czego więcej chcieć od życia?

## Monk idzie spać

Kiedy czekaliśmy na rachunek, zadzwoniłam do nadinspektora Le Roux i powiedziałam, że mam do niego wielką prośbę. Zapytałam, czy mógłby mi załatwić jeden z kombinezonów, w które odziewają się technicy z medycyny sądowej, aby ochronić się przed działaniem materiałów toksycznych i nie zanieczyścić miejsca przestępstwa.

- Z miłą chęcią — odpowiedział Le Roux. - Spodziewacie się jakiejś brutalnej zbrodni czy to tylko na wszelki wypadek?

- Ani jedno, ani drugie — odparłam. - Wybieramy się zwiedzać Paryż.

- W kombinezonie ochronnym.

- On. Ja nie — powiedziałam i z pamięci podałam mu wymiary Monka.

- Będzie również potrzebował gogli, wysokich butów i maski gazowej? - dopytywał Le Roux.

- Zdecydowanie tak.

- Musi pani wiedzieć, że kombinezony są ja-skrawożółte - uprzedził nadinspektor. - Pan Monk będzie przyciągał uwagę wszędzie, gdzie się pojawi.

- Jesteśmy przyzwyczajeni.

- W takim razie kombinezon będzie czekał na was jutro rano w recepcji - powiedział Le Roux. -

Pan Monk będzie mógł go zabrać na pamiątkę z naszymi najwyższymi wyrazami szacunku.

- To bardzo piękny gest. Ale z pewnością będzie wdzięczny, jeśli go spalicie po użyciu.

- Spalimy?

- Proszę tego nie brać do siebie - powiedziałam.

Le Roux zaproponował, że osobiście pokaże nam

zakątki Paryża, może z myślą że jazda zamkniętym samochodem pozwoli mi zaoszczędzić sobie wstydu, ale podziękowałam uprzejmie. I tak czułam się niezręcznie, dzwoniąc do niego ledwie parę godzin po wielkim pożegnaniu.

Po zapłaceniu rachunku, nie śpiesząc się, wróciliśmy z Monkiem do hotelu, omijając z daleka Champs-Élysées i trzymając się mniej ruchliwych ulic.

Rozglądałam się dookoła, próbując wypatrywać wszystkiego, co jest inne niż w Ameryce. Architektura. Samochody. Sposób, w jaki ludzie idą ulicą. Nazwy sklepów i firm. Ogłoszenia na każdym słupie.

Nasłuchiwałam, jak przechodnie mówią po francusku, wyłapywałam fragmenty francuskich melodii i typowego dla Europy zawodzenia syren policji, karettek pogotowia czy straży pożarnej. Wciągałam powietrze nosem, szukając woni sera, papierosów Gauloises, świeżo wypieczonych bagietek i bryzy znad Sekwany. Wszystkiego, co pachniało po francusku. Dotykałam budynków, latarni i drzew, by zakorzenieć się w tym miejscu i włączyć w krwio-bieg historii, którą miasto było przesycone.

Monk poczuł się z tym bardzo nieswojo.

On również dotykał każdej mijanej latarni. Czasami, kiedy równocześnie sięgaliśmy w to samo miej-

sce, moja dłoń muskała jego palce. Wtedy z jękiem cofał rękę, jakby poraził go prąd.

Nie zważałam na jego problem. Chciałam zanurzyć się w Paryżu jak najgłębiej, chciałam, aby przesiąkł do szpiku moich kości i całego mojego wnętrza. Dla mnie to miasto nie było miejscem, które się zwiedza, lecz miejscem, którego się doświadcza. Próbowałam tylko przyspieszyć ten proces.

Kiedy dotarliśmy do hotelu, byłam zupełnie wyczerpana tym wypatrywaniem, nasłuchiowaniem, wąchaniem i dotykaniem, jak zresztą całym dniem, obfitującym w stresujące wydarzenia.

Monk również wyglądał na umordowanego. Dla neurotyka z zaburzeniami obsesyjno-kompulsywnymi już zwykła codzienność wymaga nadzwyczajnego nakładu energii. Łatwo sobie wyobrazić, co się dzieje, gdy taki człowiek trafia w całkowicie obce środowisko, a na dodatek przychodzi mu rozwikłać morderstwo. Rozumiałam Monka i czułam do niego sympatię, nawet jeśli mocno nadużył mojej cierpliwości.

Podeszłam do recepcji, odebrałam od naszego bladego upiora klucze i ruszyłam w kierunku krętych schodów. Monk poszedł za mną.

Kiedy doszliśmy do pokoju, otworzyłam drzwi i puściłam go przodem. Monk wszedł do środka.

Wnętrze było równie wytworne jak hol na parterze, ale na szczęście przyjaźniejsze. Oba łóżka, sekretarzyk, masywna szafa i fotelik były w stylu Ludwika XVI. Przymocowany do ściany mały telewizor z płaskim ekranem zdawał się zupełnie nie pasować do tego wystroju. Wyglądał jak domowy zgniatacz śmieci ustawiony w glinianej chałupie.

Po lewej stronie znajdowała się łazienka z wolno stojącą

wanną, natryskiem przy baterii, który można było wziąć do ręki jak słuchawkę, i łańcuchem przy toalecie zwisającym z umocowanej wysoko na ścianie spłuczki. Bardzo osobliwe.

Przed nami znajdowały się zasłonięte kotarą drzwi balkonowe prowadzące na wąski balkonik z balustradą z kutego żelaza, który zdawał się pełnić funkcję bardziej dekoracyjną niż użyteczną.

- Czyj to pokój? Twój czy mój? - zapytał po chwili Monk.

- Nasz.

- Nie rozumiem.

Sądzę, że dobrze rozumiał, ale nie potrafił przyjąć do wiadomości potwornych konsekwencji tego, co usłyszał. Człowiek o tak niezwykłej spostrzegawczości natychmiast musiał zauważyć, że przy szafie stoją obie nasze walizki.

- Mamy wspólny pokój, panie Monk - oznajmiłam.

- To niemożliwe.

- Nie ma wolnych pokoi pojedynczych na parzystych piętrach, a nie stać pana na jeden taki pokój dla siebie i drugi dla mnie.

- Są inne hotele.

- Ale nie ma dwugwiazdkowych, które byłyby na naszą kieszeń, spełniały pańskie wymogi czystości i miały wolne pokoje. To tyle. Zostajemy tutaj.

- Tak nie wolno - powiedział.

- Ludzie od wieków dzielą pokoje, panie Monk. Właśnie dlatego wyposaża się je w dwa osobne duże łóżka.

- Ja nie mogę - uparł się Monk.

- W pańskim mieszkaniu, niewiele większym

od tego pokoju, niemal codziennie spędzamy razem długie godziny. Więc co za różnica?

- Nigdy nie śpimy w tym samym pokoju i nie kąpiemy się w tej samej łazience — powiedział Monk z lekkim wzdrygnięciem.

- Kiedyś spał pan u mnie przez kilka dni, gdy pański budynek poddano dezynfekcji. Wszyscy troje dzieliiliśmy jedną łazienkę. To to samo.

- Ale spaliliśmy w osobnych pokojach. Za zamkniętymi drzwiami. Na klucz.

- Ja nie zamykałam swoich drzwi na klucz - powiedziałam. — Julie również nie.

- Bo nic wam nie groziło.

- Panu coś groziło?

Monk poruszył niezgrabnie ramionami i przechylił niezdarnie głowę w jedną i drugą stronę.

- Tak nie może być - powtórzył.

- Chyba powiedział pan, że mi ufa, prawda?

- Ufam.

- Więc w czym problem?

- To nie problem.

- Świetnie.

- To tysiące problemów. Nie wiem, od którego zacząć.

- W takim razie niech pan nad tym pomyśli, a ja w tym czasie przebiorę się do spania. - Podniosłam swoją walizkę i rozpięłam zamek błyskawiczny.

- Chyba nie zrobisz tego tutaj, prawda? - zapytał trwożliwie Monk.

- Idę do łazienki.

Wyjęłam z walizki kosmetyczkę z przyborami toaletowymi i długą koszulę nocną. Monk gwałtownie odwrócił głowę, zawstydzony widokiem damskich rzeczy.

- Do tej?
- Mamy jakąś inną łazienkę?
- Mamy tę nie w tym pokoju.
- Jeśli ma pan ochotę skorzystać z tej innej łazienki, panie Monk, bardzo proszę. Ja będę korzystała z tej. Zaproponowałabym, aby skorzystał pan z niej przede mną, ale obawiam się, że mój pęcherz nie wytrzymałby trzech długich godzin, które spędziłby pan najpierw na gruntownym szorowaniu łazienki.

Monk przymknął na moment oczy.

- Nie używaj słowa na „p” w miejscu publicznym.
- Nie znajdujemy się w miejscu publicznym - przypomniałam. - Jesteśmy w naszym pokoju.
- Mimo to nie powinnaś posługiwać się marynarskim słownictwem.

- Marynarze często mówią „pęcherz”?

Monk znowu przymknął oczy.

- I nie mów „nasz pokój”.
- To jak mam mówić?
- Miejsce, w którym przyszło mi spać w niesławie.
- W niesławie?

- Jestem pracodawcą, który spędza noc w hotelowym pokoju ze swoją pełną wigoru pracowniczką. Jak to będzie wyglądało w oczach innych?

- Jakich innych?
- Innych, którzy to zobaczą.
- Moglibyśmy rozwiesić prześcieradło przez środek pokoju - powiedziałam. - Jak w *Ich nocach*.
- Czyich nocach? - zaniepokoił się Monk.
- Niczych. To tytuł filmu z Clarkiem Gable'em i Claudette Colbert.
- Prześcieradło nie pomoże.
- Dlaczego?

- Pokój nie jest symetryczny - wyjaśnił Monk. - Do jednej połowy będzie należał balkon, a do drugiej toaleta.

- W takim razie musi pan z tym jakoś żyć. Uśmiechnęłam się do niego „z wigorem” i wyszłam do łazienki, zamykając za sobą drzwi.

Monk natychmiast włączył telewizor, jak się domyślałam z obawy, że może usłyszeć coś, czego nie chce usłyszeć i do czego w ogóle nie powinno tutaj dojść.

Skorzystałam z toalety, zmyłam makijaż, wyczyściłam zęby, wzięłam szybki natrysk, wślizgnęłam się w koszulę nocną, którą Julie nazywa koszulą mojej babci, i wyszłam z łazienki.

Monk siedział na skraju łóżka stojącego od strony okna i udawał, że ogląda *Zagadki kryminalne Miami*. Film był z francuskim dubbingiem, przez co David Caruso robił wrażenie współcześnie ubranego inspektora Clouseau.

- Wolna - obwieściłam, pokazując łazienkę.
- Niepotrzebna mi łazienka.
- Nie chce się pan przygotować do spania?
- Jestem gotów.
- Jest pan ubrany.
- Tak kładę się spać w hotelach.
- Może pan na mnie spojrzeć, panie Monk — powiedziałam.
- Przecież patrzę - odparł, wpatrując się wciąż w telewizor.
- Nie jestem naga, mam na sobie długą koszulę nocną. Widywał mnie pan bardziej skąpo ubraną.
- Nie widywałem.
- Kiedy byliśmy na Hawajach, miałam na sobie bikini.



— Nie zauważyłem.

- Dobrze, w porządku, niech pan nie patrzy - poddałam się. - Jednak kto jak kto, ale pan po winien wiedzieć, że człowiek nie kładzie się spać w ubraniu.

— To bardzo wygodne ubranie.

- Lepi się od brudu. Nosił je pan przez ostatnie szesnaście godzin; w samolocie, gdzie siedział pan w fotelu, na którym wcześniej siedziało setki obcych ludzi, w radiowozie, którym jeździło Bóg wie ilu bandziorów, gwałcicieli, handlarzy narkotyków, prostytutek i pijaków, i miał je pan na sobie dzisiaj na ulicy, gdzie ocierał się pan o niezliczoną liczbę przechodniów. Naprawdę ma pan zamiar spać w tych rzeczach i do tego jeszcze w brudnych butach?

Wiedziałam, że ten argument go przekona.

Monk nabrał głęboko powietrza w płuca, poruszył niezgrabnie ramionami, a potem wziął swoją walizkę i wniósł ją do łazienki, wciąż starając się na mnie nie patrzeć. Po chwili zamknął za sobą drzwi.

Na klucz.

Szkoda, będę musiała powstrzymać chęć, by znie-nacka wtargnąć do łazienki i spojrzeć, jak Monk czyści sobie zęby nitką dentystyczną.

Wybrałam łóżko koło okna, telewizor zostawiłam włączony z myślą o dobrym samopoczuciu Monka, a potem wskoczyłam pod kołdrę i obłożyłam się przewodnikami po Paryżu.

Niejedno było do obejrzenia i zrobienia, ale koniecznie chciałam uniknąć rzeczy, które już robiłam, i miejsc, w których już byłam - z Mitchem. Ale z drugiej strony, czy nie dlatego tu przyjechałam? Żeby raz jeszcze doświadczyć tamtej radości, nawet jeśli z rysą wielkiego smutku i straty? Nie wiedziałam.

Sama dla siebie stanowiłam tajemnicę i założyłam się, że także dla Adriana Monka, a przecież jest wielkim detektywem, więc już to powinno wam dać do zrozumienia, jak bardzo byłam tajemnicza. Nie mówiąc już, że „pełna wigoru”.

Poczytałam o Musée des Égouts de Paris i choć nigdy bym się do tego Monkowi nie przyznała, to istotnie paryska kanalizacja wydała mi się czymś bardzo interesującym i w każdym calu tak doniosłym historycznie, jak przedstawił to Monk.

Kiedy Victor Hugo unieśmiertelnił w *Nędznikach* paryską kanalizację, nazwał ją „okopem prawdy” i „sumieniem miasta”, ponieważ w tych cuchnących tunelach „są cienie, ale nie ma już żadnych tajemnic”.

To właśnie do kanałów Victor Hugo kazał uciekać swojemu tragicznemu bohaterowi, Jeanowi Valjeanowi, z rannym człowiekiem na barkach. To tam z uprowadzoną ukochaną umknął niebezpiecznie romantyczny i skazany na zgubę upiór z opery z dzieła Gastona Leroux i tam spotkał go chwytający za serce, tragiczny koniec.

Doszłam do wniosku, że jeśli Hugo i Leroux potrafili dostrzec w kanałach ściekowych tyle romantyzmu, przygód i znaczenia dla życia społecznego, to może ja również wyniosę z takiej wizyty coś wartościowego dla siebie.

Czytając na ten temat, natknęłam się na dłuższy fragment o katakumbach - kolejna podziemna budowla o historycznej wartości, która wzbudziła moje zainteresowanie i która, jak sądziłam, spodobałaby się również Monkowi. Zagięłam narożnik, by zaznaczyć stronę, i zaczęłam przeglądać kolejne rozdziały.

Po godzinie powieki zaczęły mi się kleić, a Monk ciągle siedział w łazience i nie było sensu dłużej na niego czekać. Tego wieczoru nie mieliśmy już sobie nic do powiedzenia poza być może „słodkich snów!”

Odłożyłam więc książki na szafkę, wyłączyłam nocną lampkę i zasnęłam, zanim przyłożyłam głowę do poduszki.

## Monk idzie na spacer

Obudziłam się około siódmej, przyciskając poduszkę do twarzy, aby osłonić się przed blaskiem słońca, który przenikał przez cienkie zasłony. Skręcone prześcieradło i kołdra ciasno oplatały moje ciało niczym boa dusiciel krepujący swoją ofiarę.

Uwolniłam się z pościeli, przekręciłam na drugą stronę i spojrzałam ponad luką między łózkami, która równie dobrze mogłaby być bezdenną otchłanią.

W pierwszej chwili pomyślałam, że Monk posłał łóżko i wyszedł już z pokoju. Ale kiedy usiadłam, zobaczyłam jego głowę wyzierającą spod zasłanej pościeli. Leżał na plecach, oczy miał szeroko otwarte, wzrok wbity w sufit.

Nie pojmowałam, jak udało mu się wejść do łóżka, nie naruszając idealnie ułożonej kołdry, czy może raczej jak udało mu się spłaszczyć ciało do tego stopnia, żeby nie zrobić na niej najmniejszej zmarszczki. To jakaś magiczna sztuczka?

- Dzień dobry, panie Monk - powitałam go.
- Dzień dobry.
- Dobrze pan spał?
- Na tyle dobrze, na ile można się było tego spodziewać.
- Czyli?

- Wcale.
- W ogóle pan nie spał?
- Liczyłem barany - powiedział Monk. — Naliczyłem ich dwadzieścia dziewięć tysięcy dwieście osiemdziesiąt.
- Niemało.
- Nie mogę się od nich opędzić. Wciąż widzę, jak przeskakują przez łóżko.
- To halucynacje - stwierdziłam. - Albo popadł pan w delirium.
- Co mam robić?
- Niech pan po prostu zamknie oczy - poradziłam i wyszłam z łóżka, co natychmiast zmusiło go do pójścia za moją radą.

Przeszłam bosą przez pokój, wyjęłam ze swojej walizki jakieś rzeczy i weszłam do łazienki. Wzięłam natrysk, wyczyściłam zęby, zrobiłam delikatny makijaż i ubrałam się.

Kiedy wyszłam z łazienki, Monk spał, a ponieważ nie wiązały nas tego dnia żadne plany, wyszłam cicho z pokoju, aby mógł się wyspać, i zeszłam na dół.

Za ladą recepcji siedział już ktoś inny, mężczyzna w średnim wieku, z tak okrągłymi policzkami, że trzymał chyba w buzi dwie piłki tenisowe. Ubrany był w coś, co wyglądało jak sweter zrobiony na drutach przez kogoś, kto nie ma pojęcia o robieniu na drutach.

Posłałam mu uśmiech i wesoło powiedziałam *bonjour*. Zupełnie mnie zignorował. Takiej Francji nie miałam w pamięci.

Wyszłam z hotelu i poszłam ulicą do najbliższego *presse*, stoiska z prasą w dużym, otwartym szeroko słupie ogłoszeniowym, gdzie kupiłam „Le Monde”.

Potem znalazłam sobie kawiarenkę, zamówiłam gorącego croissanta z masłem, tarte truskawkową i filiżankę kawy i usiadłam przy stoliku na zewnątrz, by poczytać gazetę.

Croissant był niezwykle delikatny i pulchny, jakby złożony z upieczonych płatków, wprost wyborny, w niczym nieprzypominający słodkich rogali, które w Ameryce ośmielamy się nazywać croissantami. Choć prawdę mówiąc, mogłabym tu jeść suchą karmę dla psów i też by mi smakowała, tylko dlatego, że siedziałam w paryskiej kawiarence i jadłam śniadanie.

Rozpostarłam gazetę i przejrzałam wiadomości ze świata, czując się bardzo paryżanką, a ani trochę turystką. Brakowało mi tylko zwiewnego szala i pudelka na smyczy, żebym się upodobniła do przechodzących chodnikiem Francuzek.

Czytanie gazety nie szło mi łatwo i co chwilę stawały mi przed oczami licealne lekcje francuskiego, na których czoło miałam mokre od potu. Jednak nawet z moim nie najlepszym francuskim udało mi się wyłowić niedługi artykuł o morderstwie w samolocie, którego autor wspominał o Monku.

Byłam z niego bardzo dumna, choć wydarzenia w samolocie wciąż były dla mnie bardzo przykre. Teraz, kiedy wiedziałam, że śledztwo nie zakłóci nam pobytu we Francji, łatwiej mi było zachwycać się moim szefem. Poza tym szczerze mnie cieszyło, że również na drugim końcu świata Monk mógł dowieść swojego geniuszu.

Złożyłam gazetę i schowałam ją do torebki, by pokazać później Monkowi. Czy mógłby wywieźć z Paryża lepszą pamiątkę niż taki artykuł? Mógłby mu nawet pomóc w uzyskaniu podwyżki, kiedy na-

dejdzie czas renegocjowania kontraktu z Departamentem Policji San Francisco. Detektyw światowej sławy powinien zarabiać więcej niż ledwie lokalny geniusz dedukcji, nie sądzicie?

Siedziałam jeszcze jakiś czas i obserwowałam ludzi, skubiąc bez pośpiechu tarte, by mieć powód do dłuższego przesiadywania w kawiarence. W końcu o dziewiątej wstałam, kupiłam Monkowi croissan-ta i wróciłam do hotelu.

Pierwszą rzeczą, na jaką zwróciłam uwagę po wejściu do holu, były zrozpaczone oczy recepcjonisty i przerażenie, jakie malowało się na twarzach paru gości hotelowych, wychodzących akurat z windy. Wszyscy reagowali w ten sposób na coś w dalszej, wypoczynkowej części holu.

Tym czymś był oczywiście Monk w żółtym kombinezonie. Miał na sobie wszystko, łącznie z kapturem, goglami, maską gazową, rękawicami i wysokimi butami. Z klamry u pasa wisiała etykieta hotelowej przechowalni.

Podeszłam do niego.

- Co pan robi w tym kombinezonie?

- Jestem gotów na zwiedzanie muzeum kanalizacji - odpowiedział.

- Jeszcze nie jesteśmy w muzeum - stwierdziłam. - Nie musi pan wkładać kombinezonu już teraz.

- Nic nie zaszkodzi.

- Wywołuje pan panikę u gości hotelowych i odstrasza każdego, kto chciałby tu wejść. Przez pański wygląd wszyscy myślą, że hotel jest skażony i został poddany kwarantannie.

Monk opuścił kaptur, zdjął gogle i maskę gazową. Wyglądał teraz jak astronauta, który przed chwilą wylądował na Ziemi.

- Nie wiedziałem, że Francuzi są tacy wrażliwi. Wyprowadziłam go czym prędzej za drzwi i wręczyłam torebkę z kawiarenki.
- Przyniosłam panu croissanta na śniadanie - powiedziałam.
- Planowałem zjeść *croque monsieur*.
- Zjadł go pan na kolację - przypomniałam.
- I przeżyłem noc - stwierdził Monk. — Po co mam ryzykować i jeść coś innego?
- Bo może jest to coś równie dobrego, a może nawet lepszego od *croque monsieur*.

- Poza tym w tamtej kawiarence mieli moją wodę. Zrozumiałam, że jeśli będzie dalej obstawał przy swoim, wszystkie posiłki w Paryżu zjemy w tym samym miejscu. Ale cóż, mogłyby się zdarzyć gorsze rzeczy, więc zaczęłam się w tym doszukiwać jakichś korzyści, z których pierwszą było to, że będę mogła spałaszować croissanta Monka.

Idąc bocznymi uliczkami i unikając Champs--Elysées, wróciliśmy do kawiarni, gdzie poprzedniego dnia jedliśmy kolację. Po drodze rozkoszowałam się croissantem i zdążyłam zauważyć, że Monk przyciąga dużo mniej zaciekawionych spojrzeń, niż można się było spodziewać. Wydawało się, że większość ludzi uważa to za normalne, co ja uważałam za nieco dziwne.

Kiedy Monk chodził w masce gazowej po ulicach Los Angeles, tak bardzo zwracał na siebie uwagę, że niemal spowodował kilka wypadków drogowych.

Podszedł do nas ten sam kelner, który pracował poprzedniego wieczoru. Słyszałam, że Francuzi nie lubią pytać o prywatne sprawy, więc nie zapytałam, dlaczego pracuje tu tyle godzin. Jeśli wygląd



Monka go zszokował, to absolutnie nie dał tego po sobie poznać.

Dla Monka zamówiłam *la même chose* co wczoraj, a dla siebie filiżankę kawy.

Kiedy kelner odszedł, usłyszałam raptem ciężkie stęknienie Monka. Podążyłam za jego wzrokiem i zobaczyłam, jak przy sąsiednim stoliku jakaś kobieta karmi chlebkiem siedzącego jej na kolanach terierka rasy Jack Russell. Kobieta miała około sześćdziesięciu lat i była elegancko ubrana, jakby wybierała się na raut wyższych sfer.

- Powiedz jej, że nie wolno tak robić - powiedział Monk.

- Tutaj wolno - odparłam.

- Wprowadzanie psów do lokalu gastronomicznego jest niehigieniczne - stwierdził Monk.

- Nie jesteśmy w lokalu - zauważyłam. - Siedzimy na zewnątrz. Zresztą nie wydaje mi się, żeby ten piesek jadł ze stołu.

- Spójrz teraz.

Spojrzałam. Piesek jadł prosto z talerza swojej pani.

- Nie nam tutaj krytykować innych - stwierdziłam.

- Nie chciałbym, żeby inspektor sanitarny zamknął tę czarującą restauracyjkę tylko dlatego, że jedna kobieta zachowuje się jak dzicy w dżungli.

Zanim zdążyłam coś powiedzieć, Monk wstał i podszedł do jej stołu.

Piesek zaczął ujadać jak szalony i wrywać się w kierunku Monka. Gdyby kobieta nie przyciskała go do swego obfitego łona, mógłby skoczyć Monkowi do gardła.

- Nie może pani wprowadzać psa do restauracji

i pozwalać mu jeść z własnego talerza - oznajmił. —  
Czy pani życzy sobie śmierci?

- Jak pan śmie tak do mnie mówić? - odparła kobieta  
mocnym głosem, płynnym angielskim, może z lekkim  
akcentem.

- Czas najwyższy, żeby ktoś się ośmielił — stwierdził  
Monk. - Rozumiem, że pani pies tak się zachowuje,  
ale pani jest istotą ludzką, więc niechże się pani  
zachowuje jak człowiek.

- Czy pan wie, kim jestem, ty, ty... bezczelny, mały  
śmieciarzu!

Dopiero ta uwaga uświadomiła mi, dlaczego wygląd  
Monka frapował tak niewielu przechodniów. Po prostu  
wyglądał jak francuski śmieciarz.

Malutka bestia szczekała nieustannie i dziko walczyła,  
by wyrwać się z objęć pani.

- Wiem, że jest pani niechlujna, budzi wstręt i stanowi  
bezpośrednie zagrożenie dla zdrowia publicznego -  
mówił dalej Monk. - Jeśli pani natychmiast nie opuści  
ze swoim pieskiem tej restauracji, każę panią  
aresztować pod zarzutem usiłowania zabójstwa.

Jej twarz stała się tak purpurowa, że myślałam, iż  
kobieta doznała wylewu krwi do mózgu. Otworzyła  
usta, aby coś powiedzieć, ale zamiast mówić, wydała  
nagle z siebie przeciągły, zatrważający wrzask i puściła  
psa.

Zobaczyłam, że jej suknia jest cała mokra. Zwierzaczek  
tak się zdenerwował, że obsikał panią.

Monk odskoczył, jakby dostał kulą w pierś, chcąc  
uciec od psa i uryny, która poplamiała rzeczy eleganckiej  
pani.

Pies rzucił się za Monkiem, ale stanął nagle ze  
skowytym w miejscu, gwałtownie powściągnięty

zbyt krótką smyczą. Kobieta zalała się łzami upokorzenia i wściekłości. Byłam zdziwiona, że nie poszczuła Monka psem. Złapała torebkę i odeszła szybkim krokiem, ciągnąc za sobą na smyczy opierające się i ujadające stworzenie, którego pazury drapały chodnik jak kreda szkolną tablicę.

Sposób, w jaki się zwracała do Monka, kazał się domyślać, że najpewniej była osobą poważaną, może z kręgu władzy lub żoną kogoś ważnego, i raczej nawykłą do okazywania jej szacunku i względów. Byłam niemal pewna, że niebawem wróci, ciągnąc za sobą obok terierka samego Nicholasa Sarkozy'ego.

Monk usiadł z powrotem na swoim miejscu.

- Ten stół należy spalić na popiół. Bądź łaska wa poinformować o tym kelnera.

— Nie omieszkam.

Reszta śniadania minęła bez przygód i wkrótce ruszyliśmy pieszo w kierunku muzeum kanalizacji.

Przecieliśmy Champs-Élysées i szliśmy dalej wzdłuż Avenue Georges V w kierunku Sekwany i wieży Eiffla. Po obu stronach alei ciągnęły się szykowne butikiki, w których jedna skarpetka kosztowała więcej niż mój samochód, a żeby kupić tu torebkę, musiałabym znowu zastawić dom w banku.

Po pewnym czasie doszliśmy do majestatycznej, dziewiętnastowiecznej kamienicy przy Avenue Georges V 39, która wyglądała, jakby się topiła w promieniach słońca. Z bliska jednak okazało się, że to tylko iluzja. Było to bowiem malowidło na wielkim płótnie, rozpostarte na rusztowaniu, które ciągnęło się wokół budynku przechodzącego renowację.

Malowidło było niezwykle realistycznym, nieco zniekształconym przedstawieniem tego, jak by wy-

glądała wykończona kamienica w salonie krzywych lusterek lub być może w oczach Salvadora Dali.

Afisz wiszący na płótnie opisywał dzieło jako „surrealizm urbanistyczny”. Byłam pod wielkim wrażeniem. Do płótna dodano nawet gzymsy z polistyrenu i siedzące na nich kruki, tworząc iluzję większego realizmu, niż gdyby malarz sięgnął po różne sztuczki światłocienia i perspektywy.

Fakt, że komuś chciało się włożyć wysiłek, aby ze zwykłego placu budowy zrobić coś znaczącego i godnego zapamiętania, był dla mnie przejawem tego, co czyni Paryż miastem szczególnym. Zrobiłam budynkowi zdjęcie aparatem w telefonie komórkowym.

Monk, rzecz jasna, był przerażony iluzją mieniącą się w słońcu fasady. W jego mniemaniu było to obelżywe i niezdane, a do tego stanowiło zagrożenie dla bezpieczeństwa publicznego.

Prawdopodobnie jesteście zmęczeni tyradami Monka przeciwko nonkonformizmowi nie mniej niż ja, więc nie będę was zanudzać przemówieniem, którym mnie uraczył. Zresztą nawet gdybym chciała, nie mogłabym się tym z wami podzielić, ponieważ w ogóle go nie słuchałam. Za bardzo pochłaniał mnie zachwyt nad tym ujmującym, trochę szelmowskim dziełem sztuki.

W dalszej drodze natknęliśmy się na jeszcze jedno dzieło sztuki urbanistycznej - które miało swój dodatkowy wymiar, pełniąc jeszcze rolę ciętego podtekstu społecznego. Choć byłam przekonana, że ten *objet d'art* został stworzony nieświadomie, przez ludzi mających na celu wyłącznie jego funkcjonalność i praktyczność.

Wiedziałam, że Monk będzie nim zachwycony.

Mowa oczywiście o *sanisette*, która stała po drugiej stronie ulicy, dokładnie naprzeciw *très exclusif* i *très cher* hotelu sieci Four Seasons.

*Sanisette* to po prostu publiczna toaleta, jednak technologicznie znacznie bardziej zaawansowana od cuchnących *pissoirs*, które wciąż można zobaczyć w niektórych zakątkach Paryża, czy każdej innej toalety, do której zdarzyło mi się wejść.

Budka miała cylindryczny kształt i była zbudowana z nierdzewnej stali i karbowanego betonu, co przydawało jej futurystyczny wygląd, bardziej maszyny do przenoszenia się w czasie niż toalety. Jej rzeczywiste przeznaczenie zdradzał jednak napis: *Toilettes gratuites* oraz klasyczne obrazki pana i pani.

Postawienie w jednym planie *sanisette* i pięciogwiazdkowego, ekskluzywnego hotelu wydawało mi się czymś fascynującym, cudacznym i wartym uwiecznienia aparatem w moim telefonie.

—Cóż to za toaleta? - zapytał zaciekawiony Monk.

—Jedna dla obu płci, całkowicie zautomatyzowana, samoczyszcząca się, bez spłuczki - wyjaśniłam. -Po każdym użyciu wewnątrz zostaje spłukane chemicznymi detergentami, wymyte, wyszorowane, wyczyszczone i wydezynfekowane. Toaleta jest darmowa i można ją znaleźć jak Paryż długi i szeroki.

Doszłam do wniosku, że *sanisette* postawiono w tym miejscu, aby turyści i włóczędzy nie wchodzili do eleganckich sklepów czy hotelu Four Seasons tylko po to, żeby skorzystać z toalety lub, co gorsza, żeby nie uciekali się do ostateczności i nie załatwiali na ulicy.

— Muszę to zobaczyć - oświadczył Monk. - Uważaj. Odsuń się.

Nie wiem, jakie niebezpieczeństwo mógł dostrzec

w budce Monk, ale dla żartu cofnęłam się o krok z poważną miną.

Monk włożył maskę gazową, gogle, wcisnął przycisk otwierający przesuwane drzwi z nierdzewnej stali i wszedł do jasno oświetlonego wnętrza z białego plastiku.

Drzwi automatycznie się za nim zasunęły. Po pewnym czasie Monk wyszedł i zdjął maskę gazową i gogle.

- Niewiarygodne - powiedział.

Drzwi znowu się zamknęły, a my nasłuchiwaliliśmy, jak toaleta sama się w środku spłukuje i myje. Słyszeliśmy szum wypryskiwanych środków czyszczących i włączanie się kolejnych trybów cyklu mycia.

- Co pan tam robił? - zapytałam.

- Nie to — odparł.

Wzruszyłam ramionami.

- Po to to jest.

- Splunąłem — wyznał Monk.

- To nie przestępstwo.

- Nie, jeśli dowód zostanie dokładnie spłukany - odparł. - Zaraz się przekonamy. Jeśli zostanie ślad, zawsze mogę jeszcze użyć chusteczki.

- Co za ulga...

Po niedługim czasie na panelu kontrolnym zapaliło się zielone światelko i Monk znowu wcisnął przycisk otwierający toaletę. Drzwi się odsunęły i Monk wszedł do środka, nie zakładając już tym razem maski ani gogli, co było z jego strony wielkim aktem odwagi.

Monk powąchał powietrze i spojrzał ze zdumieniem na lśniące powierzchnie, a drzwi cicho się za nim zamknęły.

Spodziewałam się, że Monk będzie chciał pod-

nieść *sanisette* i zabrać ją ze sobą na planetę, z której przybył Mr. Clean - do krainy wolnej od zarazków, w której błyszczy każda płaszczyzna. Ceną jaką ludzie muszą płacić na tej planecie za czystość, są szokująco białe brwi i całkowita łysina. Taki wygląd może pasować Mr. Cleanowi, zwłaszcza ze stylowym kolczykiem w uchu, ale zdecydowana większość ludzi, gdyby miała do wyboru, wolałaby zapewne żyć z paroma brudnymi blatami i zarazkami, byle tylko zachować włosy na głowie i pasujące do nich kolorem brwi.

Kiedy Monk wyszedł, zakończywszy inspekcję, oświadczył:

- Szkoda, że nie mogę tu zamieszkać.
- W publicznej toalecie?
- To rąbek nieba. Wyobraź sobie tylko, gdyby ludzie mogli budować takie domy, takie miejsca, które po każdym użyciu same się czyszczą i dezynfekują. To byłby istny raj.
- W moich uszach brzmi to jak koszmara.

Monk studiował przez chwilę *sanisette* z zewnątrz.

- Ciekawe, czy mógłbym zainstalować coś takiego u siebie w mieszkaniu.
- Wątpię.
- Na pewno się zmieści.
- Nie w tym rzecz. Musiałby pan uzyskać zgodę nadzoru budowlanego, sąsiadów i właściciela budynku. Nawet zakładając, że zdobyłby pan to wszystko, nie byłoby pana stać na pokrycie kosztów zakupu, transportu i remontu domu, niezbędnego do zainstalowania toalety.
- Sprzedałbym wszystko, co mam - zadeklarował. — Z pewnością to wiązałoby się również z nieznacznym obniżeniem ci pensji.
- Przecież pan nie ma nic na sprzedaż - zauważyłam.
- A gdyby chciał pan jeszcze bardziej obniżyć mi pensję, to pracowałabym za darmo.
- Zrobiłabyś to?
- Nie, panie Monk. Nie zrobiłabym tego.
- Nie uważasz, że to mały przejaw samolubstwa?

- Mam córkę na wychowaniu - przypomniałam.  
- To może potem. Julie prędzej czy później odejdzie z domu.

- Wciąż będzie mi potrzebny dach nad głową i coś do jedzenia - powiedziałam.

Monk poruszył niezgrabnie ramionami.

- Jesteś tego pewna?

- Tak, panie Monk. Jestem pewna.

- Twój ojciec jest bogatym człowiekiem - powiedział Monk. - Jestem pewien, że nie dałby ci przymierać głodem.

- Szanuję pana, panie Monk, troszczę się o pana, a pańskie szczęście bardzo mi leży na sercu, ale nie będę pracowała za darmo tylko po to, żeby pan mógł sobie kupić *sanisette*. Może pan od razu zapomnieć o takim pomysle.

Monk kiwnął głową i westchnął.

- Jak sądzisz, stoi coś takiego w pobliżu naszego hotelu?

- Myśli pan, że mógłby pan korzystać z publicznej toalety zamiast hotelowej łazienki?

- Myślałem, że ty mogłabyś z niej korzystać.

- To niech pan pomyśli jeszcze raz - odparowałam i ruszyłam w dalszą drogę.



## Monk i kanalizacja

Jeśli nikt nigdy nie szukał Musée des Egouts de Paris i nie wie, gdzie się ono znajduje, łatwo może wziąć jego małą, biało-niebieską kasę biletową w parku nad Sekwaną za uliczną budkę z kanapkami albo kiosk z gazetami.

Dla oznaczenia wejścia do muzeum kanałów ściekowych spodziewałabym się raczej czegoś weselszego czy bardziej przewrotnego, jeśli nie z innego powodu, to choćby po to, żeby przyciągnąć turystów. Skoro jednak nie wchodziło w grę nic żartobliwego, to pomyślałabym, że warto pójść w drugą stronę i postawić monumentalną budowlę, emanującą powagą, trwałością i budzącą autentyczny szacunek, aby ludzie myśleli o muzeum kanalizacji z prawdziwą atencją.

W każdym razie na pewno nie spodziewałam się najzwyczajszej budki.

Kiedy jednak obok muzeum zobaczyłam luksusowe apartamenty ciągnące się nad rzeką wzdłuż ulicy, zrozumiałam, że niepozorny projekt ma swoje uzasadnienie. Mieszkańcy drogich apartamentów wzdłuż Quai d'Orsay zapewne nie chcieli, by każdy przechodzień wiedział, że mieszkają przy wejściu do kanalizacji ściekowej.

To oczywiście głupie, bo przecież każde miesz-

kanie w Paryżu znajduje się nad kanalizacją, ale nie-trudno o tym zapomnieć. Tymczasem rzucające się w oczy muzeum z pewnością by o tym przypominało.

Muzeum kanalizacji nie przyciągało tłumów na miarę Luwru. Do kasy stało przed nami zaledwie kilka osób. Kolejno kupowali bilety i schodzili pod ziemię przez duży kwadratowy właz.

Monk odprowadzał ich wzrokiem i kręcił głową.

- Dziwi mnie, że nikt nie włożył kombinezonu - powiedział.

- Po co?

- Ponieważ schodzą do kanałów ściekowych. - Monk spojrzał na mnie. - Ty też powinnaś mieć strój ochronny.

- Pod koniec dziewiętnastego wieku bogaci i sławni ludzie zwiedzali kanały w najlepszych strojach wyjściowych, płynąc rzeką ścieków w eleganckich gondolach oświetlonych lampami gazowymi.

Nawet w moich uszach zabrzmiało to tak, jakbym mówiła o przejażdżce łódką po Disneylandzie w piekle.

- Skąd wiesz?

- Wczoraj wieczorem przeczytałam trochę o naszym muzeum w przewodniku.

- Z pewnością nie napisali tam, że zaraz po wyjściu zwiedzający umierali z powodu zarazy.

- O ile pamiętam, mówił pan, że to najczystsza kanalizacja na świecie.

- Owszem - przyznał. - Ale to nadal tylko kanalizacja.

- Cóż, pan ma swój strój wyjściowy, a ja swój. Monk spojrzał na mnie z dezaprobatą a potem założył gogle, maskę gazową i rękawice.

Zapłaciłam za bilety i dostałam broszurę, z którą

można samemu zwiedzać muzeum. W końcu zeszedliśmy w czeluść.

Przygotowałam się na uderzenie fali gryzącego odoru z kloaczej rzeki ścieków — paskudnego zapachu, tysiąc razy gorszego od każdej latryny czy przenośnej toalety, jaką tylko można sobie wyobrazić.

Jednak ku mojemu zdumieniu i wielkiej uldze zapach w szerokim tunelu wcale nie był przykry. Bywało, że przechodziłam przez świeżo użyźniony trawnik, który wydzieliał o wiele silniejszy zapach. Czułam woń w rodzaju lekko kwaśnej wilgoci, dokładnie taki, jakiego spodziewałby się człowiek w podziemnej grocie, przez którą przepływa strumyk.

Nie widziałam jeszcze wody, ale słyszałam jej przytłumiony szmer dobiegający gdzieś zza ścian tunelu, w którym staliśmy. Kanał miał łukowate sklepienie, był jasno oświetlony i na tyle szeroki, że bez problemu mogłaby tu wjechać półciągarówka.

Na ścianach wisiały tablice informacyjne, które objaśniały i ilustrowały rozwój paryskiej kanalizacji. Tekst napisany był po francusku, więc w czasie zwiedzania próbowałam w skrócie objaśniać Monkowi, co jest napisane na tablicach.

Najlepszym rodzynkiem była informacja, że do 1859 roku do obowiązków prefektury policji, poza utrzymywaniem porządku, należała dbałość o stan zdrowia i higieny publicznej, co oznaczało również oczyszczanie miejskich ulic i kanałów.

— Świat doskonały — rzekł z uznaniem Monk.

Wiedziałam, że to mu się spodoba.

Byłby w siódmym niebie, gdyby mógł patrolować ulice San Francisco, uzbrojony w butelkę płynu do czyszczenia, szczotkę, mopa i szmaty, wypisując ludziom mandaty za niezachowanie dostatecznej higieny.

Było też kilka zdjęć z końca dziewiętnastego wieku, które przedstawiały gości zwiedzających kanały. Według podpisu pod fotografiami ludzie nie mogli wyjść z podziwu, że wszędzie jest tak czysto. Kanałami można było przejść wiele kilometrów i wyjść na ulicę bez najmniejszej smużki na ubraniu.

Kobiety miały na głowach czepki wiązane pod szyją, a na nogach buty na wysokich obcasach, jakby się wybierały na niedzielny piknik. Mężczyźni byli w kapeluszach, krawatach i długich płaszczach. Ubrani w uniformy pracownicy kanałów ciągnęli rzeką ludzkich odchodów łodzie pełne *la bourgeoisie*. Nawet jeśli czuli się dotknięci faktem, że muszą służyć za konie pociągowe, to na ich uśmiechniętych, dumnych twarzach nie było tego widać.

Monk z zajęciem studiował fotografie, przechylając głowę to w jedną, to w drugą stronę i podchodząc do nich na tyle blisko, na ile tylko pozwalała mu maska gazowa. Nie miałam pojęcia, czego tak wypatruje, i nie miałam ochoty go pytać.

Minęliśmy kilka manekinów ubranych w dawne kombinezony pracowników miejskiej kanalizacji ustawionych obok sprzętu do pogłębiania kanałów.

Narzędzia właściwie nie zmieniły się znacząco w ciągu minionego stulecia, pomimo gwałtownego postępu technologicznego w niemal każdej innej dziedzinie działalności człowieka. Dzisiejsi pracownicy wciąż korzystali z płaskodennych łódek mieszczących się w śluzach oraz potężnych, uruchamianych ręcznie urządzeń przypominających pług, które służyły do przepychania ścieków. Używanie w kanałach urządzeń elektrycznych było niebezpieczne.

Pod Paryżem ciągnęło się ponad dwa tysiące

kilometrow kanałów ściekowych, z których każdy był podziemnym odbiciem biegnącej nad nim ulicy. Na ścianach znajdowały się te same biało-niebieskie tabliczki z nazwami ciągnących się na powierzchni ulic, a nawet wyryte, a czasem namalowane, numery domów.

Victor Hugo tak to opisywał: „Pod Paryżem istnieje drugi Paryż; Paryż kanałów, mający swoje ulice, skrzyżowania, skwery, zaułki, arterie i własny zamknięty obieg, który tworzą również szumowiny, tyle że pozbawione ludzkiej postaci”.

Pomyślałam, że to świetny opis, więc przełożyłam Monkowi ten fragment w pocie czoła, a jego reakcja warta była mojego zachodu.

- Ach... -szepnął, skłaniając głowę niemalże z nabożnym oddaniem.

Jakiś mężczyzna około trzydziestki, z kamerą wielkości dłoni i plikiem map wystających z przypiętej do bioder torebki, delikatnie poklepał Monka w ramię.

- *Excusez-moi, monsieur. Où est toilette?* - zapytał wolno, zacinając się i szukając odpowiednich słów.

Amerykanin.

- Ten pan tu nie pracuje - powiedziałam.

- To dlaczego jest tak ubrany?

- Bo chcę żyć - odparł Monk.

Mężczyzna spojrział na mnie.

- Może pani wie, gdzie są toalety?

- Niestety, nie wiem.

- Ale pani jest kobietą — powiedział mężczyzna.

- Co to ma do rzeczy?

- Kobieta zawsze wie, gdzie jest toaleta - odparł. - To pierwsza rzecz, za którą się rozgląda.

- Nie ja.

Mężczyzna wzruszył ramionami i odszedł.

Odwrociłam się z powrotem do tablic informacyjnych i wyczytałam z nich, że kanały ściekowe nie są jedyną siecią korytarzy pod ulicami Paryża.

Miasto budowano z pokładów gipsu i wapienia, które wydobywano z ziemi. W tych kamieniołomach górnicy pozostawili po sobie korytarze, ogromne podziemne komnaty i blisko trzysta kilometrów chodników, które przeplatały się z kanalizacją i metrem. Aż dziw bierze, że z taką siecią tuneli pod ziemią Paryż jeszcze się nie zawalił. Ale może dlatego nie wybudowano tu zbyt wielu wysokościowców.

Kanałami przeszliśmy do rozległej galerii, gdzie czekało na nas jeszcze więcej wystaw, kolejne fotografie, a również pięciotonowa łódź do filtrowania ścieków. Przez całą długość komnaty biegła w posadzce wąska krata, pod którą trzy metry niżej wartkim strumieniem płynęły w ciemnościach wody ściekowe. Tabliczka na ścianie informowała, że jesteśmy pod rue Cognacq-Jay.

Monk uważał, aby nie nastąpić na kratę, nie ryzykował nawet spojrzenia w jej kierunku. Ja nie mogłam się oprzeć, aby tam nie zerknąć, ale z tej wysokości widziałam jedynie jakąś ciemną strugę.

Podczas gdy Monk przypatrywał się pięciotonowej łodzi, ja przypatrywałam się jemu.

Nieraz widziałam, jak wpadał we wściekłą furję z powodu paru okrucich na stole, a tu proszę, spaceruje tunelem kanalizacji ściekowej, od rwącego potoku ludzkich odchodów dzieli go jedynie żeliwna krata i jakoś nie narzeka.

Nie tak wyobrażałabym sobie jego reakcję na ścieki.

Jasne, w kombinezonie czuł się w miarę bezpie-

cznie, ale nie sędę, żeby właśnie to wyjaśniało jego reakcję. Czy też raczej jej brak.

Ukrytej za goglami i maską gazową twarzy Monka nie widziałam na tyle dobrze, żeby zobaczyć, jaką ma minę. Stan jego ducha potrafiłam ocenić jedynie po wymownym milczeniu i języku ciała, ale mogłam chyba śmiało powiedzieć, że było to najwyższe uwielbienie. Respekt, jaki odczuwał przed osiągnięciami prezentowanymi na muzealnych wystawach, po prostu go obezwładniał.

W pewnej chwili moich uszu dotarł odgłos pryskającej w pobliżu wody. Monk obrócił się gwałtownie, a ja podążyłam za jego wzrokiem.

Amerykański turysta, którego niedawno poznaliśmy, załatwiał się przez kratę wprost do płynącej niżej rzeki ścieków.

- Stop! - wrzasnął Monk. - W imieniu prawa. Ale mężczyzna nie przestał. Monk pchnął go od tyłu.

- Hej, uważaj pan, nie trafiam do celu - zachnął się turysta. - O mały włos poleciałoby mi na buty.

Monk cofał się wstrząśnięty, wydając z siebie ciche, dławiące jęki. Mężczyzna skończył i zapiął rozporek.

- Jak pan mógł? - zapytał Monk. Turysta wzruszył tylko ramionami.

- Nie mogłem znaleźć toalety.

- Więc uznał pan, że najlepszym rozwiązaniem będzie załatwić się na podłogę w muzeum? - Głos Monka łamał się z rozdrażnienia.

- Panie, to przecież ścieki - stwierdził mężczyzna. - Tak czy siak, wszystko by tam poleciało. Wybrałem drogę na skróty.

Odrażający typek, ale trudno odmówić mu racji.

- To pan jest tym okropnym Amerykaninem. - Monk skierował w mężczyznę oskarżycielski palec w rękawiczce. - Pan jest tym nielubianym turystą o którym mówi cały świat.

- To nie ja chodzę w kombinezonie - stwierdził turysta.

- Dobrze, że przynajmniej ja go mam - powiedział Monk. - Mógł pan kogoś zabić.

- Sikami?

- To możliwe. Mocz zabija.

Mężczyzna pokręcił głową i odszedł.

- Pan ma kuku na muniu - powiedział na pożegnanie.

- Pan hańbi nasz kraj! - krzyknął za nim Monk. - Powinni odebrać panu paszport.

Ludzie, którzy nie widzieli występku, jakiego dopuścił się przed chwilą mężczyzna, przystawali i patrzyli zdziwieni na Monka.

- Panie Monk, niech pan tak głośno nie krzyczy - poprosiłam.

- Zawiadomię o wszystkim amerykańską straż graniczną. Już po panu, panie Mocz! - krzyknął Monk. — Do zobaczenia w piekle.

- Cii... Już po wszystkim — uspokajałam go.

Monk popatrzył na mnie.

- Nie można pozwolić, żeby ten człowiek jeździł po świecie i załatwiał się w każdym kraju, do którego zawita. Trzeba go powstrzymać. Musisz zatelefonować do nadinspektora i kazać mu zawiadomić Interpol, żeby pilnował granic.

- To naprawdę nie jest konieczne, panie Monk — zapewniłam. — Więcej już tego nie zrobi.

- Skąd wiesz?

- Napędził mu pan prawdziwego strachu.



- Tak sądzisz?
  - O tak - zapewniłam go. - Kiedy odchodził, trząśnięcie się jak osika.
  - Naprawdę?
  - Zdecydowanie. Sądzę nawet, że popłakiwał ze wstydu. Dlatego odwrócił się plecami i szybko doszedł. Złamał go pan, panie Monk.
  - Musiałem.
  - Rozumiem.
  - Teraz musimy posprzątać.
  - Co posprzątać? - zapytałam zdziwiona.
  - To, co tu narobił - odparł Monk. - Nie możemy tego tak zostawić na środku muzealnej sali.
- Skinęłam głową na żeliwną kratę.
- On się załatwił wprost do potoku płynących ścieków. Gdzie proponuje pan zacząć sprzątanie?
- Monk spojrzął na kratę i pokręcił głową.
- Co za okropny człowiek - powiedział.
  - Tak, bardzo okropny.
- Położyłam mu rękę na ramieniu i łagodnie wyprowadziłam z powrotem na trasę zwiedzania.
- Minęliśmy kolejne kraty w podłodze, przeczytaliśmy następne tablice informacyjne i obejrzeliliśmy jeszcze więcej zdjęć, na których utrwalono historię paryskiej kanalizacji. Chciałam jak najszybciej odciągnąć myśli Monka od okropnego Amerykanina, więc czytałam mu niemal wszystko.
- Monk wydał się szczególnie zaciekawiony, kiedy tłumaczyłam mu historię Eugène'a Poubelle'a, prefekta policji nad Sekwaną, który zabronił wylewania pomyj przez okno na ulicę i wprowadził ścisłe rozporządzenia regulujące wyrzucanie i wywóz śmieci,
- Wszystko o nim wiem - powiedział Monk. - To Abraham Lincoln Francji.

- Abraham Lincoln utrzymał jedność państwa i zniósł niewolnictwo - stwierdziłam. - Nie widzę tu wielu podobieństw do pana Poubelle'a.

- Uwolnił paryżan od jarzma plugastwa. Francuzi stawiają go na piedestale.

- Nie byłabym tego taka pewna.

- To człowiek legenda - przekonywał Monk. - Każdy francuski chłopiec chce być taki jak on.

- Wie pan, jak we Francji mówią na kubel na śmieci? - zapytałam. - *Poubelle*.

Monk przytaknął.

- Chciano uhonorować w ten sposób wielkiego człowieka i jego ideały.

Dotychczas uważałam, że słowo *poubelle* musi mieć coś wspólnego z niemiłym zapachem. Nigdy nie przyszło mi do głowy, że pochodzi od nazwiska.

- Nie sądzę, aby taka była intencja - powiedziałam.

- Jaki inny powód mógłby wchodzić w grę?

- Może go nie lubiano, bo zmuszał wszystkich do sprzątanía.

Monk skwitował moją sugestię machnięciem ręki.

- Nie bądź śmieszna. Kto by nie lubił czystości?

Doszliśmy do końca trasy i wyszliśmy wprost na ogromną wypełnioną piaskiem, drewnianą kulę, która przypominała sławny rekwizyt z pierwszych scen *Poszukiwaczy zaginionej Arki*. Była to *boule de courage*, którą toczono tunelem, aby rozgnieść fekalia i poprawić przepływ wody.

- Nie chciałby pan, żebym zrobiła panu zdjęcie przy kuli? - zapytałam Monka.

- Dobry pomysł.

Staął przy kuli, a ja wyjęłam swój telefon komórkowy z aparatem.

- Może zdjąłby pan na chwilę gogle i maskę gazową, żeby zobaczyć pana twarz?

- Po co masz zobaczyć moją twarz?

- Żebyśmy potem wiedzieli, że to pan.

- Kto inny mógłby to być?

- Każdy może się schować pod taką maską.

- Niby kto?

Racja. Zrobiłam zdjęcie. Przeszliśmy przez muzealny sklepik i wyszliśmy schodami z powrotem na ulicę.

Dopiero teraz Monk zdjął maskę i gogle.

- Niezapomniane przeżycie - westchnął.

- Ciekawe muzeum - powiedziałam. - Ale nie to samo co Luwr.

- Oczywiście, że nie - przyznał. - Luwr nie dorasta mu do pięt.

- Luwr ma Monę Lisę — przypomniałam. - To muzeum ma drewnianą kulę do rozgniatania łąjna.

- Prawda? Nie ma porównania. - Monk przytaknął zgodliwie.

Nie sądzę, by zdawał sobie sprawę, że w ogóle się nie zgadzamy.

- W Paryżu jest jeszcze jedna podziemna ciekawostka, którą, jak myślę, chętnie by pan zobaczył, panie Monk, a która jest niedaleko stąd, pięć minut jazdy metrem od stacji Denfert-Rochereau.

- Chcesz jechać metrem? - zapytał Monk.

- Tak się tu ludzie przemieszczają.

- W takim razie całe szczęście, że mam na sobie kombinezon - stwierdził. - Dokąd się wybieramy?

- Do katakumb.

## Monk w katakumbach

Pod koniec osiemnastego wieku Paryż szybko się rozrastał. Tymczasem rewolucja, egzekucje, wojny z innymi krajami, epidemie pustoszące miasto i katastrofalna sytuacja sanitarna uśmiercały dziesiątki tysięcy ludzi, których ciała porzucano na cmentarzach i kościelnych dziedzińcach. Nad masowymi grobami na Cimetière des Innocents wznosiły się trzymetrowe hałdy rozkładających się zwłok.

Jedną rzecz, że gnijące ciała wydzielaly potworny fetor i stanowiły zagrożenie dla zdrowia, a druga, zapewne ważniejsza, że działki zajmowane przez rozrastające się cmentarze przedstawiały zbyt dużą wartość, aby marnować je na zmarłych.

Dlatego też rząd wysunął doskonały pomysł, który rozwiązywał problem zdrowia publicznego, a jednocześnie kwestie nieruchomości. Wszystkie ciała wyniesiono z terenów kościelnych, odgrzebano je z cmentarzy i upchnięto w olbrzymim podziemnym labiryncie, który tworzyły opuszczone wyrobiska górnicze pod Paryżem.

W ciągu następných osiemdziesięciu lat do katakumb trafiło ponad sześć milionów ciał zmarłych paryżan - w tym zwłoki Ludwika XVI, Marii Antoniny i Robespierre'a - a cmentarze zaorano pod

bulwary i kamienice, wznoszone z kamienia wydobywanego spod miasta.

Ta podziemna kostnica, podobnie jak kanały ściekowe, na które również spoglądano niegdyś z odrazą i strachem, w 1804 roku została przemieniona w popularną, nawet jeśli trochę niezdrową, atrakcję turystyczną. Dwieście lat później wciąż była to atrakcja, choć dużo mniejszego kalibru, zarówno pod względem liczby odwiedzających, jak i rozmiarów. Obecnie tylko mała część labiryntu z kośćmi była udostępniona publiczności.

Ludzkie szczątki przestano tu chować z górą sto lat temu, a mimo to pod Paryżem spoczywa dzisiaj dwa razy więcej ludzi, niż żyje w mieście i spaceruje jego ulicami.

Wejście do *les catacombes* znajdowało się przy boulevard Raspail, nieopodal placu Denfert-Rochereau; skrzyżowania kilku szerokich ulic, nad którym dominował Lew Belfortu, piaskowcowa kopia posągu zaprojektowanego przez twórcę Statuy Wolności.

Secesyjna, dziewiętnastowieczna brama prowadząca do *les catacombes* prezentowała się wiele okazalej niż wejście do Musée des Égouts de Paris, a przed kasą biletową czekało znacznie więcej ludzi. Najwyraźniej nikogo nie zrażał napis nad drzwiami katakumb: *Barrière d'enfer*. Brama Piekieł.

Nie trudziłam się tłumaczeniem tego napisu. Zresztą te słowa nie mogły się odnosić do Monka. W jego wyobraźni bramę piekieł stanowiły drzwi do wiejskiej karczmy Hometown Buffet.

Jeszcze nie weszliśmy do środka, a już katakumby zdążyły zrobić na mnie wrażenie nie tyle ponu-

rego, uświęconego miejsca spoczynku sześciu milionów dusz, ile raczej dobrze przemyślanego luna-parkowego domu strachów.

Monk nie miał już na sobie gogli ani maski gazowej - wisiały teraz u jego pasa. Zsunął również kaptur, więc nie wyróżniał się tak bardzo z tłumu, lecz mimo to ściągnął na siebie spojrzenia zaciekawionych turystów, a również biletera i strażnika przy kołowrotku liczącym wchodzących.

W długim szeregu zwiedzających ruszyliśmy w dół po krętych schodach i pokonawszy osiemdziesiąt trzy stopnie, weszliśmy w wąski, wysypany żwirem korytarz prowadzący do krypt.

Nasza wizyta w katakumbach o mały włos nie zakończyłaby się już teraz, ponieważ Monk chciał wrócić do kasy i poskarżyć się na brak jednego stopnia.

Oczywiście powinny być osiemdziesiąt cztery stopnie, liczba nieparzysta bowiem, w opinii Monka, przedstawia zagrożenie dla bezpieczeństwa publicznego. Człowiek może się potknąć i skrócić sobie kark. Jeden stopień więcej, ewentualnie jeden mniej, diametralnie zmieni sytuację.

Poradziłam Monkowi, żeby zamiast biegać do kogoś z każdą skargą, sporządził listę rzeczy stanowiących zagrożenie dla bezpieczeństwa w Paryżu, którą na koniec pobytu wręczymy nadinspektorowi Le Roux do rąk własnych, a ten z pewnością przekaże ją odpowiednim czynnikiem.

Pomysł bardzo się Monkowi spodobał. Zawsze czuł się szczęśliwy, gdy mógł sporządzić jakąś listę.

Szliśmy dobre dwadzieścia minut mdławo oświetlonym tunelem, po chrzęszczącym wilgotnym żwirze, aż w końcu doszliśmy do łukowatej arkady,

na której szczycie wryto w kamieniu ostrzeżenie:  
*ARRÊTE! C'EST ICI L'EMPIRE DE LA MORT.*

—Co tu jest napisane? - zapytał Monk.

—Żeby się zatrzymać i obejrzeć wspaniałą arkadę.  
Zaprojektował ją Mort.

- Kto to jest Mort?

- Słynny projektant francuskich łuków i nagrobków -  
powiedziałam i dodałam pośpieszenie: -Jeszcze nieraz  
spotka się pan tutaj z tym nazwiskiem.

Byłam przekonana, że gdybym dokładnie prze-  
tłumaczyła inskrypcję, Monk wzięby to ostrzeżenie  
dosłownie: „Uwaga, oto jest imperium śmierci”.

Sama nie brałam tego zbyt poważnie. Słowa wydały  
mi się tanią sztuczką teatralną która nie różniła się  
wiele od podobnych przestróg wypisywanych nad  
wejściem do domów strachów w wesołych  
miasteczkach. Możecie mówić, że jestem cyniczna, ale  
zastanawiałam się w ogóle, czy ta inskrypcja  
znajdowała się tu przed otwarciem katakumb dla  
zwiedzających.

To oczywiście, że aby przyciągnąć ludzi do ciemnych i  
wilgotnych lochów pełnych kości, trzeba jednak trochę  
widowiska - sama ciekawość ludzka na dłuższą metę na  
niewiele się zda.

Kiedy przeszliśmy pod arkadą moich uszu dobiegły  
westchnienia ludzi z przodu kolejki, którzy pierwsi  
spojrzeli na to, co znajdowało się w katakumbach.

Mnie również zapało dech w piersi. Nigdy dotąd nie  
widziałam ani nie wyobrażałam sobie takiej makabry.

Po obu stronach korytarza, w głębokich grotach,  
których końce tonyły w ciemności, piętrzyły się stosy

gęsto ułożonych ludzkich kości. Stosy były podtrzymywane przez ścianki oporowe zbudowane ze starannie ułożonych kości udowych, dekoracyjnie przetykanych wstęgą czaszek.

Upiorny widok, ale na swój sposób, może trochę chory, bardzo konsekwentny.

Ornamentacyjny układ ścianek z ludzkich kości odczytałam jako próbę obłaskawienia śmierci i przeobrażenia jej w sztukę, może nieco przewrotną, ale bez świętokradczych intencji. Nie wiem, czy to się udało.

Ale była to na razie tylko jedna ściana, jeden stos ludzkich kości. Przede mną jeszcze wiele, wiele dalszych.

Korytarze, którymi szliśmy, rozgałęziały się na kilka innych, te dzieliły się na kolejne, a każde wgłębienie, każdą szczelinę, każdą grootę wypełniały po powale tysiące kości. Skala tego była oszałamiająca.

Zauważyłam, że w każdej kostnicowej grocie ułożona z czaszek czy piszczeli ścianka miała inny deseń. Jedna na przykład zbudowana była z półokrągłych kości ciemieniowych, jej płaszczyznę załamywały rozmieszczone w równych odstępach kości twarzowe, a szczytem biegł ciąg kości udowych, upchniętych ciasno obok siebie, szyjkami na zewnątrz.

Inna ze ścian ułożona była z piszczeli, przecinały ją w różnych kierunkach pasy czaszek pouty-kanych na przemian raz twarzą do przodu, a raz gładką kością ciemieniową.

Istniały niezliczone warianty tego motywu, będące kombinacją piszczeli, kości udowych i czaszek.

W niektórych ze ścianek osadzone były krzyże lub kamienne tablice z informacją skąd dane kości



pochodzą, jak: *Ossement du cimetière de Saint-Etienne déposé en mai 1787* albo: *D. M. Combat à la manufacture de Réveillon, Faubourg Saint-Antoine, le 28 avril 1789*. Kości z cmentarza i kości z pola bitwy.

Pozostałe tablice były mniej informacyjne, a bardziej refleksyjne i kojarzyły się raczej z naklejkami na zderzaki samochodowe, zawierającymi komentarze dla zmarłych w rodzaju: *Où est-elle? La morte toujours future au passée à peine est-elle présente que déjà elle n'est plus*. Co w tłumaczeniu znaczy mniej więcej tyle: „Gdzie jest śmierć? Zawsze w przyszłości albo przeszłości. Jeśli tylko staje się terazniejszością już jej nie ma”. Nie była to może najlotniejsza maksyma, jaką w życiu przeczytałam, ale, jak sądzę, oddawała ducha tego miejsca (bez dwuznaczności).

Inna inskrypcja głosiła: *Insensé que vous êtes, pourquoi vous promettez vous de vivre longtemps, vous que ne pouvez compter sur un seul jour*. Innymi słowy, jesteś niespełna rozumu, jeśli uważasz, że będziesz długo żył, skoro nie możesz być pewien, że przeżyjesz jeden dzień. Nie wiem, kiedy to zostało napisane, ale ewidentnie nie były to dla Paryża najbardziej optymistyczne czasy.

Napis, który mocno mnie zdziwił, pochodził z *Odysei* Homera: „Niesprawiedliwym jest obrażać śmierć”. Uwaga Homera wydała mi się ironiczna w kontekście katakumb, gdzie otaczały nas ludzkie kości wykorzystywane jako materiał budowlany do wznoszenia ozdobnych ścianek; jakby były ciosanymi kamieniami różnego kształtu i rozmiaru.

Początkowo na widok tyłu ludzkich szczątków skóra mi cierpła. Każda kość to przecież jakies

ludzkie istnienie, ktoś, kto kochał i był kochany. Każda była czymś Mitchem albo czyjąś Trudy.

To mogłabym być ja.

Ale im głębiej wchodziłam w katakumby, tym bardziej porażał mnie ich ogrom. Kości przestawały być kośćmi, a ich wymowa emocjonalna gdzieś zanikała. To, co widziałam na stosach, szybko przestałam odnosić do tego, co mnie tworzy, do mojej własnej śmiertelności, mojej ostatecznej znikomości wobec biegu płynącego czasu.

W chwili zadumy przypominałam sobie raptem, że wśród tych wszystkich kości nie jestem sama i jest ze mną Monk.

Odwrociłam się, żeby go poszukać. Szedł kilka kroków za mną, posuwał się wolno, ciężko stąpając. Objęłam go ramieniem.

— Jak się pan czuje, panie Monk? — zapytałam.

- Musimy coś z tym zrobić - powiedział.

- Z czym?

— Te szkielety rozebrano na drobne części, ich kości są przemieszane - tłumaczył. - Nie sposób po wiedzieć, kto jest kto.

- Chyba nie myśli pan, że powinniśmy poskładać te kości w szkielety?

— Ktoś musi to zrobić.

Poczułam się jak idiotka, że nie potrafiłam przewidzieć takiej reakcji Monka na katakumby. Ale z drugiej strony niedługie opisy, na które trafiłam w przewodnikach, ani trochę nie przygotowały mnie na takie widoki.

— Wie pan, z ilu kości składa się ludzkie ciało? - zapytałam.

- Dwieście sześć - odparł. - Ponad połowa z nich, sto sześć, znajduje się w dłoniach i stopach.

—Teraz niech pan to sobie przemnoży przez sześć milionów - poradziłam.

—Miliard dwieście trzydzieści sześć milionów - odpowiedział niemal natychmiast.

Ja potrzebowałamby kalkulatora.

—Sam pan widzi, ile tu kości. Nawet gdyby każda kosteczka z tego miliarda dwustu trzydziestu sześciu milionów była oznakowana etykietką z nazwiskiem zmarłej osoby, a niech pan zauważy, że tak nie jest, to składanie szkieletów zajęłoby długie dziesięciolecia.

—Wiem - westchnął ciężko. - Dlatego lepiej będzie, jeśli od razu weźmiemy się do roboty.

Monk wyjął jakąś kość udową z górnej części ścianki i wcisnął mi ją w rękę.

—Trzymaj. Ja będę szukał piszczeleli.

—Nie może pan dotykać kości - powiedziałam.

— Przecież mam rękawiczki.

Ja nie miałam. Faj!

Wrzuciłam kość na stos i wytarłam ręce w spodnie.

— Nie w tym rzecz - powiedziałam. - To brak szacunku dla ludzkich szczątków.

Monk wskazał stos.

—A to nie jest brak szacunku?

—Jeśli uważa pan, że szkielety należy z powrotem poskładać, to niech pan wpisze taki postulat do swojego pisma kierowanego do władz Paryża — zaproponowałam. — Wykonywanie takiej pracy nie jest ani pana, ani moim obowiązkiem.

—Ależ to przyjemność, nie praca.

—Świetnie - powiedziałam. - To niech pan pracuje. Odwiedzę pana za dziesięć lat i zobaczę, jak idzie robota.

Odmaszerowałam pewnym krokiem, a Monk, po dłuższej chwili wahania, poszedł w końcu za mną.

- To będzie bardzo zjadliwe pismo — oświadczył.

- Nie wątpię.

Minęliśmy parę bocznych korytarzy, odgradzonych od trasy zwiedzania grubą liną, ale ułożone tam w wielu niszach kości i tak były podświetlone dla odpowiedniego wrażenia.

Pamiętacie, jak to wygląda, gdy ktoś w ciemności przykłada sobie do podbródka zapaloną latarkę? Teraz wyobraźcie sobie taki efekt z tysiącem czaszek. Ciarki człowieka przechodzą, hm?

Monk zatrzymał się przy linie i przyglądał się jednej z grot, nad którą znajdował się reflektor rzucający przyćmione światło.

Monk poruszył niezgrabnie głową, raz w jedną, raz w drugą stronę.

- Co się stało? - zapytałam.

Nagle przeszedł nad liną i ruszył wprost do ściany ułożonej z setek kości udowych, przeciętej na samym środku ogromnym krucyfiksem z czaszek.

- Co pan robi!?! — zapytałam najgłośniejszym szeptem, jaki tylko mogłam z siebie wydobyć. — Tam nie wolno wchodzić!

- Chcę spojrzeć na czaszkę.

- Tu ma pan setki innych.

Monk wdrapał się na stos. Kości udowe na jego szczycie zaczęły się osuwać i spadać z klekotem na podłogę. Zabrzmiało to jak walące się cegły, a łomot odbił się echem w każdym z korytarzy.

- Niech pan zejdzie!

Ale Monk wspinał się coraz wyżej po luźno leżących kościach, zrzucając ich jeszcze więcej, aż w końcu udało mu się dosięgnąć czaszki na czubku

i znieść ją na dół. Za moimi plecami zaczęli się gromadzić turyści, pomrukujący coś ze zgorzeniem. Słowa „zwariował” czy „świr” mogłam usłyszeć w dwóch dobrze znanych mi językach oraz w wielu, których nie znałam.

Spojrzałam w bok i zobaczyłam, jak w naszą stronę zmierza dwóch strażników. Cudownie.

- Panie Monk, idą strażnicy - ostrzegłam.

Monk trzymał przed sobą czaszkę i przyglądał się jej niczym Hamlet.

- To dobrze - powiedział. — Niech zabezpieczą miejsce przestępstwa.

- Niech mi pan nie mówi, że chodzi o porozrzucane przez pana kości!

- Chodzi o zabójstwo - odpowiedział Monk.

- O Boże - powiedziałam, czując nagle tępy ból w piersi. - Tego niech mi pan też nie mówi.

Monk podsunął czaszkę bliżej światła i oglądał ją uważnie z każdej strony.

- Ten człowiek został zamordowany - oznajmił.

- Dwieście czterdzieści lat temu, panie Monk. Wskazałam tabliczkę informacyjną na jednej ze ścian grotty. - Te kości należą do więźniów, którzy zostali zgilotynowani podczas terroru Robespierre'a.

- Głowa tego człowieka nie została odcięta - stwierdził Monk. - A życie stracił w ciągu ostatnich dwunastu miesięcy.

- Skąd pan to wie?

- Po kolorze czaszki.

- Stoimy praktycznie w ciemnościach, panie Monk - powiedziałam. - To zapewne tylko złudzenie optyczne.

- Może masz rację - przyznał.

- Dziękuję - odpowiedziałam z ulgą w głosie.

- Ale to nie wyjaśnia tego. - Monk wskazał uzębienie czaszki. - Wypełnienia z tyłu to amalgamat, mieszanka srebra, miedzi, cyny i rtęci, wynaleziona we Francji i od początku dziewiętnastego wieku używana w stomatologii na całym świecie. Ale te wypełnienia z przodu to szkłoionomer modyfikowany żywicą, zabarwiony pod kolor pozostałych zębów.

Poczułam, jak ze złości krew nabiega mi do twarzy.

- A to kiedy wynaleziono?

- W latach sześćdziesiątych dwudziestego wieku - orzekł. - Jednak te konkretne plomby pochodzą z ostatnich dziesięciu lat.

- Och, oczywiście - sarknęłam.

Strażnicy przepychali się przez tłum i podeszli do mnie, domagając się po francusku, gniewnie i stanowczo, aby Monk odłożył czaszkę i wyszedł z powrotem przed linę.

Nie trudziłam się już tłumaczeniem Monkowi, co mówią, ani wyjaśnianiem, co robi Monk. Wręczyłam po prostu jednemu z nich wizytówkę nadinspektora Le Roux.

- Proszę mu powiedzieć, że Adrian Monk wpadł na trop zabójstwa - powiedziałam i spojrzałam wściekle na swojego szefa. — Znowu!

## Monk znajduje igłę w stogu siana

Stałam oparta o jedną z nielicznych ścian, których nie wzniesiono z ludzkich kości, starając się utrzymać kipiący we mnie gniew w stanie lekkiego wrzenia, kiedy wreszcie zjawił się nadinspektor.

Szedł swobodnym, beztroskim krokiem, z szerokim uśmiechem na twarzy. Łatwo mu się cieszyć; jemu nikt nie zrujnował wakacji. Nadinspektor przyprowadził ze sobą inspektora Gadois oraz ekipę techników medycyny sądowej ubranych w takie same kombinezony, jaki miał na sobie Monk.

- Panna Teeger - powiedział Le Roux. - Co za niespodzianka!

- Bardzo bym chciała.

- Jak mniemam, kombinezon ochronny jednak się przydał - stwierdził. - Gdzie ciało?

- Nie ma.

- Nie ma?

- Są tylko kości.

Wskazałam ręką w głąb korytarza, gdzie przy linie zgromadził się mały tłumek obserwujący Monka, jakby ten był zwierzęciem w ogrodzie zoologicznym. Kilka osób robiło zdjęcia, jak Monk ostrożnie układa na ziemi kości, z grubsza tak, by przypominały ludzki szkielet.

Le Roux polecił strażnikom, aby rozproszyli tłum

i sami również się odsunęli. Potem podszedł do liny, aby popatrzeć, jak Monk przeprowadza swoje doświadczenia.

- Monsieur Monk - powiedział po chwili. - Jeśli dobrze zrozumiałem, chciał pan zgłosić morderstwo.

Monk wziął do ręki czaszkę, którą odłożył dalej od innych kości, i przyniósł ją nadinspektorowi Le Roux.

- To ten mężczyzna - powiedział, podsuwając mu pod oczy czaszkę.

- Co każe panu myśleć, że to mężczyzna? - zapytał Gadois.

- Twarz jest mniej zaokrąglona niż u kobiety, a zęby większe - wyjaśnił Monk. - Ponadto mężczyzna ma wydatniejsze łuki brwiowe, wyrostek sutkowy i większą gładziznę.

- Ach *oui*... Gładziznę - powtórzył Gadois, potakując głową. - Rzeczywiście jest dużo większa. Nie zauważyłem.

- Bo nie wiesz, co to jest gładzizna — powiedział Le Roux.

- Po angielsku nie wiem - przyznał Gadois. - Ale po francusku tak.

Le Roux patrzył na niego uporczywie przez dłuższą chwilę, a ja poczułam jakieś dziwne *déjà vu*. Kiedy i gdzie widziałam już taką wymianę spojrzeń?

- Ofiara miała trzydzieści lat. To palacz fajki. Kilka lat przed morderstwem stracił drugi ząb przedtrzonowy — ciągnął Monk, wskazując szczerbę w górnym lewym uzębieniu.

- Skąd pan to może wiedzieć? - zapytał Gadois.

Gdybym dostawała dolara za każdym razem, kiedy



Monk słyszy to pytanie (także z moich ust), nie musiałabym już więcej pracować i już nigdy nie miałabym zepsutych wakacji z powodu śledztwa.

- Widać, że w miejscu, gdzie mężczyzna trzymał fajkę, ząb jest starty, a miejsce po usuniętym przedtrzonowcu zdążyło się doskonale zabliźnić — tłumaczył Monk. - Zauważy pan również, że ofiara ma plomby w postaci amalgamatu oraz żywicy. Na podstawie tych materiałów ustaliłem ramy czasowe, które pozwalają określić wiek ofiary.

- Bez urazy, monsieur Monk, ale jestem pewien, że było mnóstwo czterdziestoletnich palaczy fajek z marnymi zębami, którzy poszli pod gilotynę — powiedział Le Roux. - Dlaczego ta śmierć miałaby nas dzisiaj interesować?

- Ponieważ to wypełnienie, szkłojonomer modyfikowany żywicą, w osiemnastym wieku w ogóle nie istniało - wyjaśnił Monk. - Ani nawet dwadzieścia lat temu.

- *Mon Dieu.* — Le Roux odwrócił się do inspektora Gadois. - To miejsce zbrodni. Proszę zatrzymać całą wycieczkę i wezwać pracowników muzeum na przesłuchanie.

Gadois przytaknął i odszedł wykonać polecenia, tymczasem nadinspektor znowu przeniósł uwagę na Monka i czaszkę, którą ten trzymał w dłoni.

- Jaka jest pańska opinia na temat tej rany? -zapytał Le Roux, wskazując pęknięcia rozchodzące się promieniście od dziwnego śladu na kości, przypominającego wzór plastra miodu.

- To odcisk narzędzia, które go zabiło - powiedział Monk. - Ale nie wiem, co to była za broń.

- Dowiemy się. - Le Roux strzelił palcami na jednego z techników, który podszedł, ostrożnie wziął

od Monka czaszkę i włożył ją do plastikowego woreczka na dowody rzeczowe.

- Myślę, że został zamordowany w innym miejscu - mówił dalej Monk. - Jego szkielet został tu rozrzucony później, aby nikt nigdy go nie znalazł.

- Czyż może być lepsze miejsce na ukrycie kości niż wśród milionów innych takich samych? To tak, jakby ukryć igłę w stogu siana. - Le Roux skinął głową w kierunku kości, które Monk układał na ziemi. - A co z tymi kośćmi?

- A co ma być?

- Także należą do ofiary?

- Nie. To kości innych ludzi - odpowiedział Monk.

- Także zostali ostatnio zamordowani?

Monk zaprzeczył ruchem głowy.

- Te kości liczą sobie setki lat.

- Więc co pan z nimi robi?

- Pan Monk próbuje złożyć je na powrót w szkielety - wyjaśniłam.

Le Roux uniósł brwi.

- *Pourquoi?*

- Bo tak trzeba - odpowiedziałam.

- Tak trzeba?

- Niech się pan rozejrzy - odezwał się znowu Monk.

- Kości leżą jak popadnie. To jeden wielki bałagan.

Le Roux wpatrywał się tępo w Monka kompletnie zbity z tropu. Odniosłam wrażenie, że nadinspektor wreszcie dostrzegł w Monku coś więcej niż tylko genialnego detektywa.

- Niech pan nie zawraca tym sobie głowy - po wiedział w końcu. - Przejmiemy teraz sprawę i prze szukamy całe miejsce w poszukiwaniu pozostałych

szczątków ofiary. Zapewne rzucono je na wierzch pobliskich stosów.

- A reszta?

- Jaka reszta? - zapytał Le Roux.

- Reszta kości. — Monk machnął ręką w stronę wznoszących się wokół stert. — Nie zamierzacie ich poskładać?

Nadinspektorowi Le Roux całkowicie odebrało mowę. Spojrzał na mnie pytającym wzrokiem, szukając jakichś wskazówek.

Powiedziałam po francusku, żeby powiedział to, co Monk chciałby usłyszeć, bo w przeciwnym razie nigdy stąd nie wyjdziemy. Le Roux odpowiedział po francusku, że to, o co prosi Monk, jest niedorzeczne.

- *Bienvenue à ma vie* - powiedziałam.

Witam w moim życiu.

Le Roux znowu spojrzał na Monka.

- To, czego się pan od nas domaga, pochłonie mnóstwo czasu i pieniędzy.

- To jednak trzeba zrobić - upierał się Monk.

- Tak oczywiście — stwierdził Le Roux. - Od razu przystąpimy do działania.

- Później mi pan podziękuje. - Monk przeszedł z powrotem nad liną. — Niech pan nas poinformuje, kiedy zidentyfikujecie ofiarę.

- Błagam, tylko nie to — powiedziałam do Le Roux i odciągnęłam Monka na bok, aby zamienić z nim parę słów na osobności, choć jestem pewna, że wszyscy nas słyszeli.

- Dlaczego chce pan, żeby Le Roux nas zawiadamiał? - zapytałam ostrym głosem.

- Trudno będzie nam znaleźć zabójcę, jeśli się nie dowiemy, kim była ofiara — odpowiedział protekcyjnym tonem.

- Ale to nie my będziemy szukać zabójcy, panie Monk. - Wskazałam palcem nadinspektora Le Roux, który rozmawiał właśnie z ekipą techników z medycyny sądowej. - Oni będą go szukać.

- My również.

- Dlaczego mielibyśmy to robić?

- Tym się przecież zajmujemy.

- W San Francisco. Tu jest Paryż. Jesteśmy na wakacjach.

- To będą wakacje - przekonywał Monk.

- Niby jak?

- Takie same jak mieliśmy na Hawajach czy w Niemczech.

- Cały czas zmarnowaliśmy tam na poszukiwaniu mordercy - przypomniałam mu tak donośnym głosem, że słyszeli mnie chyba na bulwarze Raspail nad naszymi głowami.

- Owszem - przyznał. - Mówię właśnie o takich wakacjach.

- To nie są wakacje.

- Dla mnie wakacje.

- To ma pan szczęście - powiedziałam. - Ale to wakacje, których nie mam zamiaru powtarzać.

- Jak to? - zapytał zdziwiony.

Dłonie mimowolnie zacisnęły mi się w pięści. Miałam ochotę mu przywalić.

- Jeśli chce pan pomóc nadinspektorowi Le Roux w jego śledztwie, proszę bardzo - powiedziałam. - Ale będzie pan mu pomagał sam. Ja mam dość.

- Rzucasz pracę?

- Nie, panie Monk. Jestem na wakacjach. Mam ochotę zwiedzać Paryż.

- Naprawdę uważasz, że możesz zwiedzać Paryż, spacerując ulicami, jadając w restauracjach, cho-

dząc do muzeów, kin i teatrów albo oglądając jakieś miejsca historyczne?

- Tak, tak uważam.

- Nie ma lepszego sposobu na odkrywanie Paryża niż poprzez śledztwo w sprawie morderstwa. Poznasz miasto i jego mieszkańców od podszewki. Wejdiesz do miejsc, do których żaden turysta nigdy nie wejdzie. Zobaczysz, jak tu wygląda prawdziwe życie.

- Och, co za niesprawiedliwość, że nie każdy może się bawić dobrym morderstwem, gdy przyjeżdża do Paryża - powiedziałam kąśliwie.

- Tak, mamy wielkie szczęście - stwierdził Monk.

Oczywiście mój sarkazm uszedł jego uwagi. Nigdy go nie dostrzegął, ale to rzadko mnie powstrzymywało.

- Wystarczy mi to, co się stało na Hawajach i w Niemczech. Tym razem nie będę brała w tym udziału - oznajmiłam. - Będzie musiał się pan zająć tą sprawą bez asystentki.

- Ależ nie mogę. Nawet nie mówię po francusku.

- To już nie mój problem. Dzisiaj chcę jeszcze zobaczyć co nieco w Paryżu. Pan zostaje czy idzie ze mną?

Monk przeniósł bezradnie wzrok na Le Roux, a potem z powrotem na mnie.

- Zawrzyjmy kompromis - powiedział po namyśle Monk. - Ja będę prowadził śledztwo, a ty będziesz moją asystentką dobrze?

- Już nią jestem.

- Świetnie! To nam wszystko ułatwi - powiedział zadowolony Monk. - Cieszę się, że doszliśmy do porozumienia.

Odwrociłam się do niego plecami i ruszyłam przed siebie długim korytarzem pełnym ludzkich kości.

## Monk zwiedza miasto

Kiedy wyszłam na ulicę, byłam taka wściekła, że nie miałam ochoty czekać na Monka. Wiedziałam, że zaraz się pokaże w drzwiach muzeum. Nie pozostawiłam mu wyboru, musiał ulec moim żądaniom. Bez mojej pomocy z trudem funkcjonował nawet u siebie w domu, więc tutaj tym bardziej nie miał szans. On to wiedział i ja wiedziałam.

Dawało mi to sporą przewagę nad Monkiem. Nigdy wcześniej z niej nie korzystałam, więc nie czułam się specjalnie winna, gdy wreszcie sięgnęłam po tę broń.

Monk zupełnie ignorował moje uczucia.

Jasne, byłam jego pracownikiem, ale również przyjaciółką. Aby mógł poskładać swoje życie, pomogłam mu przyjechać do Europy i odnaleźć w Lohr doktora Krogera. O mały włos nie przypląciłam tego życiem.

W zamian pragnęłam teraz jednego: odpoczynku bez morderstw, wakacji, podczas których mogłabym odetchnąć od tamtej niemieckiej przygody, a także kilku, które ją poprzedzały. Czyż wczoraj na lotnisku nie postawiłam sprawy jasno? Czy moje uczucia nic już go nie obchodziły? Dlaczego wszystko zawsze musi się obracać wokół jego osoby?

Ale nie robiłam tego wyłącznie z pobudek egoistycznych. W ostatnim tygodniu czy dwóch rozwialiśmy wystarczająco dużo morderstw. Potrzebna mi była przerwa i Monkowi prawdopodobnie również, nawet jeśli się do tego nie przyznawał.

Zapomniałam już, co to znaczy przeżyć tydzień, nie oglądając czyichś zwłok lub nie przepytując ludzi, gdzie przebywali w chwili morderstwa i co ich łączyło z ofiarą. Założę się, że Monk również zapomniał.

Oczywiście był w moim życiu okres, kiedy śmierć nie podążała za mną wszędzie tam, gdzie się ruszyłam. Jednak ten okres skończył się gwałtownie z chwilą, gdy poznałam Adriana Monka.

Krótkie śledztwo w sprawie morderstwa w samolocie było nie do uniknięcia. Sami byliśmy świadkami zbrodni, a mężczyzna praktycznie padł trupem u stóp Monka. Nie bardzo też było dokąd uciec. Znaleźliśmy się w powietrznej pułapce.

Ale teraz to co innego. Odnalezienie czaszki w żadnym stopniu nie zobowiązywało Monka do szukania mordercy. Od tego była miejscowa policja. To już nie nasz problem.

W końcu Monk wyłonił się z katakumb. Pod ziemią zdjął ochronny kombinezon i ze zdumieniem zobaczyłam teraz, że pod spodem przez cały czas miał marynarkę, koszulę, spodnie i lśniące czystością, brązowe buty marki Hush Puppies. Jeszcze bardziej zdumiewające było to, że na jego ubraniu nie było najmniejszego zagniecenia, ani jednej kropli potu.

Zmrużył powieki, osłonił oczy dłonią i spojrzał na mnie ze smutkiem.

- Nic złego się panu nie stanie, jeśli pozwoli pan

policji zająć się tym morderstwem - powiedziałam. - Nie musi pan być zaraz taki osowiały.

- To mój naturalny wygląd - odparł Monk. - Szczęśliwy i beztroski wyraz twarzy, który oglądasz u mnie na co dzień, to tylko nędzna gra.

- Jakoś tego nie zauważam.

- Jestem znakomitym aktorem.

- Chodzi mi o to, że nigdy nie zauważam u pana szczęśliwego i beztroskiego wyrazu twarzy.

- Ależ mam go bardzo często.

- W takim razie zapewne zmyliło mnie, że u większości ludzi w parze z beztroskim nastrojem idzie uśmiech.

- To byłoby zbyt teatralne - odpowiedział Monk. - Jestem bardzo wyważony w doborze środków aktorskich.

- W takim razie dlaczego teraz pan tego nie robi?

- Dlatego że nie jestem w nastroju.

- Jest pan w nastroju osowiałym.

- Jestem sobą.

Bez możliwości rozwiązywania zagadek zbrodni Monk pozostawał człowiekiem bez celu w życiu, człowiekiem bez przeznaczenia i bez zajęcia. Nie było wtedy nic, co zaintrygowałoby jego genialny umysł i kazało mu zapomnieć o tysiącach małych bałaganików, które widział wokół siebie.

Rozumiałam to.

I nic mnie to nie obchodziło.

Resztę dnia spędziliśmy, zwiedzając miasto i nie odzywając się do siebie niemal w ogóle. Zupełnie mi to nie przeszkadzało.

Monk był wciąż posepny i nadaşany, zupełnie jak



moja nastoletnia córka Julie, kiedy nie otrzymywała tego, na co nabrała ochoty. Cóż, byłam przyzwyczajona. Zresztą miałam mnóstwo innych rzeczy, które mnie zajmowały.

Po wyjściu z katakumb zjedliśmy mały lunch w pobliskiej kawiarence. Monk zamówił dla siebie wodę Sierra Springs i suchego tosta, a ja popołgowałam sobie i zamówiłam porcję naleśników, kieliszek wina i kawałek ciasta.

Poza tym, jak zawsze, Monk przestawił krzesła, przepędził jakąś parę zamierzającą usiąść z pieskiem przy stoliku obok i zdenerwował się panem, który parkował małego mercedesa, uderzając raz po raz zderzakami o samochody, pomiędzy które usiłował wjechać.

Kierowca nie znał angielskiego, więc tyrada Monka poszła na marne, a ja udawałam, że niczego nie zauważyłam.

Mając w żołądku trochę pożywienia, a w żyłach trochę alkoholu, poczułam się zrelaksowana i gotowa do włóczęgi. Pojechaliśmy metrem do Ogrodu Luksemburskiego, serca Dzielnicy Łacińskiej, gdzie przechadzaliśmy się tymi samymi alejkami parkowymi i brukowanymi uliczkami, po których chodzili Jean Paul Sartre i Simone de Beauvoir. Mogłam sobie wyobrazić, że jestem francuską intelektualistką lub klepiącą biedę poetką.

Zatrzymaliśmy się przed kościołem Saint-Sul-pice, który, jak przeczytałam w przewodniku, budowało przez sto trzydzieści cztery lata sześciu kolejnych architektów. Prace rozpoczęły się w połowie siedemnastego wieku - a nie powiem, żeby budowla wyglądała na ukończoną. Jak skwapliwie wytknął Monk, na niższej, południowej wieży stercza-

ły w ścianie nieociosane bloki kamienne, w których do dzisiaj nic nie wyrzeźbiono. Nie była to jedyna rzecz, która nie dawała mu spokoju.

- Człowiek pomyślałby, że przynajmniej jeden z tych sześciu architektów powinien zauważyć, że wieże kompletnie do siebie nie pasują- powiedział.

- Niech pan to zapisze - poradziłam. - Jeszcze jeden postulat do pańskiego raportu.

Szliśmy dalej. Zaglądałam do księgarni i sklepików, wążając się bez szczególnego celu, co oczywiście doprowadzało Monka do czarnej rozpacz. Nic mnie to nie obchodziło. Za wszelką cenę chciałam się zagubić w tych uliczkach i to nam się udało.

W końcu stanęliśmy przed księgarnią Shakespeare & Co. na Quai Saint-Michel, przed którą, po drugiej stronie Sekwany, wznosiła się katedra Notre--Dame. Wolałam nie przechodzić przez most na Ile delà Cité, aby przyjrzeć się jej z bliska. Naprzeciwko frontonu Notre-Dame znajdowała się komenda policji i nie chciałam, aby Monka kusiło, by wejść do środka i zobaczyć się z nadinspektorem Le Roux.

Ruszyłam zatem wzdłuż nabrzeża w kierunku zachodnim, do Pont Neuf, najstarszego mostu kamiennego w Paryżu, który zachował się w pierwotnym kształcie.

Pont Neuf przecinał krańcowy cypel île de la Cité. Stateczki wycieczkowe wdzięcznie prześlizgiwały się pod jednym z dwunastu urokliwych, łukowatych przęseł nad Sekwaną. Wzdłuż zewnętrznych ścian mostu ciągnęły się twarze z kamienia, które zdawały się krzywić ze wstrętem czy skowyczeć z bólu. Nie wiedziałam, czy mają za zadanie odstraszać ptactwo, graficyarzy czy złą aurę, ale w każdym razie wydawały mi się dziwne jak na ornamenty.

Kiedy na początku siedemnastego wieku ukończono Pont Neuf, od razu zasłynął jako pierwszy most w Paryżu, na którym nie zbudowano domostw. W tamtych czasach domki na moście cieszyły się wzięciem z racji wyposażenia w dogodną toaletę, którą, praktycznie rzecz biorąc, stanowiła dziura w podłodze nad rzeką. Nie podzieliłam się z Monkiem tą historyczną ciekawostką.

Może to właśnie była przyczyna skwaszonych min kamiennych twarzy na moście; ohydna maź spływająca z sąsiednich mostów, na którą musiały nieustannie patrzeć.

Stałam dłuższą chwilę i przyglądałam się płynącym po rzece statkom. Monk stał obok i również patrzył na stateczki. Nie wyglądał ani trochę mniej posępnie, ale przynajmniej nie narzekał. Most miał dwanaście przęsł. Czegóż więcej chcieć?

Nad miastem powoli zachodziło słońce, a my zajmowaliśmy doskonałe miejsca, aby je podziwiać. Kiedy niebo pociemniało, przeszliśmy mostem na prawą stronę rzeki. Szliśmy rue Rivoli w kierunku zachodnim, mijając liczne sklepy z pamiątkami i restauracje, położone strategicznie naprzeciw Luwru, aby od razu wabić turystów.

Potem skręciliśmy na północny zachód, ku place de la Concorde i Champs-Élysées. Kiedy dotarliśmy wreszcie do naszej restauracyjki, w której rano zjadłam śniadanie, a dzień wcześniej obiad, bolały mnie już nogi. Nie miałam wielkiej ochoty wchodzić tam po raz kolejny, ale dla dobra Monka zrobiłam ustępstwo, choć wcale o to nie prosił.

Monk znowu uraczył się swoją wodą Sierra Springs i tostem *croque monsieur*.

Ja zamówiłam *entrecôte avec des frites*. Jedzenie

było wyborne, zwłaszcza frytki. Znalazłam kilka frytek równej długości, oddzieliłam je widelcem na talerzu i poczęstowałam Monka. Ku mojemu niemałemu zaskoczeniu zjadł je natychmiast prosto z talerza. Mały krok dla ludzkości, wielki skok dla Monka.

Druga noc w naszym hotelu przebiegła podobnie jak pierwsza. Tym razem oboje byliśmy jednak tak wykończeni, że dysputa nad naszą sytuacją nie trwała długo.

Kiedy obudziłam się nad ranem, Monk był już ubrany, siedział na skraju łóżka i wpatrywał się w wyłączony telewizor. Był całkowicie pogrążony w myślach, a ja doskonale wiedziałam, co mu chodzi po głowie.

O znalezionej czaszce.

Nie pytałam więc, co robi. Odrzuciłam kołdrę i wstałam z łóżka. Monk natychmiast wyszedł z pokoju, zostawiając mnie samą abym mogła wziąć natrysk i się ubrać.

Czekał na mnie w holu.

- Myślę, że powinniśmy się skontaktować z nadinspektorem i zapytać, jak mu idzie śledztwo - rzekł na powitanie.

- Dlaczego mielibyśmy to robić?

- Po prostu jestem ciekaw.

- Nie wątpię - powiedziałam. - Później możemy do niego zadzwonić.

- Dzisiaj?

Pokręciłam głową.

- Chodziło mi o to, aby zatelefonował pan do niego z lotniska, kiedy będziemy już odlatywać do domu.

- Jeśli będziemy czekać aż tak długo, niewiele będę mógł mu pomóc — stwierdził Monk.

Rzuciłam mu wymowne spojrzenie.

- Taki właśnie jest mój zamiśl, panie Monk.

—To niedobry zamiśl.

—W każdej chwili może pan sobie iść na spotkanie z nadinspektorem, panie Monk, nawet teraz. Recepcjonista wezwie dla pana taksówkę i zamówi kurs na komendę policji.

-A ty?

—Jakoś dam sobie radę. Niech się pan o mnie nie martwi.

—Nie martwię się o ciebie - powiedział Monk. - Martwię się o siebie.

- To ci nowina.

Wiem, że moje słowa musiały zabrznieć gburowato. Pewnie stajecie teraz po stronie Monka. Ale wyobraźcie sobie, jak byście się czuli na moim miejscu, gdybyście musieli rozwikływać pięćdziesiąt czy sześćdziesiąt morderstw z rzędu u boku detektywa z zaburzeniami obsesyjno-kompulsywnymi i nigdy nie mieli ani dnia wakacji. Już sama moja drażliwość dowodziła, jak bardzo był mi potrzebny odpoczynek.

- Nie chcę, żeby czuł się pan nieszczęśliwy - wyjaśniłam. - Niech pan robi, na co ma ochotę. Ja idę na śniadanie.

Wyszłam z hotelu i zatrzymałam się przy stoisku z prasą. Każdy francuski dziennik zamieszczał na stronie tytułowej zdjęcie Monka w katakumbach trzymającego przed sobą czaszkę. Najwidoczniej zdjęcia zrobili turyści i sprzedali je mediom. Pięknie.

Kiedy ruszyłam dalej, dołączył do mnie Monk. Jeśli widział gazety, to nic na ten temat nie powiedział.

Jedliśmy śniadanie w tym samym miejscu co wczoraj, a ja układałam sobie w głowie porządek dnia. Z listy szybko skreśliłam Luwr. Wyobraziłam sobie, jak Monk urządza scenę przed pozbawioną rąk Wenus z Milo i domaga się, aby natychmiast naprawić posąg.

Idąc tym tropem, wykreśliłam z planów wszystkie pozostałe muzea i postanowiłam, że wybierzemy się na wycieczkę pieszą po mieście.

Nie chcę nikogo zanudzać dziennikiem z wyprawy ani wszystkimi nieregularnymi, nierównymi i niehigienicznymi drobiazgami, które po drodze bez przerwy dręczyły Monka. Dość powiedzieć, że dzień był przepiękny, spacer cudowny, a co najważniejsze, nie natknęliśmy się na zwłoki.

Uznałam ten dzień za olbrzymi sukces. Monk nie był bardziej męczący niż zwykle, nawet jeśli chodził nadąsany, a Paryż był wręcz bajeczny, co kompensowało mi wszystko.

To były prawdziwe wakacje.

Miałam ochotę uwieńczyć je specjalnym obiadem, jeśli jednak chciałam liczyć na spokojny posiłek, musiałam uważać, dokąd zabieram Monka. Zarezerwowałam więc stolik w wyjątkowej restauracji, o której czytałam kiedyś w „San Francisco Chronicle”.

Restauracja nazywała się *Toujours Nuit*, a swoją wyjątkowość zawdzięczała temu, że do stołu podawali niewidomi kelnerzy, a goście jedli posiłek w absolutnej ciemności, nie widząc tego, co jedzą.

Doszłam do wniosku, że jeśli Monk nie będzie widział wystroju wnętrza, nakrycia na stole, gości przy sąsiednich stolikach ani tego, co je, to niewie-

le pozostanie rzeczy, w których będzie miał szansę znaleźć coś nieodpowiedniego.

Toujours Nuit reklamowała się jako coś więcej niż tylko miejsce, w którym można smacznie zjeść - restauracja obiecywała niezapomniane przeżycia. Nawet mi do głowy nie przyszło, jak bolesną okaże się to dla mnie prawdą.

## Monk w ciemnościach

Pojechaliśmy więc metrem na lewy brzeg rzeki, gdzie znajdowała się restauracja Toujours Nuit.

W wagonie metra Monk usiadł i robił wszystko, aby niczego nie dotknąć rękami, na które zapobiegliwie naciągnął rękawy marynarki. Ponadto zamknął oczy i zacisnął zęby.

Niełatwo jest krzyczeć z zaciśniętymi zębami, ale Monk próbował. Wyglądało to tak, jakby się dławił albo płukał gardło.

Kiedy wyszedł na ulicę, łapał powietrze wielkimi haustami i trzymał się mocno za klatkę piersiową, jakby przed chwilą się dusił.

Toujours Nuit znaleźliśmy przy wąskiej, brukowanej ulicy na lewym brzegu Sekwany, w dzielnicy zapelnionej restauracjami, kawiarniami i barami, przeznaczonymi głównie dla turystów.

Fasada naszej restauracji była całkowicie czarna z wyjątkiem nazwy, która wypisana była nad wejściem małymi, białymi literami.

Nie powiedziałam jeszcze Monkowi, dokąd idziemy. Czekałam do ostatniej chwili, żeby tym trudniej było mu się wycofać.

Przed wejściem jednak Monk się zawahał.

- Trochę tu straszno - powiedział.



- Nie ma co się bać tylko dlatego, że ktoś pomalował ścianę na czarno.
- Nie dlatego się boję.
- W takim razie czego się pan boi?
- Restauracji - odpowiedział Monk.
- Przecież nie jest straszniejsza niż, powiedzmy, ta chińska zaraz obok.
- Och, chińska jest dużo straszniejsza.
- Dlaczego?
- Mają tam wieprzowinę w sosie słodko-kwaśnym.
- Coś nie tak z wieprzowiną w sosie słodko-kwaśnym?
- Jest słodka - powiedział Monk. — I kwaśna.

Wzdrygnął się cały od stóp do głów.

- W takim razie może pan być wdzięczny, że będzie jadł tutaj. - Otworzyłam drzwi i zaprosiłam go gestem do środka.

Znaleźliśmy się w niewielkiej salce z barem. Kręciło się tu około dwudziestu osób, większość popijała drinki, opierając się o kontuar, który ciągnął się wzdłuż całej tylnej ściany. Po lewej wisiały ciężkie, czarne kotary, a po prawej, przy schodach prowadzących, jak głosił napis na ścianie, do toalet, stał rząd szafek na rzeczy osobiste.

Barman z kozią bródką zaprosił nas uprzejmym gestem do baru, gdzie podał nam jakiegoś kolorowego tropikalnego drinka z kurtuazyjnymi życzeniami i zapytał po francusku o nazwisko, by mógł nas wpisać na listę osób oczekujących na stolik.

Odpowiedziałam po francusku, ale z pewnością się domyślił, że jestem Amerykanką, gdy tylko otworzyłam usta, ponieważ odpowiedział mi po angielsku.

- Mam na imię Stephan. Witam w Toujours Nuit. Byliście u nas państwo kiedyś?

- Nie - odpowiedziałam.

Stephan wyglądał jak bitnikowski poeta, czyli trochę tak, jak według mojego mocno uroman-tycznionego wyobrażenia z lat dziecięcych powinien wyglądać seksowny, młody francuski intelektualista, choć nie jestem pewna, czy taki rodzaj ludzki w ogóle istniał.

- Proszę włożyć do szafki okrycia, torebkę, te lefony komórkowe, pagery i wszystko, co mogło by emitować światło lub rzucać blask w ciemności. Klucz od szafki należy zabrać ze sobą- poinformował nas Stephan.

Monk wyglądał na mocno zaskoczonego.

- Dlaczego mamy to robić? - zapytał.

Pociągnęłam długi łyk słodkiego drinka, aby

wzmocnić się przed bojem, który mnie teraz czekał, ale na razie pozwoliłam, aby pytanie Monka wziął na siebie barman.

- Aby sala była całkowicie ciemna i aby nie znajdowało się w niej nic, o co mogliby się potknąć kelnerzy.

- Całkowicie ciemna? - zapytał podejrzliwie Monk. — Co chcecie przed nami ukryć?

- Nic - odparł Stephan.

Odstawiłam drinka na ladę, pociągnęłam Monka za rękaw i poprowadziłam go do szafek.

- To szczególna restauracja, panie Monk - powiedziałam. - W sali panują egipskie ciemności, a obsługują niewidomi kelnerzy.

- Chyba żartujesz.

Otworzyłam jedną z szafek, włożyłam do środ-

ka kurtkę i torebkę, zamknęłam szafkę i włożyłam klucz do kieszeni.

- Mówię jak najbardziej poważnie — odparłam. — Nie będzie pan w stanie nic zobaczyć.

- Francuzi tak jedzą?

- Nie. Po prostu ta restauracja jest inna — wyjaśniłam. - Chodzi o to, by spożywanie posiłku uczynić bardziej zmysłowym przeżyciem.

- Przyszliśmy na orgię?! - wykrzyknął Monk z przerażeniem.

Ludzie odwrócili głowy w naszą stronę i zaczęli się nam przyglądać. Uciszyłam go i odciągnęłam w najdalszy kąt, żeby nikt nie mógł nas usłyszeć.

- Oczywiście nie, panie Monk — zapewniłam. - Jak mógł pan coś takiego pomyśleć?

- Ponieważ jesteśmy we Francji, a ty mówisz, że czeka nas zmysłowe przeżycie.

- Chodziło mi to, że aby odkryć, jakie jemy smakołyki, będziemy musieli polegać na zmysłach woni, dotyku i smaku.

- Nie chcę odkrywać, co jem - powiedział Monk. - Muszę wiedzieć, co jem, zanim to włożę do ust. Słyszałem, że ci ludzie jadają ślimaki i żaby. Mogą mnie nakarmić jakimś mięczakiem albo dżdżownicą.

- Na pewno tak się nie stanie.

- Skąd wiesz? - zapytał Monk. - A jeśli kucharze również są niewidomi?

- Nie. Tylko kelnerzy są niewidomi - uspokajałam go.

- Och, to ma mi poprawić nastrój?

- To może być wspaniałe przeżycie, panie Monk.

- Nie bardzo to widzę.

- Bez ironii.
- Co bez ironii?
- Z którą pan przed chwilą mówił.
- Nie mówiłem z ironią.
- Mówię przecież, że bez ironii.
- Nie powinnaś teraz tyle pić — orzekł Monk. - Ten drink uderzył ci do głowy. Jesteś kompletnie pijana.

Westchnęłam.

- W ogóle nie bierze pan pod uwagę pozytywnej strony tej sytuacji.

- Nigdy nie ma pozytywnej strony.

- Parę lat temu jakiś facet chlapał panu w twarz rozpuszczalnikiem i na jakiś czas oślepił. Przez długie dni nie był pan pewien, czy będzie jeszcze kiedyś widział.

- To ma być ta pozytywna strona? - przerwał mi Monk. — Znowu mam oślepnąć?

- Właśnie - odparłam. - Pamięta pan, początkowo strasznie się pan nad sobą użalał, ale potem ślepotą się panu spodobała. Poczul się pan uwolniony od lęków. Po raz pierwszy w życiu nie obchodziło pana, czy wokół wszystko jest uporządkowane i czyste. Był pan szczęśliwy.

- Przez jakiś czas, ale to nie trwało długo - odparł Monk. - Uświadomiłem sobie, że jest wiele dobrych rzeczy, który nigdy nie zobaczę, jak zdjęcia Trudy.

- Pomyślałam, że może znowu zechce pan doświadczyć tej radości i wolności od lęków, tyle że tym razem bez strachu przed utratą czegoś na zawsze - przekonywałam. - Dzisiaj znajdziemy się w sali restauracyjnej, gdzie wszystko wygląda tak, jak uważa pan, że powinno wyglądać.

- Skąd to będę wiedział? - zapytał Monk. - Przecież nic nie będę widział.

- Właśnie - przytaknęłam. - Ponieważ będzie pana otaczała absolutna ciemność. Sala będzie tym, czym tylko pan zechce. Wystarczy trochę wyobraźni.

- Nie jestem pewien, czy mam wyobraźnię.

- Będzie pan miał okazję, aby ją w sobie odszukać — powiedziałam.

Barman zadzwonił dzwoneczkiem i poprosił wszystkich o podejście do czarnej kotary.

Stephan uprzedził, że wszyscy będziemy wchodzili na salę gęsiego za prowadzącą nas kelnerką, trzymając ręce na ramionach osoby, która idzie z przodu.

Kelnerka przedstawi się i odprowadzi każdego do stołu. Gościom nie wolno samym poruszać się po sali. Jeśli czegoś nam będzie trzeba albo jeśli będziemy chcieli wyjść do toalety, wystarczy zawołać imię swojej kelnerki czy kelnera, który we wszystkim pomoże.

Jakaś kobieta podniosła rękę i zapytała, czy w toaletach również jest ciemno.

Wszyscy się roześmiali. Byłam pewna, że barman nieraz już słyszał to pytanie.

Wyjaśnił, że w toaletach jest światło, a schodzi się do nich schodami obok szafek. Zasugerował także, aby każdy, kto musi, skorzystał z nich teraz, ponieważ cały obiad potrwa około półtorej godziny.

Potem Stephan zapytał, czy ktoś stosuje jakąś szczególną dietę lub może jest uczulony na pewne rodzaje żywności, ponieważ kucharz powinien wiedzieć o tym już teraz.

Monk podniósł rękę.

- Mleko - oznajmił krótko.

- Jest pan uczulony na nabiał, tak? - zapytał Stephan.
- W ogóle nie piję płynów organicznych - dodał Monk.
- Doskonale — stwierdził Stephan. — Jeszcze ktoś? Monk znowu podniósł rękę.
- Kielbaski.
- Jest pan uczulony na kielbaski?
- Nie jadam nic, co ma cokolwiek wspólnego z je-litami - wyjaśnił Monk.
- Rozumiem - powiedział Stephan. - Jeszcze ktoś? Monk znowu podniósł rękę.
- Sałatka mieszana.
- Jest pan również uczulony na sałatkę?
- Nie jadam niczego, co jest wymieszane — po-wiedział Monk.
- Oczywiście. Dopilnujemy, aby nie mieszano pańskiej sałatki - zapewnił Stephan, lekko już znie-cierpliwionym głosem. - Jeśli to wszystko... Monk podniósł rękę, a ja ściągnęłam mu ją na dół.
- Ten pan już skończył - powiedziałam do barmana.
- Mam więcej uczuleń - przypomniał mi Monk.
- Wiem - odparłam. - Cały opasły tom. Ale nie mamy na to czasu. Stalibyśmy tu do następnego wtorku.
- Ale jeśli podadzą mi coś, czego nie mogę jeść?
- Niech pan nie je.
- Skąd będę wiedział, co to jest, skoro nic nie będę widział?
- Będzie musiał pan polegać na swoich wyostrzonych zmysłach.

- Ach, zapomniałem o swoich wyostrzonych zmysłach - uspokoił się Monk.

Zza kurtyny wyszli kelnerzy i zaczęli odprowadzać gości do poszczególnych stolików. Stałam przed Monkiem.

- Niech mi pan położy ręce na ramionach - poradziłam.

- Już raczej będę polegał na swoich wyostrzonych zmysłach.

- Takie są wymogi, panie Monk.

Ostrożnie położył dłonie na moich ramionach, jakby miał się oparzyć.

- Żeby nie było niedomówień - zastrzegł. - To nie jest żadne zmysłowe przeżycie.

- Absolutnie - przytaknęłam.

Pokazała się nasza kelnerka.

- Mam na imię Gayle - przedstawiła się. — Dziś wieczór będę waszą gospodynią w Toujours Nuits. Czy mogłabym się dowiedzieć, jak macie na imię?

- Ja jestem Natalie — przedstawiłam się.

- Ja Adrian - powiedział Monk. - Nie pijam mleka.

- Już słyszałam - oznajmiła i wyprowadziła nas za kotarę.

Skręciliśmy parę razy, to w lewo, to w prawo, i przez cały czas wyczuwałam z obu stron kotary. Domyśliłam się, że przechodzimy przez utworzoną z kotar swego rodzaju strefę buforową, której zadaniem było wytłumienie wszelkiego światła, które mogłoby wpaść do sali restauracyjnej. Strefa spełniała swoją funkcję znakomicie, a ja czułam, że powoli tracę orientację.

Oczy miałam szeroko otwarte, ale nie widziałam nic poza najgłębszą i najczarniejszą ciemnością.

Niemal natychmiast serce zaczęło mi bić szybciej i wyczułam, że instynktownie wytężam wzrok w poszukiwaniu jakiegokolwiek znaku światła. Ale nie było żadnego.

Moich uszu dochodziły jedynie szepty innych ludzi i płynąca z głośników muzyka, okropna new-age'owa melodia wykonywana na klawikordzie. Pomyślałam, że jeśli jej nie wyłączą, zasnę, zanim podadzą coś do jedzenia.

Gayle się zatrzymała.

- Usiądziecie przy stoliku dla czterech osób - powiedziała. - Będziecie go dzielili z innymi gośćmi. Adrianie, twoje krzesło znajduje się po twojej lewej stronie. Możesz już zdjąć dłonie z ramion Natalie, wysuń krzesło i usiądź. Natalie zajmie miejsce naprzeciw ciebie.

Usłyszałam, jak Monk wyciąga krzesło. Wciąż trzymałam dłonie na ramionach Gayle, która prowadziła mnie na drugą stronę stołu.

- Przed wami leży na stole nakrycie - powiedziała. - Między wami stoi wino w karafce i koszyczek z pieczywem. Za chwilę podamy pierwsze danie.

- Gayle - zatrzymał ją Monk. - Mamy tu poważny problem.

- O co chodzi, Adrianie?

- Mój talerz jest obtłuczony - stwierdził Monk. - Na samym brzegu.

- To się zdarza - odpowiedziała Gayle. - Jednak zapewniam, że jest czysty.

- To bez znaczenia. Nie możecie oczekiwać od ludzi, żeby jedli z poobtłuczonych talerzy. Trzeba go wyrzucić. - Monk sięgnął do mojego talerza; wiedziałam to tylko dlatego, że przypadkowo musnął



moją dłoń. - Talerz Natalie również ma obtłuczony brzeg - stwierdził.

- Ale to dobre talerze - zapewniła Gayle. - Niczego im nie brak.

- Jeśli są obtłuczone, nie można powiedzieć, że niczego im nie brak, nie mówiąc już o tym, że nie mogą być dobre. Musisz mi obiecać, że natychmiast je wyrzucisz, aby nikt się nie poranił.

- Trudno się zranić od lekko obtłuczonego talerza, panie Monk - powiedziałam.

- Od jednego obtłuczenia do drugiego droga niedaleka. Ani się obejrzysz, a będziesz jadła z ostrza piły tarczowej.

- Natychmiast wyrzucimy talerze - zapewniła Gayle, zabierając je ze stołu. - Razem z przystawką przyniosę nowe.

Wyciągnęłam rękę i wyczułam sztucce, łyżkę, widelec i ostry nóż do steku, szklanek, koszyczek z pieczywem i karafkę. Zaczęłam szukać ręką końca stołu i znalazłam go po swojej prawej stronie.

- Budzą się moje wyostrzone zmysły - oświadczył Monk.

- Co pan wyczuwa?

- W sali usadzono dziewiętnaście osób, jest w sumie sześcioro kelnerów, dwoje wyszło wyjściem w kotarach znajdującym się pięć metrów za tobą, a dwoje innych wyszło podobnym wyjściem za moimi plecami po lewej stronie, by przyprowadzić resztę gości.

- Nie wyczuwa pan zapachu świeżego pieczywa?

- Tak. Oczywiście.

- Niech pan posmakuje — zaproponowałam. — Będzie pan pierwszy przy stole, który odłamie kawałek chleba.

Usłyszałam szelest poły jego marynarki ocierającej się o rękaw, gdy wyciągnął rękę do koszyczka, a potem chrupnięcie, gdy odrywał dla siebie kawałek pieczywa. Kiedy ze świeżego chleba uwolniły się opary ciepła, jego woń stała się jeszcze silniejsza. Po samym zapachu potrafiłam odgadnąć smak chleba, co nauczyło mnie, jak bardzo zmysł powonienia wpływa na percepcję smaku.

Wyciągnęłam rękę, aby również oderwać sobie kawałek pieczywa i potwierdzić swoją teorię.

Chleb bardzo mi smakował, ale zaczęłam się zastanawiać, czy nie wynikało to bardziej z ograniczenia doznań zmysłowych w takich ciemnościach i braku okazji do doświadczenia czegoś więcej.

Usłyszałam idących ludzi za plecami Adriana. Zbliżali się do naszego stolika.

- Adrianie, Natalie, to jest Sandrine - powiedziała Gayle. - Przyszła dzisiaj sama i dosiadzie się do waszego stołu.

- *Bonsoir*, Sandrine — powiedziałam w ciemność.

- *Bonsoir* - odpowiedziała szeptem i usłyszałam, jak odsuwa krzesło i siada koło Monka.

- *Le pain est excellent* - powiedziałam do Sandrine, żeby nie wyjść na mruka.

Usłyszałam szurnięcie krzesłem, kiedy Sandrine sięgnęła do koszyczka i wzięła resztę chleba.

Pomyślałam, że ma smukłą rękę i delikatne dłonie, choć nie mam pojęcia, dlaczego właśnie tak ją sobie wyobraziłam. Może reagowałam zupełnie instynktownie, podświadomie odczytując różne sygnały, jak choćby sposób poruszania się, kiedy siadała na krzesło, lub dźwięki, które przy tym wydawała, bądź nie wydawała.

- Są już wszyscy na sali - stwierdził Monk.

- Och, dobrze wiedzieć — powiedziałam.

Jedną ręką wyszukałam swój kieliszek, a drugą karafkę. Ostrożnie nappełniłam kieliszek, trzymając delikatnie palec na jego brzegu, by wiedzieć, kiedy wino zacznie się przelewać.

- Dziwne - powiedział raptem Monk. - Na sali jest jedna osoba więcej, niż było nas przy barze przed wejściem na salę.

- Tego nie może pan wiedzieć, panie Monk.

- Wszyscy goście już siedzą.

- To prawdopodobnie jakiś kelner.

- Ich jest sześcioro, a ta osoba ani nie siedzi, ani nie stoi. Czai się.

- Słyszysz pan, jak się czai?

- A ty nie słyszysz?

- Jaki dźwięk wydaje... czajenie się?

- Taki, jaki wydaje człowiek zbliżający się do nas wolno i systematycznie od strony ściany, jakieś dwa stoliki od nas, po mojej prawej stronie.

Wyteżyłam słuch i skupiłam uwagę na rozbrzmiewających wokół mnie dźwiękach. Słyszałam brzęk sztućców i talerzy, kroki kelnerów, ludzi mówiących po francusku i tę okropną muzykę z głośników, ale nic, co mogłabym wziąć za czajenie się, skradanie czy podchodzenie.

Ciemność była tak nieprzenikniona, że zdawała się istnieć fizycznie. Czułam, jak napiera z każdej strony; jakby człowiek znalazł się z głową w zapiętym śpiworze.

Wtem usłyszałam ciężkie kroki, a potem radosny głos Gayle.

- Uwaga, przyniosłam pierwsze danie - oznajmiła. - Teraz się pochylę i postawię przed wami talerze.

Usłyszałam, że stawia naczynia przed Monkiem

i Sandrine, a chwilę później Gayle pojawiła się za moimi plecami.

Kiedy się pochylała, aby postawić przede mną talerz, poczułam ciepło jej ciała i zapach szamponu. Gayle dotknęła mojego ramienia.

- Za parę minut przyniosę *entrée* - oznajmiła. - Smacznego.

Pochyliłam się nad talerzem. Wyczułam woń wędzonej ryby i lekki aromat czosnku. Delikatnie dotykając jedzenia palcami, rozpoznałam też zieloną sałatę, grzyby i ogórki. Było poza tym coś, co uznałam za pokrojone mięso. Ale czy była to szynka? Czy rostbef? Nie dowiem się, dopóki nie spróbuję.

- Jak mam pokroić jedzenie? - zapytał Monk.

- Nożem i widelcem.

- Nie będę wiedział, czy odkrawam idealne kwadraty.

- Musi pan zaufać swoim wyostrzonym zmysłom - poradziłam. - Albo po prostu przestać się tym martwić.

Wtedy usłyszałam szept Sandrine.

- Chętnie panu pomogę, monsieur Monk.

- Bardzo pani dziękuję. Ale nigdy nie pozwalałam, aby obcy ludzie kroili mi posiłek.

- Wiem, kogo pan znalazł — powiedziała niewyraźnym głosem.

Poznałam po jej głosie, że jest młodą kobietą, a w każdym razie nie starszą ode mnie. Z drżenia w jej głosie zorientowałam się również, że się czegoś boi. Być może ciemności.

- Bardzo mi przykro, ale nie rozumiem, co pani próbuje powiedzieć - odparł Monk. — Może to pani angielski. Jeśli pani chce, może pani powtórzyć to samo Natalie po francusku.

W tym momencie moich uszu dobiegł dziwny odgłos, jakby coś krótko chlupnęło, potem żalosne westchnienie, a później leciutkie zawirowanie powietrza, gdy ktoś przeszedł koło mnie, ciągnąc za sobą powiew stęchłego, wilgotnego zapachu. Po stronie Monka rozległo się głucho dudnięcie, jakby coś zwałiło się na podłogę.

- Natalie - powiedział ostrożnie Monk.
- Tak, panie Monk?
- Nie wpadaj w panikę.
- Dlaczego miałabym wpadać w panikę?
- Ponieważ na sali jest morderca, który właśnie zabił siedzącą obok mnie kobietę.

Skrzywiłam się i poczułam, jak moje ciało tężeje od narastającego gniewu.

Prawdopodobieństwo natknięcia się na trzy morderstwa w ciągu trzech kolejnych dni było astronomicznie małe, nawet jak na Monka. Za samą taką sugestię miałam ochotę rzucić w niego karafką, ale bałam się, że w ciemności nie trafię.

- To niemożliwe. Morderstwo to pańska obsesja. Nie potrafi pan przeżyć dwóch dni bez śledztwa - powiedziałam i odwróciłam się do sąsiadki Monka. - Wiem, że to zabrzmiało głupio, Sandrine, ale czy byłabyś taka dobra i powiedziała panu Monkowi, że żyjesz, abyśmy w spokoju mogli wrócić do obiadu?

W tym momencie z lewej strony usłyszałam okrzyk zaskoczenia i łoskot spadających na podłogę naczyń.

- Odgłos niewidomej kelnerki przewracającej się o leżące zwłoki - orzekł Monk.

Nagle rozbrzły na sali światła. Odruchowo zacisnęłam powieki przed nieoczekiwaną jasnością i nagłym, przesywającym bólem oczu.

Kiedy je otworzyłam, musiałam jeszcze mrugnąć kilka razy, żeby się przyzwyczaić do światła, które było bardzo blade, ale stanowiło ostry kontrast z otaczającą nas wcześniej ciemnością.

Przez załzawione oczy zobaczyłam czarne ściany i sufit, czarne stoliki i krzesła, a także innych gości z załzawionymi oczami. Podobnie jak ja mrugali intensywnie.

Gayle leżała na podłodze między dwoma stolikami, otoczona odpryskami rozbitych naczyń, trzymając ręce w górze, zastygła w bezruchu, zapewne w obawie, aby nie pociąć się kawałkami szkła.

Dopiero teraz zdałam sobie sprawę, że Monk i ja jesteśmy jedynymi gośćmi, którzy wciąż siedzą. Monk patrzył na podłogę obok siebie.

Podniosłam się trochę z krzesła, aby zobaczyć, w co się tak wpatruje.

Na podłodze leżała młoda, rudowłosa kobieta. Miała kredowobłądą cerę, ubrana była w kwiecistą sukienkę. Miała delikatną budowę ciała, jak to sobie wcześniej wyobraziłam.

Oczy miała szeroko otwarte. Nie mrugała. W jej zbroczonej krwią piersi tkwił zanurzony po rękojeść nóż do steku.

Okropny widok, drugie morderstwo popełnione obok mnie w ciągu ostatnich trzech dni. Zaczęłam się trząść.

Ktoś krzyknął i powiew trwożliwej grozy przeszedł jak bryza po całej sali, nawet wśród osób, które jeszcze nie widziały ciała. Myślę, że wystarczył sam krzyk, by ulec grozie, a może jakiś głęboko ukryty pierwotny instynkt sprawił, że ludzie wyczuli metaliczną woń świeżej krwi.

Przez czarne kotary wpadł do sali barman ze

strzelbą w rękę. Spojrzał na ciało, potem na stół, a potem wymierzył broń w Monka.

- Nie ruszać się — powiedział Stephan.
- Nic nie zrobiłem - bąknął Monk.
- W takim razie jakim sposobem pański nóż znalazł się w piersi tej kobiety?

Monk i ja jednocześnie spojrzeliśmy na stół. Brakowało jednego noża, tego z nakrycia przed Monkiem.

- Dobre pytanie - stwierdził Monk i podniósł rękę.

## Monk i zamknięty pokój

- Niech wszyscy zostaną na swoich miejscach - powiedział głośno Monk. - Nie wyłączając obsługi lokalu.

Stephan dźgnął Monka lufą strzelby.

- Pańskie położenie nie uprawnia pana do wydawania poleceń.

- To nie on zabił tę kobietę - powiedziałam. - Jednak, czy się to panu podoba czy nie, jest to miejsce popełnienia przestępstwa i nikomu nie wolno zacierać śladów.

- Pani jest gliną czy jak? - zapytał Stephan.

- Ja nie. — Kiwnęłam głową w kierunku Monka. - Ale on tak.

Stephan zerknął na ciało.

- To się u niego zabawnie objawia.

Nie cieszyła mnie nowa sytuacja, ale ugrzęzłam w niej po uszy i nie lubiłam, gdy ktoś mierzył do Monka z pistoletu. Zobaczyłam, że Stephan ma przypięty do paska telefon komórkowy.

- Jeśli użyczy mi pan telefonu, zadzwonię po policję - powiedziałam.

Barman rzucił mi telefon. W kieszeni miałam wizytówkę nadinspektora Le Roux. Do końca życia będzie żałował, że mi ją wręczył.

Odebrał po drugim dzwonku.



- Witaj, Natalie. Jak minął dzień? - zapytał jowialnie.

- Zwiedzaliśmy Montmartre, oglądaliśmy witryny sklepów przy rue Saint-Honoré, ot, zwykły dzień zwykłego turysty - powiedziałam. - Ale nie dlatego dzwonię. Właśnie jemy obiad w restauracji Toujours Nuit niedaleko pańskiej komendy i chcielibyśmy, aby pan do nas dołączył.

- Bardzo dziękuję za zaproszenie, jednak obawiam się, że będę musiał odmówić - odpowiedział. - Jestem bardzo zajęty.

- W restauracji właśnie zamordowano kobietę — powiedziałam.

- *Ce n'est pas possible!* - wykrzyknął.

- Bardzo bym chciała — westchnęłam.

- Kiedy to się stało?

- Przed chwilą. Ofiara siedziała przy stole obok pana Monka.

- Jest pani pewna, że to morderstwo, a nie śmierć z przyczyn naturalnych?

- W sercu kobiety tkwi nóż do krojenia steku.

- Kto to zrobił?

- Nie wiem.

- Przed chwilą powiedziała pani, że siedzieliście przy tym samym stole co ofiara - zdziwił się Le Roux.

- W tej restauracji je się w zupełnych ciemnościach, a kelnerzy są niewidomi.

- *Incroyable* - powiedział i się rozłączył.

Restauracja znajdowała w bocznej ulicy od bulwaru Saint-Germain, zaledwie parę przecznic od komendy głównej policji, ledwie więc wyłączyłam telefon i oddałam go barmanowi, usłyszałam nadciągające wycie policyjnych syren.

W sali panowała pełna grozy cisza. Nikt się nie ruszał. Wszyscy czekali, co się dalej wydarzy.

Po jakimś czasie zza czarnych kotar wszedł na salę energicznym krokiem nadinspektor Le Roux, a za nim Gadois i kilku umundurowanych policjantów.

Le Roux stanął obok zwłok. Pokręcił głową i przeniósł wzrok na Monka. Tym razem nadinspektor nie wyglądał tak beztrosko, co sprawiło mi pewną przyjemność.

Le Roux odwrócił się do Stephana.

- *Vous pouvez poser l'arme maintenant. On va s'en charger.*

Barman opuścił broń i skinął głową na Monka.

- *Vous connaissez cet homme?* — zapytał.

- *Oui* — odparł Le Roux z ciężkim westchnieniem. - Panie Monk, czy jest możliwe, aby gdzieś się pan ruszył i nie natknął po drodze na zbrodnię?

- To nie przypadek - powiedział Monk. - Sandrine została zamordowana, żeby nie mogła mi przekazać pewnych informacji.

Wszyscy wbili w niego zdumione oczy.

- Sandrine? - Gadois ukląkł przy zwłokach. - Znalіście ją?

- Nie - wyjaśniłam. - Kelnerka przedstawiła nas sobie, używając imion.

- *C'est vrais* - powiedziała Gayle do nadinspektora, gdy Stephan pomagał jej wstać z podłogi.

- Ale ona mnie znała - powiedział Monk. - Przyszła specjalnie późno, żeby się dosiąść do naszego stołu. Zwróciła się do mnie „monsieur Monk”.

- Słyszała, że ja się tak do pana zwracam - powiedziałam.

- Chciała mi pomóc - upierał się Monk.

- W pokrojeniu mięsa - przypomniałam.
- Powiedziała tyle, że „wie, kim on jest” - dodał Monk. - Myślę, że chodziło jej o czaszkę, którą znalazłem wczoraj w katakumbach. Sądzę, że chciała porozmawiać ze mną o tym zabójstwie, ale jednocześnie pozostać anonimowa.

Le Roux podszedł do miejsca Monka przy stoliku.

- Pan siedział tutaj? - zapytał.

Monk przytaknął.

- Ona siedziała po pana prawej ręce, tak? - pytał dalej Le Roux.

- Tak - potwierdził Monk. - Morderca zaszedł ją z tyłu.

Le Roux spojrzął jeszcze raz na ciało, a potem znowu na stół.

- Jest pan pewien, że morderca zaszedł ją z tyłu?
- Tak. Słyszałem, jak się czai.
- Jak brzmi... czajenie się? - zapytał zdziwiony Gadois.

- Jak bardzo powolne czołganie się. Praktycznie niesłyszalne dla ucha, chyba że ma się wyostrome zmysły - odparł Monk.

- Pan ma wyostrome zmysły? - zapytał Le Roux sceptycznie.

- To dar - wyjaśnił Monk. - I przekleństwo.

- Zauważył pan coś jeszcze?

- Pachniał pleśnią i tykał.

- Tykał?

- Jak zegarek - powiedział Monk. - Usłyszałem to przez moment, kiedy się nad nią pochylał.

- Ja też wyczułam zapach, kiedy obok mnie przechodził - potwierdziłam słowa Monka.

- W kierunku czarnej kotary? - zapytał Monk.

- Chyba. Straciłam orientację.
- Le Roux pokiwał głową i odwrócił się do barmana.
- Widział pan kogoś wchodzącego do restauracji po tym, jak wszyscy już usiedli przy stołach?
- Ta biedna kobieta weszła ostatnia — powiedział Stephan.
- Jest pan absolutnie pewien?
- Nie wychodziłem z baru, dopóki nie usłyszałem brzęku tłukących się naczyń. Gdyby ktoś wchodził, widziałbym go na pewno.
- Mógł ktoś wejść ukradkiem tylnymi drzwiami? - zapytał Gadois.
- Barman zaprzeczył ruchem głowy.
- Drzwi są zamknięte na klucz, a na zewnątrz jest kamera przemysłowa. Monitor znajduje się pod ladą w moim barze. Nawet gdyby ktoś wszedł tylnymi drzwiami, a ja bym tego nie zauważył na monitorze, to musiał jeszcze przejść przez kuchnię.
- Między niewidomymi kucharzami — zauważył Gadois. - Wielka mi sztuka.
- Kucharze nie są niewidomi - powiedziała Gayle.
- W takim razie zabójcą musi być ktoś na tej sali. - Gadois zmrużył oczy i wolno przenosił wzrok z jednej osoby na drugą.
- Monk zaczął swój spowolniony detektywistyczny taniec, poruszając się po sali, robiąc małe piruety i przysiady, schylając się i okręcając na pięcie za każdym razem, gdy coś mu wpadło w oko. Wszyscy patrzyliśmy na niego zaciekawieni z wyjątkiem, rzecz jasna, niewidomych kelnerów.
- O czymś pan zapomina - powiedział w końcu Monk. - Panowała nieprzenikniona ciemność, a za bójca musiał wiedzieć, gdzie siedzi Sandrine, mu-

siał znaleźć drogę do naszego stołu i zabić ją w ciemnościach. Jak tego dokonał?

- W takim razie zabójcą jest któryś z niewidomych kelnerów — stwierdził Gadois, przenosząc świdrujące spojrzenie z gości na personel, który stał zgromadzony z tyłu przy ścianie.

- Coś mi tu nie pasuje, panie Monk - odezwał się Le Roux. - Mówi pan, że zabójca się pochylił, chwycił pański nóż i wbił go w serce Sandrine. To dość karkołomny sposób na mordowanie kogoś od tyłu. Dlaczego nie wbił jej noża w plecy lub nie podciął jej gardła?

Nie podobało mi się, do czego zmierzał nadinspektor, i wołałam, żeby szybko odkrył karty.

- Sugeruje pan, że to pan Monk ją zamordował? - zapytałam.

- Nie można było wyjść z sali ani do niej wejść, nie będąc zauważonym. W środku panowały nieprzeniknione ciemności. W jaki sposób zabójca wszedł, odnalazł ofiarę i uciekł? Zaniedbałbym obowiązki, gdybym nie wziął pod uwagę najbardziej oczywistego wytłumaczenia sprawy.

- Że pan Monk zamordował jakąś obcą kobietę siedzącą obok niego? To niedorzeczne. Dlaczego miałby coś takiego zrobić?

Le Roux wzruszył ramionami.

- Być może ma patologiczną potrzebę zwracania na siebie uwagi, co osiąga tylko wtedy, gdy rozwiązuje zagadkę morderstwa.

Spojrzałam na Monka, spodziewając się obrony, ale Monk był zajęty oglądaniem stołów, zagładaniem pod nie i przypatrywaniem się wszystkim rzeczom i ludziom. Sama musiałam go bronić.

- Pan Monk to doświadczony detektyw do spraw

zabójstw, być może najlepszy na świecie. Gdyby chciał kogoś zabić, dokonałby tego w sposób tak błyskotliwy, tak genialnie przebiegły, że nawet nie przyszło-by panu do głowy, że mógłby być wplątany w zbrodnię, jeżeli w ogóle byłby pan w stanie stwierdzić, że doszło do morderstwa.

- Aha! - powiedział Gadois. - To właśnie czyni to morderstwo tak diabelsko genialnym.

- To zupełnie bez sensu — westchnęłam.

Zauważyłam, że goście nie są już tacy wylek-

nieni i pełni napięcia. Niektórzy nawet wrócili do przystawek. Zupełnie jakby oglądali przedstawienie kabaretowe, a nie znajdowali się na miejscu zbrodni.

- To takie proste, że aż skomplikowane - orzekł inspektor Gadois. - Nikt nigdy nie pomyślałby, że pan Monk robi coś tak zwykłego jak wbicie noża w pierś siedzącej obok osoby. Założę się, że na nożu jest mnóstwo jego odcisków palców, żeby wywieść nas w pole.

- Przyznam, że nie rozumiem pańskiego toku rozumowania - powiedziałam.

- Psychologia odwrotna. Tylko imbecyl zamordowałby siedzącą obok kobietę własnym nożem i zostawił na narzędziu zbrodni własne odciski palców, co oczywiście oczyszcza z podejrzeń tak genialnego detektywa, jakim jest monsieur Monk.

Gadois uśmiechnął się bardzo zadowolony z siebie. Le Roux przytakiwał w zamyśleniu.

- Przekonałeś mnie, Gadois - powiedział. Gadois wypiął dumnie pierś.

- Przekonałem pana, sir?

- Przekonałeś, że monsieur Monk tego nie zrobił - dokończył nadinspektor.

- Łapie się pan na jego diabelską intrygę - powiedział Gadois.

- Być może — stwierdził Le Roux. - Weź kluczyk do szafki ofiary i sprawdź, co miała w torebce. Może czegoś się o niej dowiemy.

Gadois skinął głową i wyszedł z sali.

Raptem Monk przenikliwie pisnął i cofnął się przed czymś gwałtownie, wyciągając ręce, jakby chciał utrzymać tłum z dala od siebie.

- Wszyscy cofnąć się — nakazał.

Nikogo wokół niego nie było, ale nie widziałam sensu, żeby mu o tym przypominać.

- Co się stało? - zapytałam, gdy z Le Roux doskoczyliśmy do Monka.

- Końskie łajno.

Spojrzałam na wyłożoną czarnym dywanem podłogę, ale nic nie zauważyłam. Najwyraźniej Le Roux również nie, bo sięgnął do kieszeni, wyjął małą latarkę i wycelował w podłogę.

Przykucnęliśmy oboje i dopiero w świetle latarki spostrzegłam małą, brązową plamkę.

- Skąd pan wie, że to końskie odchody? - zapytał Le Roux.

- Czy to nie oczywiste?

- Dla mnie nie - powiedział nadinspektor, wyłączając latarkę. - Sugeruje pan, że zabójca wjechał tutaj na koniu?

- To dowód rzeczowy - powiedział Monk. - Nie wiem jeszcze, czego dowodzi.

- Oczywiście ma pan słuszość — przyznał Le Roux.

- Zaraz każę zebrać ten ślad i oddać do zbadania w laboratorium.

- Restauracja musi przejść kwarantannę. Trzeba ewakuować okoliczne budynki.

- Z powodu plamki końskich odchodów? - zapytał zdumiony Stephan.

- Jedna plamka plutonu zabiłaby wszystkich na tej sali.

- Ale to nie jest pluton - stwierdził Stephan.

- Bakteria *Escherichia coli* zabija każdego roku więcej osób niż pluton, a podłoga waszej restauracji pokryta jest odchodami. Nic dziwnego, że wolicie nie zapalać światła - podsumował Monk.

Stephan otworzył już usta, żeby zaprotestować, ale Le Roux uciszył go, unosząc rękę i potrząsając głową.

Monk trzymał się z daleka od plamy i uważając na każdy krok, wszedł za tylną kotarę. Ruszyłam za nim, a za mną Le Roux, który dał znak Stephana, aby również za nim poszedł.

Wyszliśmy na oświetlony korytarz prowadzący do wahadłowych drzwi kuchennych. Pod jedną ze ścian stał długi bufet, a na nim, ułożone w komplety, talerze, szklanki, kieliszki, sztucce i serwetki. Obok stołu stał pusty pojemnik na śmieci.

Na korytarzu znajdowały się dwie pary bocznych drzwi. Jedne były uchylone i prowadziły do szatni dla pracowników. Drugie były zamknięte.

Monk podszedł do nich.

- Co jest za tymi drzwiami?

- Magazyn w piwnicy i pomieszczenie na brudne rzeczy do prania.

Monk kiwnął głową, zajrzał do pojemnika na śmieci i poprowadził nas z powrotem do sali.

Tam czekał na nas Gadois, który dłonią w rękawiczce trzymał damską torebkę.

- Wcale nie miała na imię Sandrine - oznajmił inspektor. - Według jej *carte d'indentité* nazywała się Aimée Dupon.



Le Roux westchnął ciężko.

—Mamy więc kobietę zamordowaną w chwili, gdy siedzi obok legendarnego detektywa w zaciemnionej restauracji pełnej ludzi i niewidomych kelnerów. I nie może być mowy, żeby zabójca wszedł na salę i wyszedł, nie będąc zauważonym przez kucharzy w kuchni czy barmana przy wejściu. Wygląda na to, że mamy wyjątkowo złożoną sprawę, monsieur Monk.

—My nic nie mamy — powiedziałam stanowczo do Le Roux. - Wy macie.

—Kobieta zginęła, usiłując mi coś powiedzieć - przekonywał mnie Monk. - Muszę przeprowadzić dochodzenie.

—Nie wie pan, czy zginęła właśnie z tego powodu.

—To nie ma znaczenia. I tak znajdę jej mordercę.

—Nadinspektor Le Roux potrafi samodzielnie poprowadzić takie śledztwo, panie Monk. Nie musi się pan w to mieszać - oświadczyłam twardo.

—Już jestem zamieszany — stwierdził Monk. — Zresztą ty również. Jesteśmy przecież świadkami.

—Nic nie widzieliśmy.

—Ale słyszeliśmy.

—Zgadzam się z wami - wtrącił się do rozmowy Le Roux. - Zgadzam się z mademoiselle Teeger, że potrafimy poprowadzić śledztwo bez niczyjej pomocy, ale zgadzam się również z monsieur Monkiem, że jesteście świadkami przestępstwa. Byliście ostatnimi ludźmi, którzy widzieli ofiarę morderstwa żywą.

—Nie widzieliśmy jej - powiedziałam. - Nawet z nią za wiele nie rozmawialiśmy.

—Proponuję, żebyście poszli gdzieś teraz odpo-

cząć - powiedział Le Roux. - Nie ma powodu, żebyście tu dłużej przebywali. Przed nami bardzo długi wieczór, musimy przesłuchać wszystkich gości i pracowników, a technicy muszą zebrać wszystkie dowody. Jutro rano możecie przyjść do mojego biura złożyć zeznania.

- Nie chcemy wychodzić — zaproponował Monk.

- Owszem, chcemy — powiedziałam, ciągnąc go w stronę kotary.

- Co może być dzisiaj bardziej interesującego od morderstwa? - zapytał Monk.

- Cokolwiek.

- Ale przecież jesteśmy na wakacjach.

- Właśnie - przytaknęłam. - W czasie wakacji nikt nie zajmuje się morderstwami.

- Ja się zajmuję.

Przeszliśmy przez czarne kotary i weszliśmy do baru, gdzie stał umundurowany policjant. Skierowałam się prosto do naszej szafki.

- To niech się pan zajmuje. Beze mnie.

- Może właśnie tak zrobię - powiedział czupur-nie Monk.

Otworzyłam szafkę, wyjęłam swoje rzeczy i wyszłam z restauracji. Zanim doszłam do narożnika bulwaru Saint-Germain, Monk snuł się już obok mnie z posępną miną.

- Nadejdzie dzień, kiedy ta groźba przestanie być skuteczna - oznajmił.

- Mam nadzieję, że się pan nie myli — odparłam.

- Dlaczego?

- Dlatego, że będzie to oznaczało, iż nie potrzebuje już pan asystentki.

- Myślałem, że lubisz u mnie pracować — powiedział Monk.

- Lubię - odrzekłam. - Bardzo lubię.
- Dlaczego więc wyczekujesz dnia, w którym będziesz mogła mnie zostawić?  
Spojrzałam mu w oczy.
- Ponieważ jest pan moim przyjacielem, panie Monk, a dzień, w którym przestanie mnie pan potrzebować, będzie dniem, w którym odzyska pan odznakę policyjną. Wiem, ile to dla pana znaczy, i chcę, żeby był pan szczęśliwym człowiekiem.
- Gdyby była to prawda, pomogłabyś mi prowadzić śledztwo w sprawie tego morderstwa. I tego w katakumbach. I każdego kolejnego, na które natkniemy się jeszcze w czasie naszego pobytu.
- Pan się spodziewa dalszych morderstw? - zapytałam, nie wierząc własnym uszom.
- Mam dobrą passę.
- Niech pan to powie tym martwym biedakom - rzuciłam i ruszyłam do stacji metra.

## Monk spotyka starego przyjaciela

Znalazłam jednak Monkowi miłe zajęcie, które nie wiązało się z morderstwem. Połączyłam go telefonicznie z psychoterapeutą. Godzina w tę czy w tą, to już bez znaczenia, tak czy owa zbliżała się pora sesji z doktorem Krogerem. Zadzwoiłam do psychiatry, wręczyłam telefon Monkowi i wyszłam na spacer.

Miałam dla siebie co najmniej godzinę, ruszyłam więc jedną z ulic odchodzących od placu de l'Étoile przy Łuku Triumfalnym i poszłam do placu de l'Alma nad Sekwaną, a potem wzdłuż *quai* do Grand Palais, którego potężny iluminowany szklany dach lśnił pod nocnym niebem.

Wieczór był przepiękny, ale taki jest każdy wieczór w Paryżu niezależnie od pogody, w każdym razie dla amerykańskiego turysty.

Większe stateczki wycieczkowe, zwane tutaj *bateaux-mouches*, płynęły z turkotem w dół i w górę Sekwany, rzucając światło na mijane mosty i zabytki z zamontowanych na wyższym pokładzie reflektorów.

Cieszyłam się, że chociaż na chwilę udało mi się oderwać od Monka, jego fobii i wiecznie obecnego widma gwałtownej śmierci, które zdawało się nad nim krążyć.

Wiem, że nie powinnam obwiniać Monka za zwłoki, które nieustannie napotykam, ale po prostu nie panowałam już nad sobą. Pragnęłam tylko jednego: odrobiny wakacji, a wyglądało tak, jakby Monk robił wszystko, żeby ich nie miała.

Prawdopodobnie głupotą było myśleć, że wakacje z Monkiem są w ogóle możliwe. Ale czy miałam jakiś wybór? Kiedy poprzednim razem spróbowałam się od niego urwać, pojechał za mną na Hawaje, i wiedziałam, że jeśli znowu będę chciała sama wyjechać, postąpi tak samo.

Ale nie tylko to nie dawało mi spokoju.

Odkąd zaczęłam pracować z Monkiem, niejednego trupa już widziałam na własne oczy, ale jeszcze nigdy do morderstwa nie doszło w tym samym pomieszczeniu, w którym przebywałam. Zabójstwa w samolocie i w Toujours Nuit zdarzyły się tuż obok mnie. Była w tych zbrodniach jakaś przerażająca, pełna grozy i przemocy intymność, która przyprawiała mnie o palpacje serca. Nie chciałam być tak blisko śmierci. Za pchnięcie mnie w taką sytuację obarczałam odpowiedzialnością Monka, bez względu na to czy istotnie był winien czy też nie.

Owszem, mogłabym być bardziej wyrozumiała i reagować bardziej racjonalnie, gdyby tylko morderstwa te denerwowały Monka równie mocno jak mnie lub gdyby choć trochę starał się zrozumieć, co czuję. Ale te zabójstwa właściwie cieszyły Monka - jest w tym coś chorego, prawda? To tylko umacniało mnie w decyzji, aby nie pomagać mu w prowadzeniu tych śledztw. Choćby dlatego, że cała podróż do Paryża poszłaby na marne.

Przynajmniej dla mnie.

Moja paryska wyprawa ani trochę nie wyglądała

tak, jak to sobie wcześniej wyobrażałam. To stało się dla mnie jak najbardziej oczywiste chwilę później, kiedy stanęłam na place de la Concorde i nie miałam zielonego pojęcia, jak się tam znalazłam.

Tak bardzo byłam pogrążona w myślach, że nie zwracałam uwagi, którędy i dokąd idę. Nie potrafię wam powiedzieć, co znajdowało się pomiędzy place de l'Aima, a miejscem, w którym w końcu się zatrzymałam.

Co za strata.

To wina Monka. Znowu.

Kiedy wróciłam do hotelu, Monk właśnie kończył swoją telefoniczną sesję terapeutyczną z doktorem Krogerem. Musiała trwać dłużej niż godzinę, choć nie kontrolowałam upływu czasu. Stwierdziłam, że w świetle tego, co się zdarzyło w Niemczech, doktor Kroger musiał okazać niebywałą wielkoduszność.

Monk siedział na skraju swojego nietkniętego, idealnie zasłanego łóżka i wyciągał do mnie rękę z telefonem.

- Doktor Kroger chciałby z tobą porozmawiać - powiedział.

Wzięłam telefon.

- Dzień dobry, panie doktorze. Jak się pan miewa?

- Z każdym dniem lepiej - odrzekł. - Martwi mnie Adrian.

Gdyby to była prawda, nie czmychnąłby z Europy pierwszym samolotem odlatującym z frankfurckiego lotniska, gdy tylko Adrian rozwikłał zagadkę morderstw w Lohr. Byłam jednak zbyt uprzejma i mia-

łam do niego zbyt dużo szacunku, aby mu to teraz wypominać.

- To pański zawodowy obowiązek.
- Także twój, Natalie. Martwi mnie również, że się z niego nie wywiązujesz.

Wysłałam na korytarz i zamknęłam za sobą drzwi. Nie chciałam, żeby słyszał, jak urywam głowę doktorowi Krogerowi.

- W takim razie niechże pan wskoczy do pierwszego samolotu do Paryża i mnie zastąpi - powiedziałam.

- Manipulowałeś Adrianem, zaciągając go do Paryża, bo wcale nie miał ochoty tam jechać - ciągnął doktor ICroger. - Teraz, kiedy już tam jesteście, szantażujesz go emocjonalnie, zmuszając do bycia kimś, kim nie jest.

To była prawda, ale cóż z tego. Doktor Kroger miał osobisty interes, aby wspierać Monka.

- Jest pan po prostu wciąż zły, że nie powstrzymałam Monka, kiedy wybrał się za panem w podróż do Niemiec. I dlatego, że uderzyłam pana w twarz.

- Przyznaję, że nie byłem tym zachwycony. Ale już o tym zapomniałem.

- Gdyby pan zapomniał, nie byłoby tej rozmowy.
- Adrian jest bardzo przygnębiony, Natalie. Ja tylko reaguję na to, co od niego usłyszałem.

- A co panu powiedział?

- Że wpadł na trop jednego morderstwa i był świadkiem drugiego, a ty nie chcesz pomóc przy dochodzeniach. Wiesz dobrze, że Monk nie może tego zrobić bez ciebie, zwłaszcza tak daleko od domu.

W porządku, to też prawda. Ale miałam coś na własne usprawiedliwienie.

- Jesteśmy na wakacjach.
- W moich ustach zabrzmiało to jak dziecinne magajstwo.
- Chciałabyś być na wakacjach. Ale tak nie jest.
- Tylko dlatego, że Monk nie potrafi wziąć tygodnia urlopu i zapomnieć o śledztwach.
- Nie potrafi.
- Mógłby spróbować.
- Równie dobrze mógłabyś go poprosić, żeby nie oddychał. Adrian jest detektywem. Nie potrafi być nikim innym. Definiuje w ten sposób siebie i komunikuje się w ten sposób ze światem. Tym jest. Nie możesz wymagać, żeby się po prostu wyłączył.
- Jest również obsesyjno-kompulsywny, ale pan uważa, że może się zmienić.
- Nie. Nie uważam tak. Taki już zostanie. Pomagam mu tylko uczyć się, jak zapanować nad fobiami, lękami i zachowaniami kompulsywnymi, aby *móc samodzielnie funkcjonować*.
- Może Monk powinien się również nauczyć, jak zapanować nad potrzebą prowadzenia śledztwa?
- Po co? Żebyś mogła mieć wakacje?
- Tak. Widzi pan w tym coś złego?
- Ty sama doprowadziłaś do tej sytuacji, Natalie, kiedy dosłownie zmusiłaś go do wyjazdu do Paryża. Nie możesz winić go za to, że jest dokładnie taką samą osobą, jaką jest zawsze. Ponosisz konsekwencje własnych decyzji, a on razem z tobą. Musisz znaleźć kompromis, bo w przeciwnym razie oboje będziecie nieszczęśliwi.
- Pana to bawi — powiedziałam i rozłączyłam rozmowę.



Siedziba Brigade Criminelle, wydziału Police Judiciare, mieściła się w ogromnym budynku Préfecture de Police, który stał naprzeciwko placu przed katedrą Notre-Dame na île de la Cité.

W każdym z czterech narożników imponującej dziewiętnastowiecznej budowli wznosiła się wieża; każda otoczona była czterema parami kamiennych centurionów w hełmach, bez twarzy, i gargulcami, które nie ugną się pod wzrokiem groźnych, skrzydlatych bestii usadowionych na gzymsach Notre-Dame.

Ta komenda w niczym nie przypominała komend, które wcześniej widziałam. Nawet Monk zdawał się pozostawać pod jej wrażeniem, gdy zbliżaliśmy się do budynku, i skłonił przed nią w milczeniu głowę.

Jednak po wejściu do gmachu cała dostojność rozwiała się w jednej chwili. Wnętrze przypominało każdy inny urząd państwowy. Niebieskoszare biurka, jarzeniówki pod sufitem i białe ściany, odrapane i wyblakłe od słońca, tak zestarzałe, że przypominały pożółkłe kartki starej książki.

Postanowiłam sobie, że jeśli Le Roux będzie chciał, żeby Monk pomógł mu w dochodzeniu, to będzie musiał wyznaczyć jakiegoś detektywa na osobistego asystenta Monka, ponieważ ja byłam na wakacjach. Jednak w każdej chwili będą mogli do mnie zadzwonić, jeśli będą potrzebować rady, jak postępować z monkowością Monka.

Uznałam, że to uczciwy kompromis. Nie miałam pojęcia, co o tym sądzi Monk, bo jeszcze z nim o tym nie rozmawiałam. Na razie czekałam, czy Le Roux przyjmie propozycję pomocy w śledztwie ze strony Monka.

Przy wejściu otrzymaliśmy identyfikatory dla

gości i któryś z policjantów odprowadził nas do gabinetu nadinspektora Le Roux, boksu o szklanych ścianach w narożniku dużego pokoju detektywów, w którym kłębiło się od różnych osób rozmawiających przez telefon czy piszących coś na komputerach.

Również to wnętrze niewiele się różniło od pokoju detektywów na komendzie policji w San Francisco - a podobieństwo to podkreślił zupełnie nieoczekiwany widok kapitana Lelanda Stottlemeyera, który stał z nadinspektorem Le Roux przy ekspresie i nalewał z dzbanka kawę do dwóch kubków.

Stottlemeyer miał na sobie wygniecione ubranie, a jego przeredzone włosy sterczały na wszystkie strony. Najwyraźniej spał w ubraniu i nie miał jeszcze okazji się przebrać. Zresztą Le Roux nie wyglądał lepiej. Ubrany był w te same rzeczy, które widziałam na nim wczoraj.

- *Bienvenue à Paris*, kapitanie - powitałam Stottlemeyera.

Odwrócił się i spojrzał na nas przekrwionymi oczyma, pod którymi widniały sine kręgi. Był nieogolony, a jego wąsiska wydawały się jeszcze bardziej sumiaste niż zwykle.

- *Bonjour*, Natalie - powiedział zmęczonym głosem. - Witaj, Monk.

Tak szczęśliwego uśmiechu na twarzy Monka nie widziałam od czasu, kiedy Lysol wypuścił na rynek aerozol kieszonkowy ze środkiem dezynfekującym. Le Roux machnięciem ręki odesłał naszą eskortę.

- Co za cudowna niespodzianka - powiedział uradowany Monk. - Co tu robisz?

- Szkoda, że nie mogę powiedzieć, że przyje-

chałem na wakacje - mruknął kapitan i wrzucił do kawy parę kostek cukru.

- Szkoda, że ja też nie mogę tego powiedzieć - mruknęłam.

Nie wiedziałam, skąd tu się znalazł Stottle-meyer, ale wiedziałam już, że mogę podpisać kapitulację. Wszelka nadzieja na wakacje prysła jak bańka mydlana.

- Jestem tu z powodu ciebie i czaszki, którą znalazłeś - wyjaśnił kapitan. - Przylecieliśmy godzinę temu nocnym lotem, a z lotniska przyjechaliśmy taksówką prosto tutaj.

- My? - zapytałam.

Stottlemeyer pociągnął kolejny łyk kawy i skinął głową w kierunku gabinetu Le Roux. Zajrzeliśmy z Monkkiem do środka i zobaczyliśmy porucznika Dishera, rozciągniętego na niedużej winylowej kanapie i chrapiącego niemiłosiernie.

- Dlaczego interesuje was czaszka, którą pan Monk znalazł w katakumbach w Paryżu?

- Wyjaśnienie jest proste - odpowiedział Le Roux. — W międzynarodowej bazie danych rutynowo sprawdzono uzębienie ofiary i szybko ją zidentyfikowano. Nasz denat to Nathan Chalmers, Amerykanin z San Francisco.

- Przyjechaliście uczestniczyć w śledztwie? - zapytał Monk Stottlemeyera.

- Mniej więcej.

- Będzie jak w domu - ucieszył się Monk i zaczął ustawiać kubki na stole według rozmiaru.

- To pana pierwsza podróż do Paryża, kapitanie? - zapytał Le Roux.

- To moja pierwsza podróż poza granice Stanów Zjednoczonych Ameryki Północnej - przyznał

Stottlemeyer. - Amerykańscy policjanci nie mają dodatkowego dochodu, którym mogliby sobie do woli dysponować, zwłaszcza gdy są rozwiedzeni, płacą alimenty i utrzymują dziecko.

- Tutaj pensje nie są wcale lepsze - powiedział żałośliwym tonem Le Roux. - Z wielkim trudem utrzymuję żonę i kochankę.

Stottlemeyer uniósł wysoko brwi.

- Kochankę?

- Oczywiście! Monogamia to monotonia, panie kapitanie, a my, Francuzi, uważamy, że monotonii należy za wszelką cenę unikać.

Stottlemeyer się uśmiechnął.

- Przyjaciele mówią do mnie Leland. Nie musimy być tacy oficjalni.

- Obawiam się, że jednak musimy - odparł Le Roux. — My tu nie jesteśmy tacy bezpośredni. Dopóki pan u nas pracuje, muszę być pewien, że traktuje się tu pana z należnym szacunkiem. Swoim podwładnym muszę służyć przykładem.

Wciąż jednak nie rozumiałam, dlaczego Stottlemeyer i Disher musieli tu osobiście przyjeżdżać.

- Czy to standardowa procedura policji w amerykańskich miastach, że za każdym razem, gdy w Europie ginie obywatel Stanów Zjednoczonych, przysyła tu swoich detektywów?

- Nie - odparł Stottlemeyer.

- W takim razie Nathan Chalmers musiał być grubą rybą poszukiwaną przez policję?

- Nie był poszukiwany — odpowiedział Stottlemeyer. - Był martwy.

- To już wiemy - wtrącił Monk, który pracowicie układał kostki cukru w duży sześcian na środku cukiernicy.

- Wiedzieliśmy to już dziesięć lat temu - powiedział Stottlemeyer.

- Raczej zakładaliście?

- Nie. Wiedzieliśmy. Nathan Chalmers rzucił się do rozdrabniacza gałęzi w parku Golden Gâte - wyjaśnił kapitan. - Zostało z niego tylko tyle, żeby potwierdzić tożsamość.

- Ale człowiek, którego czaszkę znalazłem w katakumbach, zginął w ciągu ostatnich kilku miesięcy - powiedział Monk. - To nie może być ta sama osoba.

- Odciski dentystyczne pasują do siebie idealnie — wtrącił Le Roux. - Nie ma cienia wątpliwości, że czaszka, którą pan znalazł, należy do Nathana Chalmersa.

- To niemożliwe — stwierdził Monk, kończąc swój sześcian z kostek cukru.

Kapitan Stottlemeyer wziął z wierzchu sześcianu jedną z kostek i wrzucił ją sobie do kawy.

- Teraz już wiesz, dlaczego tu jestem - stwierdził.

## Monk włącza się do śledztwa

- Dlaczego Chalmers rzucił się do rozdrabniacza? - zapytał Le Roux

— Czekał go proces za wyłudzenie od wielu za-  
możnych ludzi dwudziestu milionów dolarów - odrzekł  
Stottlemeyer.

Kapitan wyjaśnił dalej, że Nathan Chalmers był  
człowiekiem wykształconym i obdarzonym charyzmą,  
nienagannie się ubierał i roztaczał wokół siebie aurę  
bogactwa i sukcesu, choć w istocie rzeczy wszystko to  
było tylko blagą.

Mimo to Chalmers zdołał nakłonić wielu bogatych i  
wpływowym ludzi, zwłaszcza kobiet, aby  
zainwestowali w jego fabrykę konfekcji w Indiach,  
gdzie po obniżonych cenach produkował bieliznę i T-  
shirty dla wielu znanych marek.

Stottlemeyer powiedział też, że Chalmers szczerze  
wspierał niejednego kandydata w kampaniach  
wyborczych do senatu lub na fotel gubernatora, a także  
wspomagał finansowo akcje dobroczynne i lokalne  
referenda. Dzięki tej działalności w gazetach nieraz  
pojawiało się jego zdjęcie, obejmującego ramieniem  
polityków lub gwiazdy filmowe, co podnosiło prestiż  
jego osoby, uwiarygadniało jego działania i  
przyciągnęło do niego kolejnych inwestorów.

Pieniężmi uzyskanymi od nowych spłacał dłu-

gi starym inwestorom, którzy nie mogli wyjść z zachwytu nad swoim sukcesem, nadal budowali fortunę i wiarygodność Nathana Chalmersa i nadal przyciągali do niego zamożnych biznesmenów.

Tymczasem w Indiach nie było żadnej fabryki konfekcji. Więcej, Chalmers w ogóle nie prowadził żadnej działalności gospodarczej, miał za to dziesiątki fikcyjnych firm w Stanach i za granicą.

Wszystkie pozyskane pieniądze wydawał na utrzymywanie swojego coraz wyższego poziomu życia. Inwestorzy byli jedynym jego źródłem dochodu, a ponieważ miał ich coraz więcej, nie był w stanie wypłacić im wszystkim zysku. Była to klasyczna piramida finansowa i musiała w pewnym momencie runąć.

Zanim to jednak nastąpiło, burmistrz San Francisco, gubernator Kalifornii, jeden z amerykańskich senatorów, a także grupa hollywoodzkich producentów, aktorów i szefów wytwórni uważali Nathana Chalmersa za jednego z najbliższych przyjaciół i najwyższej klasy specjalistę od pozyskiwania funduszy na ich własne polityczne i towarzyskie cele.

Było pewne, że proces karny Nathana Chalmersa dla wielu osób okaże się druzgocący pod względem politycznym i wstydlivy pod względem towarzyskim.

- Wyświadczył wszystkim przysługę, skacząc do rozdrabniacza - stwierdził kapitan. - Zostały po nim kawałki włoskiego garnituru szytego na miarę, krwawa papka, palec i ząb.

- Górna dwójka z lewej strony - stwierdził Monk, znowu zajęty przestawianiem kostek cukru.

- Zgadza się - powiedział Stottlemeyer. - Skąd wiesz?

- Jedyne zęby, którego brakowało w czaszce.
- Chalmersa udało nam się zidentyfikować właśnie po tym zębie, a także po odcisku zdjętym ze znalezionej palca. Sprawę zamknięto.
- Chalmers sfingował samobójstwo - oświadczył Monk. - Odciął sobie palec, wyrwał ząb, a do rozdrabniacza wepchnął bezdomnego włóczęgę, dlatego w czasie jego rzekomej śmierci nie zgłoszono zaginięcia żadnej osoby.
- Na to teraz wygląda - przyznał Stottlemeyer.
- Zrobił to, żeby uciec z pieniędzmi? - zapytał Le Roux.
- Nie. Przed aresztowaniem wszystkie je przepuścił. W ten sposób wpadł w nasze ręce. Ale czekała go długa odsiadka. Oszukał mnóstwo wpływowych ludzi, których utracone pieniądze nie obchodziły tak bardzo jak wstyd, jakim się okryli przez Chalmersa. Zamierzali zrobić wszystko, by słono im za to zapłacił.
- Więc uciekł do Paryża, gdzie udawało mu się ukrywać przed organami ścigania, dopóki monsieur Monk nie znalazł jego czaszki - ciągnął Le Roux.
- Może nie nadążam za całym tokiem myślenia - wtrąciłam. - Wiem, że trzeba schwytać i ukarać mordercę za zbrodnię, którą popełnił, ale co to ma za znaczenie dla policji w San Francisco?
- Nic by to nas nie obchodziło, gdyby ktoś z policji nie puścił przecieku do „San Francisco Chronicle”, że Nathan Chalmers żyje - wyjaśnił Stottlemeyer. - Dzisiaj na stronie tytułowej miał się ukazać na ten temat artykuł. Komendant policji musiał jakoś zamortyzować wpadkę, więc wysłał mnie z Randym do Paryża, żebyśmy pomogli Monkowi w śledztwie.



— Pan Monk nie prowadzi żadnego śledztwa - stwierdziłam.

Kapitan skrzywił się, jakby rozgryzł coś wyjątkowo niesmacznego.

—Nie tak komendant przedstawił sytuację na konferencji prasowej. Powiedział, że policja w San Francisco zawsze podejrzewała, iż Chalmers żyje i sprawa nigdy oficjalnie nie została zamknięta, dlatego kiedy na światło dzienne wyszły jakieś nowe poszlaki, wysłał Monka do Paryża, aby ten podjął śledztwo. Dzięki temu doszło do znalezienia czaszki.

—To kłamstwo — stwierdziłam krótko.

—To polityka - odparł Le Roux. - We Francji świetnie to rozumiemy.

—Komendant nie chce, żeby ludzie myśleli, że dziesięć lat temu spartaczyliśmy dochodzenie - tłumaczył Stottlemeyer. - Teraz wszystko wygląda tak, jakbyśmy nie dali się zwieść przestępcy i nigdy nie zaprzestali pościgu.

—Zatem wreszcie włączam się do śledztwa - powiedział Monk i zerknął w moją stronę, czekając na reakcję.

Pogodziłam się już z myślą że z wakacji nici i wracamy z Monkiem do pracy, ale nie byłam jeszcze gotowa, aby wyznać to otwarcie przed kapitanem Stottlemeyerem.

—Jeśli komendant chce uczynić z fikcji rzeczywistość, to policja musi pokryć poniesione przez nas koszty przelotu do Europy i z powrotem, koszty noclegów oraz pozostałych wydatków, a także wypłacić panu Monkowi normalne honorarium za okres liczony od dnia wylotu z San Francisco.

—Załatwione — stwierdził Stottlemeyer.

Kapitan odpowiedział tak szybko i bez wahania, że zaczęłam się zastanawiać, czy nie wynegocjowałam zbyt mało. Cóż, w końcu komendant nie miał wyboru i musiał się zgodzić na wszystko. Z drugiej strony Stottlemeyer dobrze wiedział, że Monk gotów byłby prowadzić śledztwo za darmo.

- Gratuluję, panie Monk — powiedziałam. - Koniec wakacji.

- Dzięki Bogu - westchnął Monk. - Nie wiem, jak długo bym jeszcze wytrzymał.

Kapitan Stottlemeyer odwrócił się do Le Roux.

- Co udało się wam dotychczas ustalić?

- Poza tożsamością ofiary nic — odpowiedział Le Roux. — Jednak patrząc z innej strony, niewykluczone, że zrobiliśmy krok naprzód, jeśli tylko prawdziwa jest teoria monsieur Monka na temat wczorajszego morderstwa.

- Jakiego morderstwa? - zainteresował się Stottlemeyer.

- W restauracji, gdzie wieczorem jedliśmy obiad - wyjaśniłam. - Kobieta siedząca przy stole obok pana Monka została zamordowana ciosem noża w pierś.

- Widzieliście to na własne oczy?

- Na szczęście nie - odparłam. - Sala była pogrążona w ciemnościach, a gości obsługiwali niewidomi kelnerzy. Atrakcją lokalu jest to, że nie widać, co się je.

- Ani kto zostaje zamordowany przy twoim stole - dodał Le Roux.

- Ani końskich odchodów na podłodze — uzupełnił Monk.

- To była plamka ledwie widoczna gołym okiem - powiedziałam. - Zresztą to mogło być cokolwiek.

- Pan Monk miał jednak rację. Wyniki badań laboratoryjnych potwierdziły, że były to końskie odchody - powiedział Le Roux. - W badanej próbce stwierdzono szczególnie duże ilości amoniaku, azotu i fosfatów, większe niż w przeciętnych odchodach. Na podłodze znaleziono więcej takich śladów.

- Po raz ostatni jadłem w restauracji, w której nie można zobaczyć swojego posiłku - zarzekł się Monk. - Ani podłogi.

Stottlemeyer potarł skronie.

- Co to wszystko może mieć wspólnego z Na-thanem Chalmersem?

- Ta kobieta chciała mi przekazać jakąś wiadomość o czasie - wyjaśnił Monk. - Powiedziała do mnie: „Wiem, kogo pan znalazł”.

- Skąd wiedziała, kim jesteś i że masz coś wspólnego z odnalezieniem czaszki? - pytał dalej kapitan.

- Kiedy pan Monk znalazł czaszkę, w katakumbach znajdowało się wielu turystów z aparatami - wyjaśniłam. - Następnego dnia rano w prawie wszystkich gazetach znalazły się zdjęcia pana Monka trzymającego przed sobą czaszkę.

- Jak miło, że ostrzegli zabójcę - sarknął Stottlemeyer. - Ma teraz czas, aby usunąć wszystkie niedociągnięcia.

- Całą noc przesłuchiwaaliśmy gości i personel restauracji, na wypadek gdyby wśród nich znalazł się morderca czy współsprawca. Jednak dopiero zaczynamy ten aspekt śledztwa. Ciekawszego odkrycia dokonaliśmy gdzie indziej - powiedział Le Roux.

Nadinspektor dał nam znak, abyśmy poszli za nim, i poprowadził nas korytarzem do ciasnego pokoiku bez okien, gdzie zastaliśmy wycieńczonego inspektora Gadois, siedzącego wśród kilkunastu

monitorów komputerowych, na których widać było obraz z kamer na różnych ulicach.

Pokój był taki mały, że musieliśmy zostawić drzwi otwarte, aby wszyscy mogli się pomieścić. Potrzebne nam było również powietrze. W pokoiku pachniało jak u sportowca pod pachami. Monk zatkał sobie nos.

Le Roux przedstawił nas i poinformował inspektora Gadois, że Stottlemeyer, Monk i ja uczestniczymy od dzisiaj w dochodzeniu.

- Bomba. - Gadois potrząsnął ręką Stottlemeyer a.
- Co to jest? - zapytał kapitan, wskazując ekrany.
- Obraz na żywo z kamer przemysłowych miasta i drogowki - wyjaśnił.

- Założyliśmy, że mademoiselle Teeger i monsieur Monk przyjechali do restauracji metrem - mówił Le Roux. — Ściągnęliśmy ze stacji zapis kamer przemysłowych z godziny ich przyjazdu. Zobaczcie, co znaleźliśmy.

Gadois kliknął myszką kilka razy i jeden z ekranów podzielił się na cztery części. Każda z nich z innego kąta pokazywała tory i peron, na który wjeżdżał właśnie nasz pociąg. Z wagonów wylały się strumienie ludzi, wśród nich także Monk i ja. Nasze twarze nie były jedynymi, które udało mi się rozpoznać w tłumie. Parę kroków za nami szła kobieta, którą zamordowano krótko potem w restauracji.

Le Roux stuknął palcem w monitor i spojrzał na Stottlemeyera.

- Aimée Dupon. Ofiara - poinformował.
- To, że wyszła z nami z pociągu na tej samej stacji, niekoniecznie musi znaczyć, że nas śledziła

- powiedziałam. - Mógł to być czysty zbieg okoliczności.

- Oczywiście - przyznał Le Roux. - Powiedziała mi pani, że zwiedzabście wczoraj Montmartre i spacerowaliście po rue Saint-Honoré. Sprawdziliśmy więc nagrania z tamtych kamer.

Gadois kliknął znowu myszką i tym razem zobaczyliśmy ekran podzielony na dwie części, pokazujący dwa inne miejsca. Na jednej części widać było taras przed bazyliką Sacré-Coeur na wzgórzu Montmartre, a na drugiej, z wysokiej perspektywy, rząd luksusowych witryn sklepowych wzdłuż rue Saint-Honoré.

Na jednym i drugim ujęciu widać było, jak przechodzimy z Monkiem przed obiektywem kamery, a parę krótkich chwil potem przeszła za nami Aimée Dupon.

- Chodziła za nami przez cały dzień - zawyro kował Monk.

Le Roux przytaknął.

- Prawdopodobnie czekała na was przed hotelem, chodziła za wami i czekała na dogodny moment, aby się zbliżyć, a jednocześnie pozostać nierozpoznaną.

- Gdy zobaczyła, jak wchodzimy do Toujours Nuit, pomyślała pewnie, że to zbyt piękne, aby było prawdziwe - stwierdziłam.

- Zabójca na pewno pomyślał to samo - dodał Stottlemeyer. - Zauważyliście jakieś inne znajome twarze?

Gadois pokręcił głową.

- Monsieur Monk, mademoiselle Teeger i Aimée Dupon to jedyne osoby, które w tym samym czasie pokazały się przed kamerami we wszystkich trzech

miejscach, w każdym razie tyle mogliśmy zauważyć na nagraniach.

- Zabójca musiał jednak iść za nami lub za Aimée Dupon - stwierdził Monk. - W przeciwnym razie skąd by wiedział, że wszyscy troje jesteśmy w tym samym czasie w restauracji?

- Może wiedział, że zarezerwowaliśmy stół, i założył, że Dupon właśnie tam postara się z nami skontaktować - wyraziłam swoją opinię.

- Ale w jaki sposób wszedł do restauracji i wyszedł z niej niezauważony? - pytał Le Roux, gładząc machinalnie swoją kocią brodkę. - I jak znalazł drogę w zatłoczonej sali i zupełnej ciemności?

- To zdecydowanie sprawa dla Monka — stwierdził Stottlemeyer. - Co wiemy o Aimée Dupon?

- W przeszłości była zatrzymywana kilkakrotnie za drobne wykroczenia przeciwko porządkowi publicznemu — mówił nadinspektor Le Roux. — Większość incydentów wiązała się z nielegalnym przemieszczaniem w pustostanach bez zgody właścicieli nieruchomości.

- Była sąwaterką. W San Francisco mieliśmy takich bez liku, zanim zaczęto rewitalizować dzielnice. Udało się ustalić jej ostatni adres? - zapytał Stottlemeyer

- Tak, ale nie mieliśmy jeszcze czasu pójść tym tropem - odrzekł Le Roux. — To, co udało się dotychczas zebrać, zajęło nam całą noc. Przesłuchując wszystkich w restauracji, ledwie ruszyliśmy z miejsca.

- Jeśli nie ma pan nic przeciwko temu, sprawdzilibyśmy z Monkiem mieszkanie Aimée Dupon - zaproponował Stottlemeyer. - Porucznik Randy Di-sher zostanie i pomoże pana ludziom.

- Disher? - odezwał się nagle Gadois, obracając się do nas na krześle. - Ten Randy Disher? Jest w Paryżu?

- Owszem, śpi jak suseł na kanapie w gabinecie nadinspektora - stwierdził kapitan. - Zna go pan?

- Jak brata, którego nigdy nie było mi dane widzieć.

- Gadois wstał i uważnie się przyjrzał Stottlemeyerowi, jakby dopiero teraz go zobaczył. -Więc to pan jest... tym kapitanem. Powinienem się był od razu domyślić po tych wąsiskach.

- *Qu'est-ce que vous racontez?* - zapytał gniewnym głosem Le Roux.

- *Il est légendaire.* - Gadois przepchnął się między nami i wybiegł z pokoju.

Randy Disher legendą? Gadois musiał być w błędzie. Chyba nie mówił o tym samym Randym Di-sherze, którego my znamy.

- Przepraszam, kapitanie - powiedział nadinspektor Le Roux. - Nie mam pojęcia, skąd to zachowanie. Chyba z niewyspania.

- Nie ma powodu do przeprosin. Wykonaliście tu kawał dobrej roboty. Gdy tylko pańscy ludzie odpoczną może pan im zlecić przejrzanie większych nierozwikłanych jeszcze oszustw finansowych, które macie w swoich aktach. Nathan Chalmers tylko w jeden sposób umiał zarabiać na życie, wyłudzając pieniądze od innych ludzi. Nie sądzę, aby po przyjeździe do Francji zmienił sposób działania.

- Dobry pomysł, kapitanie - przyznał Le Roux. -A co z panem? Nie chce się pan przespać po długiej podróży?

- Postaram się zostać na nogach do zmroku. Słyszałem, że to najlepszy sposób na pokonanie zmęczenia po locie i różnicy czasu.

Poszliśmy za nadinspektorem z powrotem do pokoju detektywów, jednak zanim tam dotarliśmy, naszych uszu dobiegły stamtąd dźwięki gitary i jakiejś znajomej melodii.

- Do diabła... -jęknął Stottlemeyer, krzywiąc twarz.

Gadois siedział na brzegu biurka nadinspektora Le Roux, szarpiać zadzierzyscie struny gitary i śpiewając wspólnie z Disherem, który stał na kanapie i z przejęciem wybijał w powietrzu rytmy na wymyślonej gitarze.

Śpiewali piosenkę Dishera pod tytułem *Niepotrzebna mi odznaka*, jedyny utwór, jaki udało się nagrać garażowej kapeli Randy Disher Project.

Weszliśmy akurat w chwili, gdy śpiewali refren:

*Niepotrzebna spluwa mi, żebym poczuł silny się.  
Niepotrzebny mi kapitan, grzmiący na mnie  
cały dzień. Niepotrzebne mi wąsiska i protekcyjnalny  
ton. Nikt już nie jest mi potrzebny, wolny jestem,  
ot i co...*

Gadois znał muzykę i tekst na pamięć (tyle że śpiewał „niepotrzebna kozia bródka zamiast „niepotrzebne mi wąsiska”), co wprawilo mnie w nieopisane zdumienie, zważywszy na to, że Randy rozprawdzał piosenkę na płycie kompaktowej, którą sam kopiował na swoim komputerze i sam ręcznie opisywał. Jakim cudem płyta trafiła do Francji?

Le Roux spojrzal na nas z bolesnym wyrazem twarzy.

- Sam was zawiozę do mieszkania ofiary.
- Będę zobowiązany - mruknął Stottlemeyer



z nie mniej bolesnym wyrazem twarzy. - Może już pojedziemy, co?

- Oczywiście - powiedział Le Roux i szybkim krokiem skierował się do schodów.

Miałam wrażenie, że obu było niezwykle spieszno, by wyjść z budynku.

- Nie wiem, w czym widzą problem - zdziwił się Monk. - Moim zdaniem melodia wpada w ucho.

- To mówi człowiek, który za najlepszą piosenkę, jaką kiedykolwiek napisano, uważa *Sto butelek piwa na ścianie?*

- Jest na drugim miejscu po *Drodze sześćdziesiąt sześć* — powiedział Monk. — Ale piosenka *Osiemset sześćdziesiąt siedem, pięćdziesiąt trzy, zero dziewięć* też mi się podoba.

- Nie dlatego, że piosenka jest dobra, ale dlatego, że cyfry w tytule sumują się w liczbę trzydzieści osiem?

- Właśnie dlatego *jest to dobra piosenka* - oświadczył Monk.

## Monk i ohyda

Kiedy Julie była mała, jedynym sposobem na to, żebyśmy nakłonili ją z Mitchem do drzemki, było wsadzenie jej do samochodu i zabranie na małą przejażdżkę. Problem polegał na tym, że budziła się natychmiast, gdy tylko samochód stawał, więc musieliśmy cały czas być w ruchu. Albo krążyliśmy przez parę godzin po San Francisco, albo kończyło się na wycieczce do jakiegoś miasta w okolicy. Dlatego też zawsze, na wypadek gdybyśmy musieli szukać noclegu, woziliśmy ze sobą niedużą torbę z zapasem pieluszek oraz rzeczami na zmianę dla nas trojga.

Przypomniałam sobie o tym, ponieważ nie minęły dwie minuty od chwili, gdy Le Roux ruszył spod komendy policji, a siedzący z przodu Stottlemeyer zasnął jak dziecko, przytuliwszy policzek do bocznej szyby.

W obawie, że możemy go zbudzić, w ogóle się nie odzywaliśmy. W samochodzie rozbrzmiewały jedynie głosy dochodzące z policyjnego radia, ale ponieważ i tak nie znałam za dobrze francuskiego, łatwo zdołałam się wyłączyć. Musiałabym się mocno skoncentrować, żeby z takiego trajkotania wyłowić jakiś sens, a i wtedy nie wiem, czy zrozumiałabym cokolwiek.

Oglądałam miasto za oknem, jakbym jechała au-

tokarem turystycznym. Rozpoznałam parę sławnych miejsc, jak Avenue de l'Opéra czy ekskluzywne centrum handlowe Galeries Lafayette, na krótko mignęła mi jeszcze w oddali bazylika Sacré-Coeur, ale potem straciłam orientację.

W miarę jak zagłębialiśmy się w labirynt wąskich i krętych ulic, domy wokół nas wydawały się coraz bardziej zapuszczone, aż w końcu zatrzymaliśmy się przed dziewiętnastowieczną kamienicą, której całe połacie ścian z odpadającą farbą, przerdzewiałą stalą i podgniłym drewnem pokryte były kolorowym graffiti. Wystawa sklepowa na parterze zabita była deskami, ale nad nią wisiała linka do suszenia bielizny przywiązana do balkonów, a z otwartych okien sączyła się muzyka wraz z wonią gorącego tłuszczu i skwierczącego boczk. Ten zapach nadawał temu miejscu życie.

Gdy tylko samochód się zatrzymał, Stottlemeyer ocknął się ze snu, lekko zaskoczony i zdezorientowany. Zamrugał kilka razy i przeciągnął ręką po rozczochranych włosach. Jego prawy policzek błyszczał czerwonym rumieńcem w miejscu, którym niczym przysawka przylegał do szyby.

- Jesteśmy na miejscu - oznajmił Le Roux.

- Dobrze zrobiła panu drzemka? - zapytałam Stottlemeyera.

- Wcale nie spałem - odpowiedział. - Zamknąłem tylko oczy, żeby odpocząły.

Bawi mnie zawsze, gdy mężczyźni nie chcą się przyznać, że ucinają sobie drzemki. Zupełnie nie rozumiem, w jaki sposób mała sjesta może zagrozić ich męskości. Zapytałam kiedyś o to Mitcha, kiedy zasnął na kanapie podczas oglądania w telewizji meczu footballu amerykańskiego.

- Widziałaś kiedyś, żeby Brudny Harry, James Bond, Superman czy kapitan Kirk ucinali sobie drzemki? - zapytał. - Człowiek czynu nie musi drzemać.

- Większość mężczyzn nie jest herosami.

- Ale wydaje im się, że są- odparł. - Albo że mogą nimi być.

-A ty?

- Jestem pilotem myśliwca - odparł. - Zdecydowanie jestem człowiekiem czynu.

- Udowodnij - powiedziałam, a on udowodnił.

Wysiadłam z samochodu i zobaczyłam, że Monk bacznie mi się przygląda.

- Myślisz o Mitchu? - zapytał. Poczułam, że oblewam się rumieńcem.

- Skąd pan wie?

- Miałaś ten uśmiech na twarzy. Ruszyłam w kierunku budynku.

- Nie ma pan tu czasem czegoś do wydedukowania? — rzuciłam.

- Przecież właśnie coś wydedukowałem — odpowiedział Monk.

Le Roux stanął w wejściu i odwrócił się do nas jak przewodnik wycieczki, który ma zaprezentować grupie interesującą wystawę.

- Przez długie lata budynek był przedmiotem zawilego sporu prawnego. Został sprzedany, a lokatorów wyeksmitowano, aby wnętrza całkowicie opróżnić. Jednak lokatorzy wnieśli sprawę do sądu, a właściciel wpadł w tarapaty finansowe. Bank przejął nieruchomość i sprzedał ją kolejnemu na bywcy, tymczasem poprzedni właściciel wniósł do sądu zastrzeżenia co do legalności transakcji za wartej przez bank. W czasie trwania tych prawnych sporów budynek pozostawał opuszczony i prze-

mieszkiwali tu bezdomni. My ich co jakiś czas wyrzucamy, a oni ciągle wracają.

- Robią coś złego? - zapytałam.

- To własność prywatna - stwierdził Stottle-meyer. - Na pewno zaśmiecają teren.

- Zaśmiecanie to ciężkie przestępstwo - wtrącił Monk.

- Ale właściciel zamierza wypatroszyć budynek, więc co za różnica? - zapytałam.

- Dla zaśmiecania nie ma żadnego usprawiedliwienia. To zbrodnia niewybaczalna - orzekł Monk.

- A jeśli właściciel zmieni zdanie, odstąpi od planów renowacji i będzie chciał wynajmować jakieś lokale? - zapytał Le Roux. - Nie będzie mógł, bo bezdomni niszczą jego własność.

- Bardziej niż gdyby budynek stał pusty i sam niszczał? - zapytałam.

- Poza tym podłączają się do instalacji elektrycznej oraz linii telefonicznej i mają te usługi za darmo - dodał Le Roux. - A to jest już formą złodziejstwa.

- Nie zapominajmy też o zaśmiecaniu - dorzucił Monk.

Nadinspektor Le Roux wprowadził nas do środka. Na parterze powitały nas pełne niechęci spojrzenia pary młodych ludzi schodzących właśnie po schodach.

Nie wyglądali na bezdomnych, pomimo wystrzępionych ubrań i długich włosów. Byli zbyt czysti, zbyt zdrowi i mieli zbyt szczęśliwe twarze. Odniosłam wrażenie, że ta ich lekka abnegacja była bardziej stylem życia niż rezultatem nieszczęśliwych okoliczności. Sprawiali wrażenie dumnych i pewnych siebie.

Le Roux zapytał ich po francusku, czy wiedzą, które mieszkanie zajmuje Aimée Dupon. Zauważyłam, że nie użył słowa „mieszka”. Odmawiał im jakiegokolwiek prawa do przebywania w tym budynku.

Nie unikając rynsztokowego słownictwa, młodzi odpowiedzieli, że nie mają zamiaru pomagać policji w prześladowaniu tej biednej kobiety ani nikogo z mieszkańców tego domu. Wówczas Le Roux prosto z mostu powiedział, że Aimée Dupon została zamordowana. Wiadomość ich poraziła, co prawdopodobnie było intencją nadinspektora. Dziewczyna się rozpląkała. Le Roux dodał, że jeśli jednak chcą pomóc w ukaraniu zbrojcy, to byłoby lepiej, gdyby odpowiedzieli na jego pytanie.

Chłopak szepnął dziewczynie parę słów pocieszenia, a potem objaśnił nadinspektorowi, jak trafić do mieszkania Aimée Dupon. Le Roux podziękował, minął ich i wszedł na schody.

Zanim ruszyliśmy za nim, spojrzałam na Monka i Stottlemeyera.

- Mam wam przetłumaczyć, o czym rozmawiali?

- Myślę, że złapałem istotę rozmowy - odparł Stottlemeyer i ruszył na górę.

Monk wyciągnął do mnie rękę i dał mi szybki znak palcami.

- Chusteczki, chusteczki!

- Czego pan dotknął? — zapytałam, sięgając do torebki i wręczając mu paczkę chusteczek higienicznych.

- Jak na razie jeszcze niczego — odpowiedział. -Ale muszę być przygotowany na najgorsze. Tu mieszkają hippisi.

Kiedy wchodziliśmy na schody, para młodych obrzuciła go niemiłym spojrzeniem.

Mieszkanie Aimée Dupon znajdowało się na trzecim piętrze. Drzwi nie były zamknięte na klucz.

Weszliśmy do długiego, wąskiego korytarza, w którym na jednym końcu znajdowała się sypialnia, a na drugim pokój dzienny. Między nimi było wejście do kuchni, a obok łazienka. Drewniana, biała okładzina, położona na żółtawych ścianach, w wielu miejscach była już wyszczerbiona i odchodziła od ścian. Sufit znaczyły zaschnięte sine zacieki.

Wnętrze było umeblowane skromnie. Nie było dwóch mebli, które pasowałyby do siebie stylem czy kolorem. Nawet kotary nie były do siebie podobne. Patrząc na ten wystrój, można było pomyśleć, że Dupon robiła zakupy wyłącznie w sklepach komisowych i na prywatnych domowych wyprzedażach.

— Nie wiem, na co wydawała zaoszczędzone na czynszu pieniądze, ale na pewno nie na wystrój wnętrza - stwierdził kapitan Stottlemeyer.

Monk zmrugał powieki i wyciągnął przed siebie jedną rękę, jakby zasłaniał oczy przed boleśnie oślepiającym światłem. Drugą ręką odprawiał swoje rytuały: składał kciuk i palec wskazujący w narożnik ramki, przez którą przyglądał się różnym rzeczom.

Chodziliśmy po mieszkaniu, a drewniana podłoga skrzypiała niemiłosiernie pod nogami. Nie bardzo wiedziałam, czego mieliśmy tu szukać, poza jakimś śladem samej Aimée Dupon i odpowiedzi na pytanie, kim była, kim byli jej przyjaciele i kto pragnął jej śmierci.

Weszliśmy do kuchni. W szafkach ściennych nie było drzwiczek, każdy kubek i talerz był z innej parafii. Podobnie kieliszki. Monk przyglądał się jakiejś żywności w puszkach i plastikowych opakowaniach.

- Przeterminowane - stwierdził. - Zabójca za-

oszczędziłby sobie trudu, gdyby po prostu pozwolił jej w spokoju zjeść obiad w domu.

Le Roux otworzył lodówkę zapełnioną mięsem w plastikowych opakowaniach i torebkami z różnych restauracji.

- Mięso też jest przeterminowane - skonstatował Le Roux. - Ale chodziła do drogiej restauracji w siódmej dzielnicy.

- Podejrzewam, że tam właśnie wydawała pieniądze - dodał Stottlemeyer.

- Jeśli miała takie delikatne podniebienie, to dlaczego trzymała w kuchni przeterminowaną żywność? - zapytał Monk.

- Trochę ją rozumiem. Powinniście zobaczyć moją kuchnię - powiedział kapitan. - No nie, może jednak nie powinniście jej oglądać...

Przeszliśmy wolno do sypialni. Łóżko nie było zasłane, co dla Monka było w ogóle nie do pomyslenia. Poduszki zdecydowanie do siebie nie pasowały, podobnie prześcieradło i kołdra.

- Wielki Boże - szepnął Monk. - To barbarzyństwo.

Jej rzeczy leżały wyprasowane i ładnie złożone w otwartym kufrze. Większość pochodziła ze sklepów z używaną odzieżą ale nie było tam nic, czego sama bym nie włożyła.

Na stoliczku nocnym koło łóżka piętrzyła się sterta czasopism. Stottlemeyer wziął kilka z nich do ręki, przejrzał pobieżnie i zmarszczył brwi.

- Wszystkie są prenumerowane, ale na każdym jest inne nazwisko i inny adres - powiedział. - Wszystkie też są stare, sprzed miesiąca albo dwóch.

Le Roux wziął od Stottlemeyera czasopisma i przyjrzał się naklejkom z adresami prenumeratorów.



- Quai Branly, Quai d'Orsay. Siódma dzielnica - stwierdził. - Bardzo elegancka okolica nad Sekwaną.

Tuż nad sześcioro milionami ludzkich szczątków w *les catacombes*, choć sądzę, że mieszkający tam bogacze nazbyt byli oczarowani widokiem Sekwany za oknem, aby myśleć, co się znajduje pod ich nogami.

- A w której dzielnicy my się znajdujemy? - zapytał Stottlemeyer.

- Znacznie biedniejszej, w północno-wschodnim zakątku osiemnastej - wyjaśnił nadinspektor Le Roux.

- Może pracowała u kogoś jako sprzątaczką? - wyraził przypuszczenie Stottlemeyer.

- A sama mieszkałaby w takim bałaganie? - zapytał Monk. — Może wcale jej nie zamordowano? Może sama się zabiła?

- Nie sądzę - odpowiedział Le Roux.

- Ja również nie sądziłem, dopóki nie zobaczyłem, jak mieszka - powiedział Monk. - Gdybym musiał spać w łóżku, w którym kołdra nie pasuje do prześcieradła, także myślałbym o samobójstwie.

Przeszliśmy korytarzem do pokoju dziennego. Stała tam przestarzała wieża stereo, stary telewizor i jakiś sfatygowany komputer. Urządzenia miały pewnie po kilka lat, ale już wyglądały jak eksponaty muzealne.

Na stole kuchennym leżała gazeta i szkło powiększające, a obok niej czerstwy, nadgryziony bochenek chleba. Na tytułowej stronie gazety widniało zdjęcie Monka z czaszką.

Monk przekrzywił głowę, oglądając zdjęcie pod pewnym kątem.

- Podziwiasz samego siebie, Monk? - zapytał Stottlemeyer.

Monk wskazał czaszkę, którą trzymał na zdjęciu.

- U góry z lewej strony widać szczerbę po zębie przedtrzonowym - powiedział. - Myślę, że po tej szczerbie Dupon się zorientowała, że ofiarą jest Nathan Chalmers.

- Ale co ją z nim łączyło? - zastanawiał się głośno kapitan. - Znała go, jeszcze zanim sfingował swoją śmierć? Jeśli nie, to jak go tu poznała i pod jakim nazwiskiem?

Zerknęłam na książki na półkach. Stały tam powieści, albumy malarskie i fotograficzne, a także kilka biografii polityków. Książki były poźółkłe, zniszczone wodą i poplamione kawą. Niektórym brakowało okładek.

- Jak na kogoś, kto zdaje się lubić książki, nie zbyt o nie dbała - orzekłam. - Wyglądają, jakby wyciągnęła je z kanalizacji.

Nagle Monk się wyprostował i poruszył niezgrabnie ramionami. Czegoś się domyślił.

- Na pewno stamtąd je wzięła - powiedział. - Mieszka przecież w kontenerze na śmieci.

- Nie jest aż tak źle, panie Monk.

- Jest. To miejsce nie jest niczym innym jak gigantycznym kontenerem na śmieci - rzekł. - Dlatego żywność jest przeterminowana, urządzenia elektroniczne są przestarzałe i nic do siebie nie pasuje. Wszystko to pozbierała na śmietniskach. Co za ohyda!

- *Bien sûr!* - wykrzyknął Le Roux. - Przecież to oczywiste. Jak mogłem nie dostrzec czegoś, co mam przed samym nosem.

- Dobrze znam to uczucie — mruknął Stottlemeyer.

Konkluzja Monka wyjaśniła wreszcie, dlaczego

wszystko w tym mieszkaniu, od ubrań po meble, wyglądało tak, jakby pochodziło ze sklepów komi-sowych. Oznaczało to jednak, że również żywność w lodówce pochodziła ze śmietników, do których restauracje wyrzucały ją na koniec dnia. Fuj.

- Zajmuje pustostany w osiemnastej dzielnicy, a na jedzenie poluje w śmietnikach siódmej. Wyjątkowo wybredna, jeśli chodzi o śmieci - stwierdził Stottlemeyer.

- To jakiś bezsens - zaoponowałam. - Rzeczy ma wyprane, wyprasowane i równo ułożone w kufrze. Była czytana. Dbała o siebie i dobrze się prezentowała. Idealne włosy, cera i paznokcie. - Spojrzałam na Monka i Le Roux. - Obaj ją widzieliście. Chyba nie przypominała kloszarda, prawda?

- Spójrz, jak mieszkała — powiedział Monk.

- Właśnie o tym mówię - stwierdziłam. - Dlaczego nie szperała po śmietnikach w swojej dzielnicy? Dlaczego była taka wybredna? Znacie chyba stare przysłowie: „Żebrak nie wybiera”.

- Może nie знаła tego przysłowia - zasugerował kapitan Stottlemeyer.

- Może chciała żyć jak najlepiej w swojej nędzy - powiedział Le Roux. - W końcu była Francuzką.

- To nie ma nic wspólnego z nędzą ani byciem Francuzką - skonstatowałam.

- Więc z czym? - zapytał Le Roux.

- Z ohydą - powiedział Monk.

- Nie wiem, z czym - odparłam. - Ale nie była żebraczką. Coś tu przeoczyliśmy.

- Konieczność założenia masek gazowych - rzucił Monk, przyciskając chusteczkę do nosa i ust.

Nadinspektor Le Roux wzruszył ramionami.

- Być może ma pani rację, mademoiselle Tee-

ger. Proponuję, żebyśmy później pojechali do siódmej dzielnicy i sprawdzili, czy nie ma tam włóczęgów, którzy by ją znali.

- Nie możemy tam jechać od razu? - zapytał Stottlemeyer.

- Muszę pilnować tego miejsca, dopóki nie zmieni mnie policjant, który poczeka na techników z medycyny sądowej.

- Po co?

- Nie chcę, żeby squatersi połakomili się na jej rzeczy, zwłaszcza na komputer. Dysk może zawierać pliki, które rzucą trochę światła na to, czym się zajmowała, i na jej relację z monsieur Chalmersem.

- Poczekamy na zewnątrz - zaproponował Monk. - Nie możemy dłużej oddychać śmietnikowym powietrzem.

Nie czekał na nas, tylko od razu rzucił się do wyjścia.

Odwrociłam się i zobaczyłam, że Stottlemeyer na mnie patrzy.

- Coś tu przeoczyliśmy? - zapytał.

- Tak mi się wydaje - odpowiedziałam obronnym tonem.

- Jeszcze parę godzin temu nie chciałaś mieć nic wspólnego z tym śledztwem - zauważył kapitan.

- To prawda, ale zmieniły się okoliczności.

- Czyżby?

- Pan Monk zaangażował się w śledztwo, więc ja również się angażuję — odparłam. - Tak to już jest.

Spojrzał na mnie chłodnym wzrokiem.

- Wiesz, kim zaczynasz być?

- Wrzodziłem na tyłku?

Stottlemeyer minął mnie.

- Niemal przyzwoitym detektywem.

## Monk sprząta

Nie po raz pierwszy kapitan Leland Stottlemeyer odezwał się do mnie w taki sposób. Nie miałam pojęcia, czy miało mi to schlebiać czy nie.

Kiedy zaczęłam pracować jako asystentka Monka, zawsze starałam się jak najmniej zawadzać na miejscu przestępstwa i uczestniczyć w przesłuchaniach tylko na tyle, na ile wymagała tego konieczność.

Z biegiem czasu to się jednak zmieniło.

Nie wiem, czy stało się tak dlatego, że zaczęłam się nudzić lub czuć coraz pewniej w swojej roli, czy też była to naturalna konsekwencja faktu, że widziałam mnóstwo miejsc zbrodni i stale przebywałam z policjantami, technikami, lekarzami medycyny sądowej i mordercami. W końcu sama zaczęłam się wtrącać i zadawać pytania, proszona o opinię czy nie.

Jak przypuszczam, to, że zacznę myśleć jak detektyw, było nieuchronne, choćby po to, żeby być skuteczniejszą i bardziej pomocną asystentką dla Monka.

Poza tym, kiedy już mój szef podejmował śledztwo, naturalna ciekawość brała we mnie górę i nie mogłam się powstrzymać od osobistego zaangażowania. Policja prosiła Monka o konsultacje tyl-

ko wtedy, gdy zagadka morderstwa wydawała się szczególnie zawiła, co także w moich oczach czyniło całą sprawę bardziej interesującą.

To, że myślałam jak detektyw, nie znaczyło rzecz jasna, bym się łudziła, że rzeczywiście jestem detektywem. Albo że chciałabym nim być, bo wcale nie chciałam. Po prostu mogłam teraz robić coś więcej, niż tylko stać z boku, podawać Monkowi chusteczki i przeproszać za jego zachowanie.

Nie byłam jednak pewna, jak na moje zaangażowanie patrzą Stottlemeyer, Disher i inni przedstawiciele organów ścigania, jak choćby nadinspektor Le Roux, zwłaszcza gdy zaczynam zadawać tyle pytań.

Monk to były policjant i genialny detektyw. Zasłużył sobie na szacunek wszystkich, a na miejscu przestępstwa miał silną pozycję. Ale ja? Byłam tylko zwykłym cywilem, który strzepi język.

Niemniej jednak ani kapitan Stottlemeyer, ani porucznik Disher nigdy nie odciągnęli mnie na bok i nie przywoływali do porządku, więc, jak miemam, mogłam w tym widzieć milczące przyzwolenie. Chyba że tylko ze względu na Monka byli uprzejmi.

Samego natomiast Monka, jak sędzę, niewiele obchodziło, co robię. Był zatopiony we własnym świecie i nie zauważał nic, co nie było brudne, nie na miejscu, asymetryczne lub nieparzyste.

A ja taka nie byłam.

Para młodych ludzi, których spotkaliśmy wcześniej na parterze, siedziała teraz na schodach i przyglądała się przez otwarte drzwi, jak Monk higienicznymi chusteczkami myje przednią szybę samochodu nadinspektora Le Roux.

Kapitan Stottlemeyer wyjął z kieszeni płaszcz jakiegoś zdjęcie i pokazał je parze. Na fotografii był przystojny mężczyzna z ładnymi zębami, ładnymi włosami i ładną opalenizną i ani krztyną szczeroci na twarzy. To musiał być Nathan Chalmers. Jak można dać się okpić przez takiego faceta? Cóż, może jednak wpisywałam w tę twarz wszystko, co już wiedziałam o Chalmersie.

- Widzieliście tego człowieka? - zapytał po angielsku Stottlemeyer.

Milczeli.

- *Reconnaissez-vous cet homme...* — zaczęłam, ale kapitan przerwał mi w pół zdania.

- Nie wysilaj się, Natalie. Dobrze rozumiem o co pytam.

- Skąd pan wie?

- Widziałem ich spojrzenia, kiedy Monk wspomniał, że tu mieszkają hippisi - wyjaśnił kapitan. -Bardzo ich to ubodło.

- Nie jesteśmy zwierzętami - powiedział mężczyzna.

- Postanowiliśmy uwolnić się od nałogu konsumpcyjnego życia, które czyni z nas niewolników banków i korporacji. Ale to nie znaczy, że jesteśmy podludźmi. Jesteśmy ludźmi bardziej niż wy.

Stottlemeyer spojrział na mnie przeciągle, a potem przeniósł wzrok z powrotem na parę.

- Dlatego tutaj mieszkacie? Żeby dać nauczkę korporacjom?

- Niech się pan z nas nie naśmiewa - powiedział chłopak. - Pan próbuje tylko ukryć własną zazdrość.

- Uważasz, że chciałbym tak żyć? - Stottlemeyer wskazał ręką na walący się budynek.

- Chciałby pan mieć taką siłę i odwagę, aby być

wolnym jak my - ripostował chłopak. - Nie mamy kart kredytowych, spłat hipotecznych, rat za samochód ani tysiąca innych kajdan zadłużenia, które przykuwają nas do wiecznej służby dla korporacyjnych panów. My nie pijamy skorumpowanego mleka z korporacyjnych wymion.

Cieszyłam się, że Monk tego nie słyszy. Na samo wspomnienie mleka ciarki chodzą mu po plecach. Gdyby dodać do tego obrazek, jak mały cielak ssie wymiona krowy, Monk mógłby zemdleć.

- Więc co z nim? - zapytał Stottlemeyer, machając przed nimi zdjęciem.

- Bob Smith nigdy nie zrobiłby krzywdy Aimée — oświadczyła dziewczyna. - To słodki i łagodny człowiek. Pacyfista.

- Wiem, że Bob nikogo nie zabił - powiedział Stottlemeyer.

- To po co pan go szuka? - zapytał chłopak.

- Wcale go nie szukam — odparł kapitan. — Wiem, gdzie jest.

- Jeżeli to prawda, to dlaczego rozmawia pan z nami, a nie pojedzie porozmawiać z nim do Nowego Jorku?

Stottlemeyer podniósł jedną brew.

- Myślisz, że jest w Nowym Jorku?

- Pojechał rozwinąć ruch w Ameryce — wyjaśnił chłopak. - Dlatego zostawił Aimée.

- Jaki ruch? - zapytał kapitan.

- Freeganów. Nie wyznają religii konsumpcjonizmu. Żyją wyłącznie z tego, co społeczeństwo przemienia w odpady.

- Żyją ze śmieci.

- Czy coś jest śmieciem tylko dlatego, że jest już niemodne? Dlatego, że nie cały posiłek został poda-



ny do stołu? Dlatego, że na rynku pojawił się nowy model? — wyliczał chłopak. — Czy coś jest śmieciem dlatego, że minął termin ważności? Ustalony arbitralnie po to, żeby dalej kupować?

- Istotnie, to bardzo przypomina Boba - stwierdził Stottlemeyer. - Czy Bob również tu mieszkał?

- Przychodził do Aimée, aie któregoś dnia zniknął - powiedziała dziewczyna. - Aimée dowiedziała się później, że wyjechał do Nowego Jorku. Wiedział, że nie umiałby wyjechać, gdyby musiał się z nią żegnać.

- Od kogo się dowiedziała? - zapytał kapitan.

Dziewczyna wzruszyła ramionami.

- Tego Aimée mi nie powiedziała. Dlaczego pan tyle pyta o Boba?

- Ponieważ Bob nigdy nie wyjechał z Paryża - odparł Stottlemeyer. - Miesiąc temu został zamordowany. Moim zdaniem ten, kto zamordował Boba, zabił również Aimée.

Młodzi ludzie wyglądali tak, jakby ktoś wymierzył im siarczasty policzek.

- Na pewno nic więcej nie wiecie? - naciskał Stottlemeyer.

Oboje pokręcili w milczeniu głowami.

- W takim razie dziękuję za pomoc... Nie usłyszałem, jak się nazywacie.

- Nie, nie usłyszał pan - odparł chłopak.

Wziął dziewczynę za rękę i oboje odeszli.

Nie mógł mieć im za złe, że chcieli zachować dystans. W ich życie i do ich domu wprowadziliśmy śmierć. Nie zdziwiłabym się, gdyby jutro spakowali manatki i zaczęli szukać innego miejsca do życia.

W tym momencie przed kamienicą zatrzymał się radiowóz. Wsiadł z niego policjant, minął nas

pośpiesznym krokiem i wbiegł na schody, podczas gdy jego kolega szukał miejsca do zaparkowania. Stottlemeyer spojrział na mnie, kiwając głową.

- Co? - zapytałam.

- Miałaś rację. Aimée Dupon nie była zebraczką. Była freeganką cokolwiek ma to znaczyć...

- Nathan Chalmers również.

Stottlemeyer zmarszczył brwi.

- Jeśli na grę wchodziły pieniądze, to nie sądzę.

- Grzebanie po śmietnikach nie wygląda na lu kratywne zajęcie — stwierdziłam. - Ile można zarobić na zbieraniu aluminiowych puszek?

Schodami zszedł Le Roux.

- Technicy będą za godzinę, wezmą do analizy komputer, więc dowiemy się, co Dupon przechowywała na twardym dysku. W międzyczasie trochę się rozejrzałem i znalazłem pudełko jej wizytówek.

- Miała pracę? - zdziwił się Stottlemeyer.

- Kiedyś - odparł Le Roux. - Była redaktorką w jednym z wydawnictw. Może dowiemy się czegoś więcej od jej byłych współpracowników.

- Niemało się już dowiedzieliśmy od jej sąsiadów - powiedział kapitan. - Chalmers często odwiedzał Aimée. Używał nazwiska Bob Smith. Po drodze wszystko wam opowiemy.

- Monsieur Monk nie przeprowadzał przesłuchania? - zdziwił się nadinspektor. - Zapewne miał coś ważniejszego do roboty?

Skinęliśmy na stojący na zewnątrz samochód Le Roux. Monk polerował przednie reflektory. Le Roux stał chwilę z otwartą buzią.

- Myje mój samochód?

- Niech pan udaje, że pan niczego nie widzi - poradził Stottlemeyer.

- Ale dlaczego to robi? - chciał wiedzieć nadinspektor.

- Uwielbia to - wyjaśnił kapitan. - To go relaksuje.

- Dzięki wożeniu monsieur Monka zaoszczędzę fortunę na myjniach samochodowych. Brud nie zdąży się osadzać na karoserii - stwierdził Le Roux.

- Proszę tylko nie dawać mu napiwku - rzekł Stottlemeyer poważnym głosem. - Nie można go rozpieszczać.

Gdy stanie się na szczycie Łuku Triumfalnego i spojrzy przed siebie wzdłuż Avenue Charles de Gaulle, w którą przechodzi Champs-Élysées po przecięciu place l'Étoile, w oddali dojrzy się La Grande Arche, ogromną bryłę z białego marmuru z wielkim otworem w środku, który bez trudu pomieściłby katedrę Notre-Dame.

Dziwne, że nie umieścili tam repliki katedry w rzeczywistych rozmiarach, aby tego dowieść. Le Grande Arche był szkaradną próbą przyćmienia Łuku Triumfalnego. Być może osiągnięto cel pod względem wielkości, ale klasy i elegancji z pewnością nie.

Stwierdziłam, że kwestią czasu jest teraz zbudowanie ze szkła, stali i neonów wieży na prostej osi z wieżą Eiffla.

Wydawnictwo Courte-Dell mieściło się w jednym z nowo wybudowanych drapaczy chmur wokół Le Grande Arche, który zdominował perspektywę rozpościerającą się z okna małego gabinetu redaktora naczelnego, pani Laury Boucher.

Umeblowanie gabinetu było identyczne z umeblowaniem wszystkich innych pokojów, obok któ-

rych przechodziliśmy, i mrowia boksów w dużej sali, z której wchodziło się do jej gabinetu. Jedna ze ścian była pokryta półkami, na których piętrzyły się maszynopisy. Przeciwległa ściana była zastawiona dwoma wysokimi regałami, wypełnionymi stosami książek w twardych i miękkich oprawach, przemieszanymi w jakimś nieokreślonym porządku.

To miało się niebawem zmienić. Monk natychmiast przystąpił do pracy i zaczął ustawiać książki alfabetycznie według autorów i rodzaju oprawy. Wiedziałam, że gdybyśmy zostali tam wystarczająco długo, uszeregowalby je również według roku wydania i gatunku literackiego.

Oczywiście Monk nie prosił pani Boucher o pozwolenie na przekładanie jej książek. Uważał, że jest to jego prawo moralne. Pani Boucher jednak nie miała nic przeciwko temu. Zbyt wstrząsnęła nią wiadomość, że jej była koleżanka, Aimée Dupon, została zamordowana.

- Bardzo się bałam, że to się dla niej źle skończy - mówiła Laura, siadając w swoim fotelu. — Raptem coś jej strzeliło do głowy.

Le Roux i Stottlemeyer zajęli krzesła dla gości, a ja stanęłam obok Monka.

- Co pani ma na myśli? - zapytał Le Roux.

- Aimée kochała książki. Były jej pasją- powiedziała Laura. - Dlatego zaczęła pracować w branży wydawniczej. Zawsze uważała, że w tej pracy chodzi o wyszukiwanie i wspieranie wspaniałej literatury.

- A nie jest tak? - zapytałam.

- Nie rozumiała, że na pierwszym miejscu jest interes. Książka musi się sprzedawać, autor musi mieć jakiś wabik, który nakreśli promocję, no i trze-

ba przekonać tych od przeliczania cyferek, że książka jednak się sprzeda.

—Jeśli macie do wyboru wydanie obiecującego pisarza, hollywoodzkiej striptizerki i prezydenckiego psa, to rozumiem, że wybieracie między pieskiem a striptizerką, tak?

—Lepiej oczywiście zatrudnić obiecującego pisarza, a jako autora podpisać psa. Ale ma pani rację, tak to wygląda. Do tego dochodzi jeszcze polityka firmy. Rocznie możemy wydawać określoną liczbę tytułów. Każdy redaktor pracujący w tym budynku toczy zażarte boje o to, aby to jego propozycje znalazły się wśród tych kilku książek do wydania. Potem następuje bój o najlepszy termin publikacji, o zmobilizowanie dystrybucji, by twój tytuł pchnęli mocniej, a wreszcie o skłonienie recenzentów, by twoją książkę obsmarowywali częściej od innych. Koniec końców, najmniej istotnym składnikiem całego równania jest to, czy książka jest dobra czy nie.

Monk robił szybkie postępy w układaniu woluminów i wydawało się, że wywody Laury Boucher ani trochę go nie zajmują.

Podobnie Stottlemeyer. Powoli przegrywał walkę ze snem i głowa opadła mu na bok. Traciłam butem nogę jego krzesła. Kapitan sapnął, poderwał głowę, a potem zwiesił ją na drugą stronę.

—Jak rozumiem, wydawcy nie tylko walczą o książkę - odezwał się nadinspektor Le Roux. -Walczą też o kariery. Zapewne nieraz wbijają sobie nóż w plecy.

—Im więcej książek uda się wydać, tym większe jest prawdopodobieństwo awansu w firmie. Zakładając, że książki rzeczywiście odnoszą sukces, co zależy nie tylko od tego, co się dzieje w na-

szych pokojach, ale też w księgarniach. W drodze do tego gabinetu musiałam przejść po wielu trupach. W sensie metaforycznym, rzecz jasna.

- Rzecz jasna.

- Czy jednym z nich była Aimée? - zapytałam i kopnęłam krzesło Stottlemeyera, wyrrywając go gwałtownie z drzemki.

- Aimée sama odeszła.

- Co to ma wszystko wspólnego z morderstwem? - sapnęła Stottlemeyer gburowatym tonem.

Będąc tak zmęczonym i niewyspanym, w ogóle nie powinien był siadać. W ten sposób sam się prosił o kłopoty.

- Jakieś dwa lata temu oczarował ją przedłożony nam do oceny komiks pewnego malarza, Antoine'a Bissona. Była to historia o młodym zbiegu włóczącym się po paryskich katakumbach i odkrywającym tajemny podziemny świat, w którym ludzie żyją wyłącznie z odpadów wyrzucanych przez resztę społeczeństwa.

- To freeganie - powiedziałam.

- To wariaci - sprostował Monk.

- Aimée była zauroczona książką - ciągnęła Laura. - Kiedy Antoine wyznał jej, że historia wcale nie jest fikcją, Aimée dała się porwać tamtemu światu i jego ideałom, które, jak się można łatwo domyślić, stały w sprzeczności z zasadami działania naszej firmy.

- Komercja przed sztuką - powiedziałam.

Laura obrzuciła mnie chłodnym spojrzeniem.

- Jakoś nikt tutaj nie uważał, aby na rynku było miejsce dla komiksu o bezdomnych wagabundach w kanałach ściekowych. Chciałaby pani czytać coś takiego?

- Potworne - wzdrygnął się Monk.  
- Widzi pani? - Boucher skinęła na Monka. - Takiej reakcji się spodziewaliśmy. Poza tym, szczerze mówiąc, Aimée nie była dobrym adwokatem tej książki. Za każdym razem, kiedy usiłowała kogoś do niej przekonać, wygłaszała nieznośną, górnolotną tyradę przeciwko konsumpcjonizmowi. Kiedy sprawa upadła, Aimée poczuła się tak rozczarowana, że porzuciła nie tylko wydawnictwo, ale również społeczeństwo, wybierając podziemne życie w swoim wyidealizowanym świecie.

Monk raptem się wyprostował.

- Ten świat rzeczywiście istnieje?  
Ciekawe, co go tak nagle zainteresowało.

- Podziemne tunele owszem. Praktycznie pod każdą ulicą w Paryżu biegną labirynty tuneli i kanałów, każdy o tym wie - wyjaśniła Laura. - Przypuszczam też, że są kloszardzi, którzy szukają tam schronienia. Ale przekonanie, że pod ulicami miasta funkcjonuje jakieś utopijne społeczeństwo, jest moim zdaniem tylko mitem.

- Jednak Aimée ten mit kupiła - powiedział Le Roux.  
Laura wzruszyła ramionami.

- Twierdziła, że Bisson wszystko jej pokazał.  
Jeśli ten świat rzeczywiście istniał, bardzo chciałabym go zobaczyć. Bez wątpienia było w tej idei coś romantycznego, jeśli oczywiście odrzucić śmietniki i ścieki. Jednak nawet jeśli istniał, Aimée Dupon nie chciała w nim żyć. Coś musiało ją odciągnąć od katakumb, choć nie od freeganów. Miało to coś wspólnego z Nathanem Chalmersem? Czy właśnie przez to Chalmers i Dupon stracili życie? Le Roux spojrział na mnie wymownie. Jestem

pewna, że przelatywały mu przez głowę te same pytania. Stottlemeyer znowu zapadał w sen, więc znowu kopnęłam jego krzesło.

- Co z tego? — zapytał mrukliwie kapitan, mocno poirytowany. — Czy to choć trochę przybliżyło nas do odpowiedzi, kto ją zabił?

- Była wrażliwa i słaba. Antoine Bisson napałkował jej głupstw do głowy i kazał jej żyć na ulicy — powiedziała Laura Boucher. — To ją zabiło.

- Albo poczuła się zmęczona polityką i chciwością firmy — stwierdziłam. — Wybrała więc prostszy i uczciwszy sposób życia.

- Mieszkając w kanałach i odżywiając się odpadkami?

Wzruszyłam ramionami.

- Może uważała, że tutaj robi to samo.

- Mówi pani zupełnie jak ona.

- Chyba nie chcesz mieszkać w kanałach? — zaniepokoił się Monk. — Natalie, jesteś po prostu zmęczona. Potrzeba ci trochę odpoczynku.

Och, Monk wreszcie przejrzał na oczy.

- Świetnie, kiedy będę miała wakacje?

- Możesz zacząć od dzisiaj - powiedział. - Posprzątasz naszą łazienkę.

- Takie jest pana wyobrażenie o wakacjach?

- To na początek.

Laura, Le Roux i ja patrzyliśmy, jak Monk podziwia ustawiony przez siebie równiutki rząd książek. Stottlemeyer chrapanął głośno. Kopnęłam w krzesło, kapitan zerwał się i odruchowo sięgnął po pistolet, którego na szczęście nie miał przy sobie.

- Wie pani, gdzie możemy znaleźć Antoine'a Bissona? — zapytał nadinspektor Laurę Boucher.

Wiedziała.



## Monk i malarz

Zanim pojechaliśmy zobaczyć się z Antoine'em Bissonem, zatrzymaliśmy się w Starbucksie naprzeciwko wydawnictwa Courte-Dell i kupiliśmy kapitanowi dużą kawę, żeby się trochę przebudził. Próbowałam go namówić na małe espresso w kawiarence obok, ale kapitan nie miał nastroju do eksperymentów.

- Kawa to kawa — przekonywałam.

- Więc co za różnica, czy wypiję kawę w Starbucksie czy we francuskiej knajpie.

- Taka, że jest pan w Paryżu. Powinien pan spróbować, co ma do zaoferowania to piękne miasto.

- Miasto oferuje mi Starbucksa. - Stottlemeyer popijał swoją *venti cinnamon dolce latte* i zerkał na Le Roux, który odbierał od kawiarki wysoką filiżankę kawy. - Co pan sądzi o tej kawie?

- Znakomita - odparł Le Roux.

- A w porównaniu z francuską?

Nadinspektor wzruszył ramionami.

- Kawa to kawa - stwierdził. Stottlemeyer przesłał mi łaskawe spojrzenie.

- Uważam dyskusję za skończoną.

- W takim razie gdzie chciałby pan zjeść lunch? - zapytałam. - W McDonaldsie?

- Jeśli nie znajdziemy Burger Kinga - odpowiedział Stottlemeyer.

Nie wiedziałam, czy żartuje, czy mówi serio. Ale dla podkreślenia stanowiska nie kupiłam w Star-bucksie kawy. Uporczywie wolałam szukać francuskich wrażeń.

- Na lunch powinieneś spróbować *croque mon sieur* — zasugerował raptem Monk. - Pycha.

Monk jadł nożem i widelcem czekoladowe ciastko. Myślę, że zamówił je tylko dlatego, że było idealnie kwadratowe.

Stottlemeyer podniósł brwi.

- Spróbowałaś czegoś nowego?

- Lubię żyć na krawędzi.

Nadinspektor Le Roux wyszedł na zewnątrz, aby dokąś zatelefonować, a my w trójkę zostaliśmy przy stole. Wzięłam widelec i podkrađłam Monkowi kawałek ciastka.

- Jak się panu podoba Paryż? — zapytałam Stottlemeyera.

- Cieszę się, że mogę tu popracować nad sprawą morderstwa.

- Ja też - wtrącił Monk.

- Obaj musicie się nauczyć odpoczywać.

- Nie mógłbym tu odpoczywać — stwierdził Stottlemeyer. — Inny język, wszystko inaczej wygląda, w ogóle wszystko jest inne. Nic nie mogę robić po swojemu.

- To właśnie czyni całą przygodę tak ekscytującą-powiedziałam. - To wyprawa w nieznaną, dokonywanie nowych odkryć.

- Śledztwo, rozwiązanie zagadki kryminalnej, schwytywanie złoźyńcy, oto odkrycia, których lubię dokonywać.

- Ja też - przytaknął znowu Monk.

- Odkrywanie nowych miejsc jest jak rozwiązy-

wanie kryminalnych zagadek - mówiłam. - Odkrywacie inną kulturę, poznajecie życie innych ludzi. To jak szukanie siebie samego, zamiast sprawy przestępstwa.

- Nie potrafię odpoczywać, jeśli nie mogę o siebie zadbać i nie znam zasad gry - wyjaśnił Stottle-meyer.

- Czyli jeśli nie kontroluje pan swojego otoczenia — stwierdziłam.

- Tutaj wszystko jest dziwne i obce. To sprawia, że czuję się bardzo niepewnie - mówił kapitan. -Za to dobrze wiem, jak prowadzić śledztwo w sprawie zabójstwa. Wtedy wiem, gdzie stoję. Wiem, co robić i jak to robić. Wtedy nabieram pewności.

- Ja też - stwierdził Monk.

- Nabieram pewności i odpoczywam - ciągnął Stottlemeyer.

- Zgadza się - przytaknął Monk.

- Słyszał pan, kapitanie? Pan Monk się z panem zgadza.

- Oczywiście, że się zgadza.

- Wie pan dlaczego? Bo mówi pan dokładnie tak jak on. Żaden z was nie potrafi wyjść poza swoje bezpieczne,uporządkowane otoczenie. Jesteście tacy sami.

Kapitan patrzył na Monka przez dłuższą chwilę. Niemal słyszałam, jak powtarza w myślach całą naszą konwersację.

- O Boże - powiedział w końcu. - Rzeczywiście.

- Czuje pan już natrętą potrzebę zliczenia ziaren kawy w dzbanku na kontuarze? - zapytałam kapitana. - A może zechciałby pan posprzątać parę stolików przed wyjściem?

Monk się uśmiechnął do Stottlemeyera.

- Wiedziałam, że prędzej czy później zmienisz front - powiedział. - Nigdy nie przestawałam w ciebie wierzyć. Teraz razem możemy się zabrać do naprawę wielkich spraw.

- Jakich wielkich spraw?—zapytał Stottlemeyer.

- Masz piankę z kawy na wąsach - zauważył Monk.

Stottlemeyer otarł wąsy serwetką.

- To akurat nie była wielka sprawa. Już po kłopotcie.

- Niezupełnie. Musisz je zgolić.

- Nie mam zamiaru golić wąsów — oświadczył kapitan.

- Dzięki temu nie będziesz na nich zostawiał pianki - mówił Monk. - Ani niczego innego.

- Lubię swoje wąsy.

- Są niehigieniczne.

- W wąsach nie ma nic niehigienicznego — upierał się Stottlemeyer.

- Zostają na nich kawałki najrozmaitszego jedzenia i brudów - przekonywał Monk.

- Skądże.

- I śluz z nosa.

- Przestań - powiedział kapitan stanowczym tonem, wymierzywszy w Monka palec.

- To tak, jakbyś przez cały dzień przystawiał sobie do nosa kosz ze śmieciami — mówił Monk. -Z każdym wdechem zatruwasz organizm.

- Wąsy zostaną. Koniec dyskusji - oświadczył kapitan.

- Przynajmniej staraj się oddychać przez usta — doradził Monk. - Później mi podziękujesz.

Do kawiarni wszedł nadinspektor Le Roux, wkładając telefon do kieszeni.

- Antoine Bisson może się z nami teraz zoba-  
czyć — poinformował. — Jedziemy?

Stottlemeyer nie miał siły, aby szybko wstać, a Monk  
nie był jeszcze gotowy do wyjścia.

Najpierw musiał posprzątać parę stolików. I policzyć  
trochę ziaren kawy.

Antoine Bisson zajmował poddasze w pierwszej  
dzielnicy, w pobliżu muzeum sztuki Centre Georges  
Pompidou, przed którym nadinspektor Le Roux  
zaparkował na miejscu zarezerwowanym dla oficjeli.  
Jak się domyślałam, był to jeden z największych  
przywilejów pracowniczych wysokiego rangą poli-  
cjanta w Paryżu.

Na widok Centrum Pompidou Monk skamieniał i  
patrząc na kolorową fasadę budynku wyróżniającą się  
na tle całego otoczenia, natychmiast zaczął narzekać.

- To jest wywrócone na lewą stronę - orzekł.  
To była prawda.

Infrastruktura Centrum Pompidou - stalowe belki  
konstrukcyjne, ruchome schody, wielobarwne rury,  
przewody i szyby wentylacyjne - nie była ukryta w  
ścianach budynku, lecz znajdowała się na zewnątrz.  
Pomyślałam, że w tym kolorowym, industrialnym  
wyglądzie jest coś niezwykle fantastycznego. Mogłaby to  
być fabryka Zelków w Krainie Cukierków.

- Dzięki temu budynek jest interesujący - oświad-  
czyłam.

- To powinno być wpuszczone w ścianę. - Monk  
odwrócił się do Le Roux. - Powinien pan coś z tym  
zrobić.

- Jestem oficerem policji, a nie krytykiem architektury - odpowiedział nadinspektor.

Po raz pierwszy podczas rozmowy z Monkiem w głosie Le Roux zabrzmiała nuta poirytowania. Stottlemeyer również to zauważył, bo na jego twarzy pojawił się uśmiech. Oznaczało to, że nadinspektor stał się kolejną osobą, która doskonale rozumie niewdzięczne położenie kapitana.

- Co się stanie, jeśli ktoś przejdzie obok pana z wnętrznościami wypchniętymi na zewnątrz ciała? - pytał Monk. - Też pan nie zareaguje?

- Wezwę karetkę pogotowia.

- Temu budynkowi potrzebna jest karetka. Albo betonowa kula do burzenia ścian.

- Przykro mi, że muzeum się panu nie podoba, monsieur Monk - westchnął Le Roux. — Ale to nie moje kompetencje.

- Wszystko spiszę w swoim raporcie — stwierdził Monk.

- Jakim raporcie? - zapytał zaciekawiony nadinspektor.

- Raportcie dla władz - wyjaśnił Monk. - W Paryżu jest mnóstwo rzeczy, które należy wyprostować.

- Monk myśli dosłownie - dodał Stottlemeyer.

Wyszliśmy z samochodu i Le Roux poprowadził

nas na drugą stronę placu, który rozpościerał się przed muzeum.

Monk zasłaniał oczy ręką przed widokiem fasady Centrum Pompidou, dopóki nie doszliśmy do rue Denis, wąskiej, odchodzącej w bok ulicy z wieloma stoiskami po obu stronach, oferującymi na wynos naleśniki, kanapki, falafele i pizzę.

Na rogu rue Denis i rue des Lombards stanęli-

śmy przed wejściem wcisniętym między dwa takie stoiska. Nigdy nie zauważyłabym drzwi, gdyby Le Roux do nich nie podszedł. Wcisnął mocno dzwonek i przedstawił się. Po chwili zahuczał domofon i mogliśmy wejść do środka.

Znowu musieliśmy się wspinać krętymi schodami, uginającymi się od stuleci ciągłego użytkowania. Środkiem biegł zabrudzony, wyblakły chodnik.

Antoine Bisson czekał na nas w otwartych drzwiach na drugim piętrze. Mężczyzna był chudy jak szczapa, z jednodniowym zarostem na twarzy i długimi włosami ściągniętymi z tyłu w koński ogon. Na sobie miał niezapiętą koszulę, założoną na inną niezapiętą koszulę, a ręce miał opačka-ne farbami.

Przedstawił się po francusku, wyciągając rękę do Le Roux i Stottlemeyera. Obaj się przywitani. Monk jednak schował się za moimi plecami w nadziei, że uda mu się uniknąć rytuału uścisków dłoni. Ucisnęłam więc Bissonowi rękę dwa razy.

- *La première poignée de main est pour moi. La seconde est pour monsieur Monk* - powiedziałam, tłumacząc, że pierwszy uścisk jest mój, a drugi pa na Monka.

Bisson zlustrował Monka krótkim spojrzeniem.

- *A-t-il peur d'attraper quelque chose?*

Interesowało go, czy Monk się obawia, że może coś złapać.

Owszem, a najbardziej tego, że może złapać wszystko. Co też powiedziałam.

- *Il a peur d'attraper toutes les choses.*

Bisson uśmiechnął się i wprowadził nas do środka. Drewniana podłoga skrzypiała nam pod nogami.

- Witam w moim domu - oznajmił po angielsku

Bisson z tak silnym akcentem, że zdawało się, iż mówi nadal po francusku.

Łazienka znajdowała się zaraz po naszej prawej stronie, a przed nami otwierała się spora przestrzeń, która służyła jednocześnie jako pokój dzienny, sypialnia i pracownia.

Naprzeciw okna wychodzącego na rue Denis stała duża sztaluga, przed nią wysoki stół, a na nim paleta świeżo zmieszanych farb. Bisson pracował nad obrazem kobiety w czarnym trykocie trzymającej kuszę. Wyglądało mi to na ilustrację do okładki na książkę, brakowało jeszcze tytułu i nazwiska autora.

Dziwne, że Bisson był taki chudy. Bijący z ulicy przez otwarte okno zapach gorącego chleba, skwierczącego tłuszczu i bulgoczącego na ruszcie sera budziłby we mnie głód przez cały dzień.

Stały tu także regały z książkami, które, w przeciwieństwie do książek Laury Boucher, były pedantycznie równo poukładane. Prawdopodobnie była to jedyna rzecz w mieszkaniu, która spotkała się z pełną aprobatą Monka.

Obrazy nie wisały na ścianach - były na nich malowane, łącznie z ramami, z domalowanymi nawet krzywymi gwoździkami i stalowymi linkami, na których niby wisały.

Wśród malowideł był obraz pustej plaży, po której hulał wiatr, Mona Lisa w stroju topless, martwa natura ze szkieletem ryby na wyszczerbionym talerzu, jakiś landszafcik paryskiej ulicy oraz ścianka z puszczeli i czaszek podobna do tych z katakumb.

Spojrzałam jeszcze raz na Monę Lisę. Było w niej coś dziwnie znajomego. Raptem mnie olśniło.

To była Aimée Dupon, tyle że z włosami i wyso-



kim czołem Mony Lisy, i z tym samym niepokojącym, dwuznacznym uśmiechem na twarzy.

Zresztą cały obraz wydał mi się dwuznaczny. Co miał oznaczać? Czy to miał być żart? Hold? Dlaczego była naga? W jakimś sensie Bisson wyraził swoje zdanie o Aimée i o tym, jak postrzega wielkie dzieła sztuki, ale nie bardzo wiedziałam, co chciał przez to powiedzieć.

Bisson spostrzegł, że podziwiam malowidła.

- Jestem artystą którego nie stać na żadne dzieła sztuki poza własnymi. *C'est triste*.

- Podobają mi się - przyznałam. - Więcej mi mówią o pana osobowości niż dzieła innych artystów, które zdecydowałby się pan u siebie powiesić.

Bisson posłał mi czarujący uśmiech.

- Pani chciałaby się czegoś o mnie dowiedzieć?

- Chcielibyśmy dowiedzieć się czegoś o Aimée Dupon - wtrącił się do rozmowy Stottlemeyer.

Ciekawiło mnie, czy kapitan również rozpoznał modelkę, która pozowała do portretu Mony Lisy. Stottlemeyer nie miał okazji przyjrzeć się Aimée, aie Le Roux, Monk i ja dobrze ją zapamiętaliśmy. Choć wątpię, aby Monk przyjrzał się Monie Lisie uważniej, ze względu na jej nagość. Na stole w kostnicy Monk mógł bez problemu oglądać nagie ciało, ale w żadnym innym kontekście nie potrafił znieść nagości. Zawstydziała go i obrażała jego poczucie przyzwoitości.

Uśmiech Bissona przygasł.

- Byłem załamany, kiedy się dowiedziałem o jej śmierci.

- To było morderstwo - uściślił Monk. - Jak rozumujemy, to właśnie pan namówił ją żeby zamieszkała w śmietniku.

- To nie było tak.
- Jakoś trudno mi uwierzyć w te słowa, zważywszy na to, że padają z ust człowieka, który chodzi mało, że w jednej, to nawet w dwóch rozpiętych koszulach.
- Dałem jej tylko powieść rysunkową, którą bardzo polubiła - wyjaśnił Bisson. - O ile się orientuję, nie jest to zbrodnia.
- Niech pan powie, co to za książka - poprosił Le Roux.
- Mogę zrobić więcej - odpowiedział Bisson. - Mogę ją wam pokazać.

Antoine podszedł do stołu kuchennego, na którym czekało przygotowane wcześniej portfolio z jego pracami. Na obrazkach zobaczyliśmy grupę młodych ludzi w roboczych kombinezonach, z plecakami i noktowizorami, wchodzących do ogromnej podziemnej groty, której każdy centymetr ozdobiony był różnego rodzaju dziełami sztuki. Ściany i powała były pokryte graffiti, malowidłami, szkicami, freskami i wymyślnymi mozaikami. W skale były wyrzeźbione różne posągi, żłobkowane kolumny, gargulce i zamki.

- Czy taka komnata rzeczywiście istnieje w katakumbach? — zapytałam.

- Są ich tysiące - odparł Bisson. - Moja rysunkowa powieść była inspirowana wyprawami do największej na ziemi galerii sztuki, do piekieł Paryża.

Niewątpliwie takie piekło inspirowało Bissona, gdy malował swoje mieszkanie. To mogłam zrozumieć. Ale nie potrafiłam dostrzec sensu ciężkiej pracy w wilgotnej grocie nad mozaiką czy posągami, które mogą podziwiać jedynie szczury.

- Po co ktoś marnuje czas na tworzenie dzieł

sztuki w katakumbach, zamiast pracować nad nimi w pracowni, co może przynieść uznanie albo dobrą zapłatę?

- W człowieku tkwi pragnienie, aby pozostać gdzieś po sobie znak, powiedzieć: „Tak, byłem tutaj” - mówił Bisson. - Ściany katakumb to coś więcej niż sztuka. To zapis trzech stuleci historii Francji wykonany przez jej naocznych świadków: górników, uciekinierów, studentów, członków ruchu oporu, dziwki, żołnierzy, komunardów, włóczęgów i artystów. Są tam dzieła sztuki z czasu buntu młodzieży lat sześćdziesiątych, z okresu szturm na Bastylię, niemieckiej okupacji podczas drugiej wojny światowej, z wojny francusko-pruskiej czy okresu rewolucyjnego terroru, jest tu zapisane każde istotne i powszechnie znane zdarzenie, które ukształtowało to miasto, a wszystko wymieszane w różnej formie artystycznego wyrazu. To muzeum dodaje ducha jak żadne inne.

Kiedy mówił, jego oczy błyszczały zapalem. To, co mówił o katakumbach, brzmiało magicznie, w każdym razie dla mnie. Sama miałam ochotę je zobaczyć.

- Nie ma w tym żadnego porządku - odezwał się Monk. - Jeden wielki bałagan.

- To odzwierciedla prawdę życia - mówił Bisson. - Sztuka w najczystszej formie.

- Najczystszej formą sztuki są gołe skały. Ziemia w pierwotnej formie.

- Gdyby była to prawda, nie kalalibyśmy ziemi swoją egzystencją i nie obdarzono by nas wyobraźnią i twórczym talentem - powiedział Bisson. - Nawet ludzie prehistoryczni rysowali na ścianach jaskiń.

- Na szczęście ludzie cywilizowani wszystko wytarli.
- Jak pan znalazł tę jaskinię? - zapytał Stottle-meyer.

Antoine Bisson podszedł do plecaka opartego o ścianę obok zabrudzonych butów trekkingowych, pary gogli noktowizyjnych i drewnianego kostura, wokół którego oplatał się wystrugany wąż. Bisson otworzył zamek błyskawiczny, wyjął z plecaka jakąś mapę, przeniósł ją na stół i rozpostarł na portfolio. Oryginalna, drukowana mapa pokryta była odręcznymi rysunkami, skreśleniami i dopiskami.

- Pod koniec osiemnastego wieku niektóre z opuszczonych korytarzy pod miastem zaczęły się zapadać, a wyrwy pochłaniały całe ulice - zaczął tłumaczyć Bisson. — Rząd polecił inspektorom sporządzić mapy katakumb i podstemplować osypujące się komnaty. Aby jednak do wszystkich takich miejsc dotrzeć i dokonać napraw, trzeba było drażnić kolejne korytarze. Pod nami ciągnie się trzysta kilometrów tuneli. Oryginalna mapa była aktualizowana przez pokolenia katafilów, czyli takich jak ja miłośników paryskich katakumb. To się wciąż zmienia.

- Każdy może tam sobie zejść? — zapytałam.

- To zabronione i niebezpieczne - powiedział Le Roux. - Ale niewiele możemy zrobić, aby ten proceder zlikwidować. Sieć tuneli jest po prostu zbyt wielka.

Jak się domyślałam, katakumby stanowiły też pewne zagrożenie terrorystyczne, ale to chyba nic nowego, wzięwszy pod uwagę, jak długo już istnieją tunele pod Paryżem i jak często na przestrzeni wieków były wykorzystywane przez przeciwni-

ków rządu czy zbiegów, jako kryjówka i baza wy-  
padowa.

- Jestem tylko jednym z tysięcy katafilów, dla których tunele są jedynie płótnem malarskim czy kamieniem pod rzeźbiarskie dłuto. - Bisson zerknął w moją stronę. — Niestety, jak słusznie pani zauważyła, mademoiselle, nie zarabiam na tym ani grosza.

- Więc wymyślił pan ruch freeganów i stworzył z tego komiks — stwierdził Stottlemeyer.

- Nie wymyśliłem freeganów. Oni istnieją naprawdę. Choć sam do nich nie należę. Przeniosłem ich tylko w świat fikcji literackiej, uczyniłem bardziej szlachetnymi i romantycznymi, niż są w rzeczywistości.

- A kim są w rzeczywistości? - zapytał Stottlemeyer.

- To włóczędzy. Nie pracują. Chyba że za pracę uzna się czas spędzony na grzebaniu po śmietnikach. Odmawiają udziału w tym, co Lucien Barlier nazywa skorumpowanym, marnotrawnym, niszczącym środowisko naturalne społeczeństwem konsumenckim.

Le Roux wyciągnął notatnik i zaczął coś notować.

- Kto to jest Lucien Barlier?

- To przywódca freeganów. Król Szczurów. Lucien rzekomo był tak zrażony ekonomiczną i społeczną niesprawiedliwością kapitalizmu, że rzucił wysoko płatną pracę, rozdał wszystkie swoje niepotrzebne mu do życia rzeczy i postanowił się wycofać. Przestać zarabiać i wydawać pieniądze. W ten sposób odnalazł spokój wewnętrzny, a wkrótce po nim grono jego stronników.

- Innymi słowy, freeganie żyją z pracy innych. To zwykle łązęgi - stwierdził Stottlemeyer.

- Tylko dlatego, że nic nie kupują? - zapytałam. - Z tego, co słyszałam, nikogo o nic nie proszą. Wydaje mi się, że z pożytkiem wykorzystują to, co wyrzucamy, w przekonaniu, że jest to już bezużyteczne. Co w tym złego?

- Bez względu na to, jacy rzeczywiście są, Aimée patrzyła na nich inaczej - wtrącił Bisson. - Widziała w nich uosobienie mitu, który stworzyłem w książce; egalitarne społeczeństwo poetów, artystów, filozofów i marzycieli, szukających ucieczki przed chciwością, skapstwem i okrucieństwem świata na powierzchni.

- Nie są tacy? - zapytałam.

- Nie chcą pracować, a przecież praca to coś więcej niż kapitalizm. To oddawanie społeczeństwu tego, co się samemu od niego przyjęło, czy chodzi o strzyżenie włosów, wynalezienie nowego czipa do komputera czy napisanie piosenki. A co oni robią?

- Pokazują inny, może bardziej rozsądny sposób na życie, w którym nie ma tyle marnotrawstwa - powiedziałam.

- Mówi pani jak Aimée - stwierdził Bisson.

- Niech się pan nie martwi. Nie mam zamiaru oddać mieszkania i zamieszkać w jaskini, nawet jeśli miałyby to być jaskinia w Paryżu - powiedziałam.

Byłam przekonana, że jaskinia w Paryżu musiała być miłsza niż gdziekolwiek indziej. W Paryżu wszystko było lepsze.

- Powtarzałam Aimée, że nie musi tego robić. Ale najwyraźniej Lucien Barlier był przymilniejszy - stwierdził Bisson, składając mapę. - Kiedy

Courte-Dell odrzuciło moją książkę, Aimée postanowiła ostatecznie wycofać się ze zżeranego przez konsumpcjonizm korporacyjnego świata. Dołączyła do freeganów.

- A pan? — zapytał Le Roux.

- Katanie i freeganie starają się nie wchodzić sobie w paradę. Kocham katakumby, ale nie interesuje mnie wyjadanie żywności ze śmietnika ani rezygnacja z dekadentkich luksusów.

- To musiało obciążyć pana dobre relacje z mademoiselle Dupon — zauważył Le Roux.

- Przez jakiś czas byłem kochankiem Aimée i jej przewodnikiem po podziemnym królestwie. Ale kiedy poznała freeganów, przestała mnie potrzebować. Zostałem rzucony na stos kości niczym jeden z tych wielu szkieletów w katakumbach.

- Skoro o wilku mowa, spotkał pan przypadkiem tego człowieka? — Stottlemeyer podsunął Bissonowi fotografię Nathana Chalmersa.

Antoine Bisson przytaknął.

- To Bob Smith. Nowy kochanek Aimée. Poznała go w podziemiach. Z tego, co wiem, kilka lat temu Bob wypłynął nagle znikąd, głosząc radykalne idee, które wstrząsnęły freeganami.

- Na przykład jakie? - zapytał kapitan.

- Bob uważał, że jeśli człowiek rzeczywiście chce coś zmienić w świecie, to nie dokona tego, mieszkając w jaskiniach i żywiąc się tym, co inni ludzie zostawili na talerzu. Twierdził, że korporacje i mal-wersanci społeczni muszą coś odczuć na własnej skórze, bo inaczej nigdy nie ulegną przemianie.

- Jak Bob zamierzał tego dokonać?

- Nie mam pojęcia, ale wiem, że między Bobem i Lucieniem wybuchł na tym tle zażarty konflikt.

- Znając Boba, jestem pewien, że poszło o pieniądze — powiedział Stottlemeyer.

- W takim razie nic dziwnego, że Lucien był mu przeciwny. Jednak w tym czasie Aimée stała już po stronie Boba, podobnie jak część innych freeganów. Razem ze swoją frakcją wyszła na powierzchnię. Zdaje się jednak, że Bob wciąż nie był zadowolony. Słyszałem, że wyjechał do Ameryki.

- Nie wyjechał - powiedział Stottlemeyer. - Leży w kostnicy.

- Właściwie tylko jego czaszka - uściślił Le Roux. - Wciąż szukamy reszty Boba.

- To ta słynna czaszka znaleziona w katakumbach? - zapytał zdumiony Bisson.

- Dzień przed zamordowaniem Aimée Dupon w Toujours Nuit - dodał Le Roux.

Nie byłam detektywem, ale nawet ja potrafiłam dostrzec, jak z wolna rysuje się motyw morderstwa.

Czy Nathan Chalmers, alias Bob Smith, został zamordowany w toczonej z Barlierm wojnie o rząd dusz freeganów? Czy Aimée Dupon zginęła, ponieważ w jakiś sposób poznała prawdę i potrafiła udowodnić, kto to zrobił?

Kiedy rozmyślałam nad tymi pytaniami, zdałam sobie raptem sprawę, że Monk od pół godziny nie odezwał się słowem. W ogóle nie stał z nami przy kuchennym stole.

Zniknął.

- Panie Monk? - Odwróciłam się, by znaleźć Monka, i niechcący ściągnęłam na siebie uwagę innych.

Mój szef stał po drugiej stronie wielkiego pokoju, trzymając w ręku paletę z farbami. Mazał coś pędzlem po ścianie, choć głowę miał odwróconą w drugą stronę, a oczy zamknięte.



- Co pan robisz?! - wrzasnął Antoine Bisson, jakby łąał psa za to, że obsikał nowy dywan, i rzucił się w kierunku Monka.

- Małe poprawki - odpowiedział Monk, nie otwierając oczu. - Potem mi pan podziękuje.

- Wszystko pan zamalował -jęknął Bisson, bardziej zszokowany niż rozżłoszczony.

Podeszliśmy do ściany, żeby zobaczyć, co się stało.

- Skończone — oznajmił w tym momencie Monk, otworzył oczy i przyjrzał się z dumą swojemu dziełu. - *Magnifique*.

Na obnażonych nie tak dawno piersiach Mony Lisy Monk namalował dwa duże, czarne kwadraty.

Nadinspektor Le Roux spojrział na malowidło.

- Pan namalował te kwadraty z zamkniętymi oczami? - zapytał.

- Oczywiście. W przeciwnym razie musiałbym spojrzeć.

- On nawet bazgroli prościutkimi liniami - stwierdził Stottlemeyer.

Nie wierzyłam własnym oczom, Monk dokonał aktu wandalizmu i zniszczył w czyimś domu obraz. Rzecz jasna w kontekście jego psychicznych zaburzeń rozumiałam, dlaczego poczuł nieodparty przymus, aby to zrobić, ale to nie znaczyło, że wolno mu się poddawać każdemu impulsowi. Czy on już nie miał poczucia przyzwoitości?

Odwrociłam się do Bissona.

- Bardzo przepraszam - powiedziałam. Bisson podniósł rękę.

- Nie szkodzi. Dobrze, że nie zamalował twarzy. Nadinspektor wpatrywał się w Monę Lisę.

- To przecież Aimée Dupon - skonstatował w końcu.

- Naprawdę? - Stottlemeyer na nowo zaczął się przyglądać malowidłu.

- Była żywym dziełem sztuki - powiedział Antoine Bisson. - Taką chciałem ją zapamiętać. Skończył pan?

- Niezupełnie. - Monk zabrał się do martwej natury. - Muszę naprawić to obtłuczenie na talerzu z rybą.

Bisson wyrwał mu pędzel z ręki.

- Jednak pan skończył.

- Mam jeszcze jedno pytanie - powiedział Le Roux. - Wie pan, gdzie możemy znaleźć Luciena Barliera?

- Przez większość poranków myszkuje po kontenerach przy rue Cler na tyłach wędliniarni, piekarni, cukierni, sklepów nabiałowych, barów i małych marketów — powiedział Antoine Bisson i wręczył mi mapę podziemnych tuneli. - Jeśli nie tam, to zastaniecie go w domu.

## Monk i gwiazda rocka

Kapitan Stottlemeyer gotów był polec i pójść spać, mimo że obiecał sobie przetrwać do zmierzchu.

Przewidujący nadinspektor zarezerwował dla Stottlemeyera i Dishera pokoje w naszym hotelu. Po rozmowie z Antoine'em Bissonem pojechaliśmy więc na Avenue Carnot, żeby kapitan mógł się trochę zdrzemnąć, zanim zbierzemy się znowu wszyscy o ósmej wieczorem przy obiedzie.

Le Roux wysadził nas przed hotelem i wrócił do biura, gdzie czekała go zaległa robota papierkowa. Zapowiedział, że przyjedzie po nas o wpół do ósmej i pojedziemy razem do jakiejś restauracji.

Kiedy weszliśmy do holu, przed recepcją stał porucznik Randy Disher. Kołnierz marynarki miał wysoko podniesiony, na głowie miał czapkę baseballową z napisem PARIS, a na nosie czarne okulary przeciwsłoneczne. Wyglądał jak gwiazdor filmowy, który chce się wślizgnąć do hotelu incognito, co, rzecz jasna, wyróżniało go jeszcze bardziej, ponieważ nikt, kto chce zachować incognito, nie ubiera się w taki sposób, poza gwiazdami filmowymi.

- Cześć, Randy. Jak leci? - zapytałam.

- Cii... Ściągniesz tłumy - powiedział Disher i pociągnął mnie szybko w stronę baru, gdzie usiedliśmy przy ladzie.

Stottlemeyer i Monk poszli za nami.

- Chyba nie ma nic nadzwyczajnego w tym, że w hotelowym holu wita się dwoje przyjaciół - powiedziałam zdziwiona. — Nawet we Francji.

- Nic nie rozumiesz. — Disher zniżył głos. — Jestem gwiazdą rocka.

Zaśmiałam się.

- Masz chyba jakieś urojenia w związku ze zmianą czasu.

- Naprawdę.

Odwróciłam się do recepcjonistki, tej samej kre-dowobladej kobiety o aparycji ducha, która dwa dni temu meldowała nas w hotelu.

- Słyszała pani o kimś takim jak Randy Disher? - zapytałam.

Kobieta znieruchomiała.

- O ile wiem, jest to mężczyzna, z którym pani właśnie rozmawia.

- Ale słyszała pani o nim wcześniej?

- Nie - odparła. Odwróciłam się do

Dishera.

- Cóż, chyba zmyliło ją twoje przebranie.

- Jestem kultową postacią wśród inteligencji - upierał się Disher.

- Skąd takie przekonanie? - zapytał kapitan Stottlemeyer.

- Inspektor Guy Gadois - odpowiedział Disher.

- On tu jest inteligencją?

- Jest wokalistą w jednej z kapel powstałych na moją cześć.

- O, to takich kapel jest więcej niż jedna? - zapytał kapitan.

- Są w wielu miastach Francji - odpowiedział Disher.

- Swoją grupę nazwał Guy Gadois Project.

- Przecież nagrałeś tylko jedną piosenkę - stwierdziłam.

- Jeśli można to nazwać piosenką - dodał Stottlemeyer.

- Dla dzisiejszego pokolenia to jak *Schody do nieba* — powiedział Disher.

- Co to jest dzisiejsze pokolenie? - zapytał zainteresowany Monk.

Disher pokazał kciukiem za siebie.

- Sami możecie zobaczyć dzisiaj wieczorem. Spotykamy się wszyscy na obiedzie w najmodniejszym paryskim klubie nocnym. Możecie wejść jako moja świta.

- Czy między piosenkami udało wam się trochę popracować? - zapytał kapitan.

- Załatwiliśmy gości i personel w *Toujours Nuit*. Nikogo nic nie łączyło z żadną z ofiar - odrzekł porucznik. - Ja sprawdzałem w Stanach, a Gadois wziął na siebie Europę.

- Technikom udało się coś ustalić?

- W mieszkaniu Aimée Dupon i na klawiaturze jej komputera znaleźli mnóstwo odcisków palców Nathana Chalmersa.

Nie bardzo wyobrażałam sobie, do czego Chalmers mógł używać komputera Aimée. Moje radio z budzikiem miało prawdopodobnie większą moc przeliczeniową niż ten stary kloc.

- Było w ogóle coś użytecznego w tym komputerze?

- dociekał Stottlemeyer.

- Wnętrze - odparł Disher.

- Wiesz, co mam na myśli — powiedział Stottlemeyer.

- Ja nie mam na myśli tego, co pan ma na myśli - wyjaśnił Disher. - Ja naprawdę mam na my-

śli wewnątrz. Obudowa komputera to pięcioletni rupieć, ale w środku był istny majstersztyk. Pięć gigabajtów pamięci RAM, pięćset giga na twardym, grafika z najwyższej półki i karta bezprzewodowa, której używał do podkradania sygnału z niezabezpieczonego routera w sąsiednim budynku. Ponadto znaleźliśmy w mieszkaniu twardy dysk zewnętrzny. Zapewne używał go do przechowywania zapasowych kopii.

- Domyślam się, że obudowę znalazł na śmietniku, ale najlepszego wyposażenia raczej nie—stwierdził Stottlemeyer. — Skąd brał na to pieniądze i do czego był mu potrzebny sprzęt takiej mocy?

- Nie wiemy. Pliki na twardym dysku są zaszyfrowane. Inspektor Gadois polecił technikom zostać po godzinach i je rozszyfrować.

W paru zdaniach streściliśmy Disherowi wszystko, czego się dowiedzieliśmy u Laury Boucher i An-toine'a Bissona, choć udział Monka w tej rozmowie ograniczył się do opisanego regałów z książkami w gabinecie Laury oraz dwóch niezapiętych koszul malarza.

Wiedzieliśmy więc tyle, że Aimée Dupon rzuciła pracę w wydawnictwie i dołączyła do freeganów, gdzie poznała Nathana Chalmersa, alias Boba Smitha, mieszkającego z nimi w paryskich katakumbach i mającego jakieś pomysły na przemiany w ich podziemnym ruchu, które postawiły go w opozycji wobec przywódcy grupy Luciena Barliera.

- Domyślam się, dlaczego Nathan Chalmers dołączył do freeganów i zszedł do podziemi - zaczął Stottlemeyer. — Czy w naszym skomputeryzowanym świecie może być lepszy sposób na uniknięcie policji niż mieszkanie pod ziemią i życie z tego, co się znajdzie na śmietnikach?

- Byłoby lepiej dla niego, gdyby rzeczywiście się rzucił do rozdrabniacza na gałęzie - stwierdził sucho Monk.

- Przyłączając się do freeganów i odrzucając kulturę konsumencką Chalmers nie potrzebował pracy i nie musiał wypełniać żadnych formularzy związanych z zatrudnieniem - ciągnął kapitan. - Trzymał się z dala od kart kredytowych, umów na wynajem, comiesięcznych rachunków, w zasadzie od wszystkiego, co wymagałoby podania nazwiska, nawet fałszywego, i umieszczenia go w jakiejś bazie danych.

- Szczwany lis - przyznał Disher.

- Teraz muszę wiedzieć, jakie miał zamiary wobec freeganów i w jaki sposób wyciągał od nich pieniądze - powiedział Stottlemeyer.

- Jakikolwiek były te zamiary, przyniosły mu śmierć - dodał Disher.

- Jeśli musiał żyć z tego, co znalazł na śmietniku, był zapewne wdzięczny, że ktoś skrócił jego mękę - westchnął Monk.

- Chalmers był zdesperowany i ścigany przez policję - przypomniałam mu. - Po prostu robił wszystko, żeby przeżyć i nie dać się złapać.

- Uciekał przed wyrokiem sądu - orzekł Monk. - Ale myślę, że cela więzienna byłaby czymś bez porównania lepszym niż życie w podziemnej grocie i odżywianie się zepsutym jedzeniem.

- Monk ma rację - zgodził się Disher.

- Dlatego uważam, że Chalmers robił przekręt - powiedział Stottlemeyer. - Żył jak szczur, bo uważał, że na tym zarobi. Jeśli się dowiemy, jaki był jego zamiar, dojdziemy do zabójcy.

- Naprawdę obchodzi pana, kto go tutaj zabił? - zapytałam.

- Niezupełnie. Wykonuję po prostu swoją pracę. Jeśli jednak jest tu ktoś, kto pomógł mu sfigować własną śmierć i uciec do Francji, to zabieram gościa w kajdankach do San Francisco.

- Jestem pewna, że Lucien Barlier powie nam jutro, jakie były zamiary Chalmersa - powiedziałam. - A przynajmniej jak widział przyszłość free-ganów.

- Mam wrażenie, że już jest jutro, a ostatnia noc gdzieś mi umknęła - stwierdził Stottlemeyer, patrząc na zegarek. - Muszę się przespać. Obudźcie mnie na obiad.

Ciężkim krokiem odszedł do windy. Zostałam sama z Monkiem i Disherem.

- Czy ktoś ma ochotę na małą wycieczkę? - za pytałam.

Disher niemal podskoczył z radości.

- Jasne. Nie chcę jednak, żeby stratował mnie tłum fanów, więc w miejscach publicznych zwracaj cie się do mnie Derek, dobrze?

Spojrzałam na Monka.

- Pójdzie się pan przejść ze mną i z Derekiem?

- Pójdę - odpowiedział z entuzjazmem pacjenta, który idzie do dentysty na leczenie kanałowe.

Poszliśmy więc. Ze względu na Randy'ego najpierw poszliśmy pod Łuk Triumfalny, gdzie zrobiliśmy mu parę zdjęć na tle budowli, a potem przeszliśmy się po Champs-Élysées.

- Nie chce mi się wierzyć, że tu jestem - powie dział Disher.

Był podekscytowany jak dziecko. Niemał czuło się strzelającą z niego energię. W taki sposób Paryż działa na ludzi, którzy są tu po raz pierwszy. Tak działał kiedyś na mnie.



Nagle pożałowałam, że nie ma przy mnie Julie, aby razem ze mną mogła oglądać to miasto. Obiecałam sobie, że kiedyś przywiozę ją do Paryża i pokażę miejsca, po których chodzili jej rodzice. Mogłabym jej również pokazać miejsca, w których byłam z Monkiem. Z pewnością zwariowałyby na punkcie makabry w katakumbach.

Kilka metrów przed nami na ławce odpoczywała grupka pracowników miejskiego przedsiębiorstwa oczyszczania miasta, ubranych w kombinezony podobne do tego, jaki niedawno miał na sobie Monk. Obok ławki stał zaparkowany dziwaczny zielony pojazd, który wydawał się połączeniem samobieżnej kosiarki do trawy i zamiatarki do czyszczenia ulic.

Monk zatrzymał się, aby podziwiać pojazd, strzelając przy tym oczami, jakby oglądał sportowe ferrari.

Wehikuł miał sylwetkę przyczajonego szczeniaka, gotowego do skoku i zabawy. Przód był nisko zawieszony, miał podczepiony wylot odkurzacza, a z jego boków wychodziły dwa łukowe ramiona z obrotowymi szczotkami, które wyglądały jak szczenięce łapki. Tył natomiast był podniesiony wyżej, było tam siedzisko, motocyklowa kierownica i zbiornik na śmieci podobny do worka przy kosiarce, ale dużo większy. Przy jednym wisiała ponadto jakaś teleskopowa tuba ssąca, przypominająca słoniową trąbę, a przy drugim zwykła miotła z szuflą do zgarniania trudno dostępnych nieczystości, z którymi standardowe wyposażenie *motocrotte* nie umiało się uporać.

Monk odwrócił się do jednego ze śmieciarzy, który siedział na ławce, gryząc bagietkę z serem, któ-

raż pociął na kawałki i rozłożył na serwetce, aby koledzy również mogli się posilić.

- *Excusez-moi monsieur* - zagadnął Monk. - Co to za cudowna machina i do czego służy?

Naturalnie Monk zakładał, że ponieważ on mówi po angielsku, wszyscy inni również posługują się tym językiem. Wiedziałałam, jak może to urazić Francuzów. Ale zanim zdążyłam przeprosić i przetłumaczyć pytanie Monka, smieciarz odezwał się poprawnym angielskim.

- To *motocrotte* — powiedział. — Zamiatka, wsysa i myje. Nawet rozpyla odświeżacz powietrza.

Nie przetłumaczyłam Monkowi nazwy tego pojazdu. Stwierdziłam, że lepiej będzie, jeśli się nie dowie, że to prześmiewcza nazwa, oznaczająca mniej więcej tyle, co „motorynka do zbierania psich odchodów”.

- Jeździcie tym? - zapytał olśniony Monk.

- Codziennie od rana do wieczora, to w jedną to w drugą stronę ulicy - odparł mężczyzna. — Jestem *motocrotteur*.

- Ależ z pana szczęściarz.

- Tak pan myśli? - zdziwił się mężczyzna.

- Wykonuje pan pracę Boga - stwierdził Monk.

- Pewnie dlatego niewiele ciupciam - stwierdził, wywołując u kompanów salwę rechotliwego śmiechu. - Kobiety myślą że jestem wysłannikiem Boga. A ja zawsze sądziłem, że to dlatego, że zbieram z ulic gówna.

- Żywię dla waszej pracy najwyższy szacunek. Chronicie panowie miasto przed chorobami. Jesteście prawdziwymi spadkobiercami pierwszych paryskich sił miejskiej policji - mówił wzruszony Monk. - Nie ma pan nic przeciwko temu, żebym usiadł za kierownicą *motocrotte*?

Śmieciarz wyraził zgodę wspaniałomyślnym machnięciem ręki.

- Nie krępuj się pan. Możesz pan jechać na wy cieżkę.

Monk usiadł za kierownicą z nabożną czcią. Nie trzeba było eksperta, żeby się zorientować, jak uruchomić silnik i ruszyć przed siebie. Monk przekręcił kluczyk, przycisnął pedał gazu i przejechał dwa metry. Obejrzał się na śmieciarza.

- Mógłbym coś wyczyścić? - zapytał.

- Możesz pan sobie czyścić cały kwartał — odparł ze śmiechem mężczyzna. - Odwał pan moją robotę, a ja będę siedział i popijał kawkę.

Monk popatrzył na niego rozszerzonymi oczami.

- Naprawdę? To byłoby piękne.

- Co pan? Serio?

- A pan serio? - zapytałam śmieciarza.

Mężczyzna obejrzał się na kolegów, którzy wzruszyli ramionami. Potem odwrócił się do mnie.

- To jakiś pomylenieć, tak?

- Możecie mu zaufać - odezwał się Disher, pokazując im odznakę policyjną z San Francisco. - Jest z nami.

Śmieciarz przymrużył oczy, patrząc na odznakę, ale Disher zamknął ją szybko i wsunął z powrotem do kieszeni.

- Zapewne zauważyliście, że nazywam się Randy Disher, ale ja nie jestem tym Randym Disherem. To tak, jakby ktoś się nazywał James Bond. Mnóstwo jest takich ludzi, ale przecież żaden z nich nie jest tym Jamesem Bondem. Są po prostu zwykłymi Jamesami Bondami. Ja jestem zwykłym Randym Disherem.

Śmieciarz patrzył długo na Dishera. Obawiałam

się, że swoim wystąpieniem Disher odwiódł już śmieciarza od decyzji, by pozwolić Monkowi przejechać się chodnikowym odkurzaczem.

Śmieciarz skinął głową w kierunku Monka.

— Tamten może jeździć *motocrotte*, ile chce. — Po tem wskazał na Dishera. - Ten nie.

Monk uśmiechnął się szeroko.

— *Merci beaucoup*. Na pewno pana nie zawiodę. - Przeniósł wzrok na nas. — Możecie sobie iść. Dam sobie radę. Będzie dobrze. Więcej niż dobrze. Super dobrze. *Au revoir*.

Monk włączył obie obrotowe szczotki i po chwili zielony pojazd odjechał z cichym pyrkaniem. Nie pamiętam, kiedy widziałam Monka bardziej szczęśliwego.

Zostawiliśmy go zatem, aby upiększał paryskie ulice, a sami ruszyliśmy oglądać, co tylko da się jeszcze zobaczyć w ciągu godziny, jaka została do obiadu.

Guy Gadois pokazał Disherowi katedrę Notre--Dame, więc poszliśmy zobaczyć Luwr, wieżę Eiffla i Ogrody Tuileries. Randy był wspaniałym towarzyszem wycieczki, kipiał entuzjazmem i nie stwarzał żadnych problemów. Gdziekolwiek chciałam iść, od razu się zgadzał.

Machinalnie zaczęłam zwracać uwagę na każdy właz do kanału i każdą stację metra, wyobrażając sobie świat pod naszymi nogami. Przyznam, że obraz powstający w mojej głowie bliższy był mitowi Antoine'a Bissona niż rzeczywistości, jaką oglądaliśmy podczas wizyt w kanałach i katakumbach. Cóż, byłam pewnie beznadziejną romantyczką, a może po prostu Paryż tak działa na ludzi.

Kiedy wróciliśmy na Champs-Élysées, panował już mrok, ale chodniki aż były lśniąco czystością.

Monk dostrzegł nas z daleka ze swojej *motocrotte*

i ze smutkiem w oczach zatrzymał pojazd koło śmieciarzy. Panowie siedzieli przy kawiarnianym stoliku, a parę opróżnionych butelek po winie wskazywało, że potrafią sobie umilić czas wolny od pracy.

- Jak poszło, panie Monk? - zapytał Disher.

- Bajecznie. Wyczyściłem Pola Elizejskie - odpowiedział z dumą Monk, zsiadając z wehikułu. - Większość Amerykanów może o tym tylko pomarzyć.

- Teraz na pewno jest pan szczęśliwy, że przyjechaliśmy do Paryża - powiedziałam.

- Jestem nieszczęśliwy — odparł Monk.

- Przed chwilą powiedział pan, że spełniły się pańskie marzenia. Jak może być pan nieszczęśliwy?

- Bo się skończyło. - Monk położył kluczyki do pojazdu na stoliku przed śmieciarzami. - To był jeden z najpiękniejszych dni w moim życiu, Pierre - oświadczył. - Chciałbym, żeby się nigdy nie kończył.

- Ja też, Adrianie - oznajmił Pierre, nieco bełkotliwie po wypiciu zbyt dużej ilości wina. - Zawsze możesz wpaść i u nas popracować.

Monk położył dłoń na sercu

- To wielki zaszczyt.

- Czekaj - zatrzymał go Pierre. - Coś dla ciebie mamy.

Mężczyzna wstał, zdjął z pojazdu miotłę i uroczyście wręczył ją Monkowi.

- Nowa - powiedział. - Nie mieliśmy jeszcze oka zji, żeby z niej skorzystać.

Monk wziął ją ostrożnie do ręki, jakby była ze szczerzego złota.

- Nie mogę... Jej wziąć... - powiedział, lekko się jękając.

- Nalegamy - powiedział stanowczo Pierre, oglądając się na kompanów. - Prawda? - Wszyscy pod-

nieśli w górę kieliszki i uśmiechnęli się. - Od dzisiaj jesteś honorowym Agent de Sanitation de Paris. Monk pochylił głowę.

- Dziękuję. Przyrzekam, że będę stał na straży wartości, które ta miotła reprezentuje, i nigdy nie pohańbię jej dobrego imienia.

Przyłożył miotłę do boku jak żołnierz karabin.

Disher zrobił kilka zdjęć Monka ze śmieciarzami na tle *motocrotte* i cała nasza trójka ruszyła w drogę powrotną do hotelu.

- Ilu Amerykanom było dane przywieźć do domu najprawdziwszą miotłę paryskiego przedsiębiorstwa oczyszczania miasta? - zapytał Monk.

- Myślę, że można śmiało powiedzieć, iż znalazł się pan wśród garstki pierwszych wybrańców - odparłam.

- To wielki dzień. Może nawet historyczny - cieszył się Monk.

- Z całą pewnością-zapewniłam go.

- Powinienem skontaktować się ze Smithsonian Institution w Waszyngtonie.

- Po co? - zapytał Disher.

- Na pewno będą chcieli włączyć miotłę do swoich zbiorów - wyjaśnił mu Monk. - Co prawda to ja ją dostałem, ale należy do całego narodu.

- Myślę, że przez jakiś czas powinna należeć do pana - stwierdziłam.

- Może masz rację.

- Wiem, że mam rację - dodałam. - Później mi pan podziękuje.

Uśmiechnął się. Powiedziałam mu to, co chciał usłyszeć, i bardzo to go uszczęśliwiło. Był to jeden z nielicznych sposobów na to, aby Adrian Monk był przez chwilę taki jak każdy inny człowiek.

## Monk idzie do nocnego klubu

Kapitan Stottlemeyer może nieco odespał trudy podróży, ale nie powiedziałabym, że robił wrażenie wypoczętego, kiedy dołączył do nas w holu. Oczy miał zaczerwienione i wciąż wyglądał mało przytomnie, chociaż się zdrzemnął, wziął natrysk i przebrał w świeże rzeczy.

- Piękna miotła - powiedział do Monka. - Pamiątka?

- To oficjalny sprzęt przedsiębiorstwa oczyszczania miasta - oznajmił uroczyście Monk.

- Myślałem, że to po prostu miotła - zdziwił się Stottlemeyer.

- Dla niewyćwiczonego oka być może - odparł Monk, potem spojrzął na mnie. - Jak myślisz, zmieści się w sejfie w naszym pokoju?

- Nie mamy w pokoju sejfu, panie Monk. Ale jestem pewna, że obsługa hotelu chętnie ją panu przechowa - odpowiedziałam.

Monk wziął miotłę do recepcjonistki.

- Czy byłaby pani uprzejma zabezpieczyć tę miotłę do czasu naszego powrotu z obiadu?

- Oczywiście - odpowiedziała recepcjonistka i oparła miotłę o ścianę za plecami.

- To jest według pani dobry sposób na jej zabezpieczenie? Stoi na widoku wszystkich, aż się prosi, żeby ukradł ją złodziej.

- Kto chciałby ukraść miotłę? - zdziwiła się recepcjonistka.

— To nie jest zwykła miotła — wtrącił Stottlemeyer.

- Można na niej latać?

- Może ją pani zamknąć na klucz? - zapytał Monk.

— Schowam ją do pańskiego pokoju - odparła recepcjonistka.

W tym momencie zajechał nadinspektor Le Roux, który zawiózł nas do klubu nocnego w piwnicy jakiegoś budynku na lewym brzegu Sekwany. W okolicy było mnóstwo księgarń, kafejek i studentów taszczących plecaczki lub naręcza podręczników.

Wystrój lokalu przeniósł nas do innej epoki. W wejściu wisały kotary z koralików, a na ścianach stylowe stare plakaty z koncertów Serge'a Gainsbourga, Jane Birkin, Johnny'ego Hallydaya, Françoise Hardy, Jacques'a Dutronca, Sylvie Vartan, Joe Dassina, Claude'a François i wielu innych ikon piosenki francuskiej lat sześćdziesiątych i siedemdziesiątych.

W niewielkim klubie przebywało około dwudziestu pięciu osób, nie licząc barmana i kelnerki. Zaprowadzono nas do dwóch małych stolików przed samą sceną.

Kiedy usiedliśmy, spostrzegłam ze zdziwieniem, że poza Le Roux i Stottlemeyerem każdy mężczyzna przypomina Dishera.

W tym samym momencie zorientowałam się również, że Monk wciąż stoi w wejściu przy kurtynie i liczy koraliki. Wstałam i przyciągnęłam go do naszych stolików.

— Zauważył pan coś osobliwego u mężczyzn w tym klubie? — zapytałam.



Zanim Monk zdążył odpowiedzieć, odezwał się Disher.

- Wszyscy są niedościgłym wzorem czystej męskości.

- Zabawne - powiedział Stottlemeyer. - Bo zdawało mi się, że są podobni do ciebie.

- Właśnie to mówię.

- Wszyscy mają tak samo przycięte włosy, podobną budowę ciała i są podobnie ubrani - stwierdziłam i dodałam z uśmiechem: - To zlot sobowtórów Brada Pitta, czy co?

- Raczej Toma Cruise'a z *Ryzykownego interesu* — powiedział Disher.

Jak najbardziej poważnie.

Le Roux otworzył menu i nachmurzył się.

- Nie rozumiem, dlaczego Gadois wybrał ten klub - powiedział. - W Paryżu jest mnóstwo lepszych miejsc, gdzie można smacznie zjeść i dobrze się zabawić.

- Nie powiedział panu? - zapytałam.

- Czego nie powiedział?

- Będzie się panu podobało - zapewnił go Stottlemeyer.

W tej chwili, jak na zawołanie, podniosła się kurtyna i na scenę wyszła trzyosobowa kapela. Gitarzystą i wokalistą był inspektor Guy Gadois. Bez zbędnych wstępów Gadois zaczął od mocnego uderzenia, czyli francuskiej wersji piosenki Randy'ego: *Niepotrzebna mi odznaka*. Jedyne zmiany w tekście, jakich dokonał, było zastąpienie w refrenie frazy „Niepotrzebny mi kapitan” frazą „Niepotrzebny nadinspektor” oraz „wąsiska” „kozią bródką”.

Nadinspektor Le Roux i kapitan Stottlemeyer

krzywili się przez cały występ, chociaż, jak sędzę, Stottlemeyer był bardziej rozbawiony niż poirytowany. Jestem całkiem pewna, że w kącikach jego zmuszonych do grymasów ust czaił się dobrotliwy uśmiech.

Kiedy występ dobiegł końca, wszyscy zaczęli bić brawo, oczywiście poza Le Roux i Stottlemeyerem.

Gadois podniósł rękę, aby uciszyć tłum, a potem oznajmił po francusku, że ma dla gości specjalną niespodziankę.

*- Randy Disher est dans la maison!*

Nad stolikami poniosło się jedno gromkie westchnienie zachwytu. Kapela znowu zaczęła grać.

Disher wstał i energicznie zrzucił czapeczkę, okulary i marynarkę, jakby był Clarkiem Kentem przemieniającym się w Supermana. Rozległy się kolejne westchnienia, gdy ludzie go dostrzegli, a kilka młodych kobiet zapiszczało zmysłowo.

Ja do nich nie należałam.

Disher wskoczył na scenę, chwycił gitarę, która czekała na niego na stojaku, i wśród głośnego aplauzu, wydzierając się niemilosiernie, zaczął śpiewać piosenkę po angielsku, podchwytyjąc ją po jednej z ostatnich zwrotek.

*Nazbyt długo nasz stójkowy po zaułkach ciemnych tkwił.*

*Teraz koncert Misiu ma, nowiuteńki złapał rytm.  
Rock-and-rolla gra, w klubie wiedzie prym.*

*Dziś gitara mu odznaka, wołność, muza, git...*

Kobiety podbiegły do sceny i rzuciły w Dishera swoimi majtkami. Randy złapał jedną parę i otarł nią sobie czoło.

Monk zerwał się z krzesła i zażądał kategorycznie, aby nikt nie zdejmował spodniej bielizny i w żadnym razie nie pozbywał się trwale swojej własności. Ale jego głos utonął w jazgocie muzyki i pisków.

Disher miał swoje pięć minut, ale mnie wydawało się to zupełnie surrealistyczne, jak jakiś koszmarny odcinek *Strefy mroku*, choć myślę, że Rod Ser-ling napisałby lepszą piosenkę. Zapewne lepiej potrafiłby ją też zaśpiewać.

Stottlemeyer ukrył twarz w dłoniach, chyba bardziej ze wstydu niż z jakiegokolwiek innego powodu. Mogłam się tylko domyślać, że występ porucznika Dishera niekoniecznie przedstawiał Departament Policji San Francisco w takim świetle, w jakim kapitan chciałby go przedstawić Francuzom.

Nadinspektor Le Roux wydawał się nie mniej zdetonowany. Nie sądzę, aby w takim przedstawieniu ziściło się jego pragnienie zaimponowania pełnym profesjonalizmem stróżom prawa z zagranicy.

Jednak Disher i Gadois byli w siódmym niebie, nieświadomi wrażenia, jakie wywarli na przełożonych swoim występem. Śpiewali z werwą, gardłowo i charkliwie wykrzykując tekst.

*Niepotrzebna słuwa mi, żebym poczuł silny się.*

*Niepotrzebny mi kapitan, grzmiący na mnie  
cały dzień.*

*Niepotrzebne mi wąsiska i protekcyjnalny ton.*

*Nikt już nie jest mi potrzebny, wolny jestem,  
ot i co...*

Disher zdarł z siebie koszulę i rzucił ją w tłum. Tego już było Monkowi za wiele. Mnie też.

Dobrze, że nie jeszcze nie zjedliśmy, bo mogłabym na powrót zobaczyć swój obiad.

Monk wybiegł z klubu, a ja wyszłam za nim. Czekał na mnie na ulicy.

- Przepraszam - powiedział. - Ale nie potrafię jeść w lokalu ze striptizem.

- To nie jest lokal ze striptizem, panie Monk.

- W takim razie dlaczego robili striptiz?

- Bo im odbiło.

- Może to jakiś francuski zwyczaj? - zastanawiał się głośno Monk. - Może w taki sposób klaszczą?

- Nie sądzę.

- Niedobrze mi, ale nadal jestem głodny.

- Ja również — powiedziała.

- Mógłbym cię zaprosić na *croque monsieur*?

- Oczywiście - odparłam. - Bardzo mi się taki pomysł podoba.

- Najchętniej do lokalu, w którym goście nie zdejmują spodniej bielizny.

- To się chyba da załatwić.

Po drugiej stronie ulicy zobaczyliśmy kilka kawiarenek, z których w każdej podawano *croque monsieur*. Usiedliśmy w jednej z nich przy oknie i złożyliśmy zamówienie.

Kiedy jedliśmy w błogiej ciszy, zauważyłam, że po raz pierwszy, odkąd doktor Kroger wyjechał na wakacje, a my pojechaliśmy za nim do Niemiec, Monk wydaje się naprawdę zadowolony. Zgoda, nie przyjechaliśmy do Europy w najbardziej sprzyjających okolicznościach. Monk był załamany nerwowo, a zaraz następnego dnia, jakby tego było mało, spostrzegł na ulicy mężczyznę, który, jak sądził, jest odpowiedzialny za śmierć jego żony. A kiedy w końcu rozwiązaliśmy nasze problemy,

rozwikłaliśmy zagadki kilku morderstw i przeżyliśmy przygodę, której o mały włos nie przypłaciliśmy śmiercią, zaszantażowałam go i zmusiłam do podróży do kolejnego dziwnego, obcego kraju. Nic dziwnego, że humor mu nie dopisywał.

Dopiero teraz, kiedy włączył się do dochodzenia w sprawie nowego zabójstwa, kiedy spotkał się z przyjaciółmi z San Francisco i kiedy oczyścił trochę paryskich ulic, wreszcie robił wrażenie w pełni zrównoważonego i szczęśliwego.

W każdym razie na tyle zrównoważonego i szczęśliwego, na ile potrafił.

Monk znalazł się wreszcie w przyjaznym środowisku, otoczony był znajomymi twarzami w obcym miejscu i robił to, co potrafił najlepiej. Nie było dla niego lepszego sposobu na zwiedzanie obcych krajów - chyba że przebywałby tam również doktor Kroger, a Monk miałby ze sobą własną pościel i komplet swoich naczyń kuchennych.

Pomyślałam, że wreszcie może się cieszyć Paryżem.

I być może, tylko być może, ja również zacznę się nim cieszyć.

Po obiedzie pojechaliśmy metrem od stacji Saint-Michel do stacji Charles de Gaulle Étoile, skąd już tylko jedna przecznicza dzieliła nas od hotelu.

W wagonie metra Monk usiadł, zaciągnął rękawy na dłonie i chwycił się mocno poręczy, zaciskając zęby, jakby jechał górską kolejką w wesołym miasteczku. Patrząc na jego twarz i słysząc jego zduszone krzyki, ktoś mógłby pomyśleć, że to wspina się w górę, to spadamy na łeb na szyję, a nie jedziemy prosto i spokojnie, nie pokonując nawet łagodnego łuku.

Na całe szczęście mieliśmy dla siebie prawie cały

wagon. Kilka osób, które jechało razem z nami, przezornie trzymało się z daleka od Monka, co bardzo mu odpowiadało.

Podróż nie trwała długo. Na stacji Charles de Gaulle Étoile wyszliśmy schodami prosto na Champs--Elysées. Musieliśmy obejść Łuk Triumfalny, aby dojść do Avenue Carnot.

- Nie możemy dopuścić, aby kapitan Stottle-meyer i porucznik Disher dowiedzieli się o naszej hańbie - powiedział Monk.

- Może mi pan przypomnieć, o której hańbie mowa?

- Mieszkamy wspólnie w jednym pokoju hotelowym.

- Nie ma powodu do obaw. Dobrze nas znają. Co ważniejsze, dobrze znają pana. Na pewno nie pomyślą, że między nami może się dziać coś niestosownego. Do głowy im to nie przyjdzie.

- Nikt nie może zobaczyć, jak razem wchodzimy do pokoju - upierał się Monk. - Ty będziesz jeździć windą, ja będę chodzić schodami. Nigdy w tym samym czasie. Zanim wyjdiesz z pokoju, sprawdź, czy korytarz jest wolny. Za wszelką cenę staraj się nie wypowiadać numeru naszego pokoju w obecności innych.

- Niesądzę, aby to był dobry pomysł, panie Monk. Jeśli zaczniemy się dziwnie zachowywać, wzbudzimy niepotrzebne podejrzenia. Wszyscy zaczną myśleć, że coś jest na rzeczy, podczas gdy nic nie ma.

- Chyba nie chcesz, aby ludzie myśleli, że jesteś kobietą wyzwoloną - stwierdził Monk. - Albo że mnie wykorzystujesz.

- Dziękuję za troskę, panie Monk. To doprawdy rozczulające.

Kiedy skręciliśmy w Avenue Carnot, z daleka zobaczyliśmy błyszczący seledynowo *motocrotte*, stojący na chodniku pod latarnią uliczną przed wejściem do naszego hotelu.

Kiedy podeszliśmy bliżej, zauważyłam, że *motocrotte* jest umyty, wywoskowany i wypolerowany.

- Przepiękna maszyna - szepnął Monk. - Dzieło sztuki.

- Może powinnam zamienić na nią mój samochód.

- Wspaniały pomysł - ucieszył się Monk.

- Ma tylko jedno siedzenie.

- Nie szkodzi. Gdybym miał takie cacko, kierowca byłoby mi niepotrzebny. Jeździlibyśmy osobno, każde swoim pojazdem, zawsze w tandemie, szeroką, pustą drogą, jak w filmie *Easy Rider*.

Wątpię, aby Monk kiedykolwiek oglądał ten film. Wiedział tylko, że jego bohaterowie jeździli po szosach motocyklami.

- Tyle tylko, że jeździlibyśmy szerokim, pustym chodnikiem - zauważyłam.

- Czyszcząc go w czasie jazdy, wdychając upajającą woń środków dezynfekujących - mówił Monk. - Wyobraź sobie tę wolność.

- Nie wydaje mi się, aby te pojazdy można było kupić w Stanach.

- Nie niszczyć marzeń.

- Przepraszam.

Recepcjonistka przywołała nas ruchem ręki. Kiedy podeszliśmy, wręczyła Monkowi kopertę i duże pudełko.

Najpierw otworzył kopertę. W środku znajdowała się kartka i pęk kluczyków. Monk przeczytał kartkę.

- To od Pierre'a. Wyraża zgodę, abym mógł ko-  
rzystać z *motocrotte* podczas całego mojego pobytu  
tu w Paryżu. Za darmo. W zamian prosi tylko, że  
bym przejechał się nim raz, dwa razy dziennie po  
Champs-Élysées.

Innymi słowy, Pierre chciał, żeby Monk odwał za  
niego brudną robotę.

- Ale pan ma na głowie zagadki dwóch morderstw -  
przypomniałam mu.

- Wiem. Ale przecież jakoś muszę się poruszać po  
mieście, prawda? To o wiele lepsze niż samochód. Czy  
limuzyna.

Monk otworzył pudełko i wyjął z niego nowiutki  
kombinezon ochronny. Pierre pomyślał o wszystkim.

- Aaa... - wyszeptał Monk.

- Panie Monk, przecież ten cały Pierre pana  
wykorzystuje - powiedziałam.

- *Au contraire* — odpowiedział Monk.



## Monk i nurkowanie w śmietnikach

Zanim położyliśmy się spać, Monk poprosił, żebym pokazała mu na planie miasta, gdzie leży siódma dzielnica i okolica, w której zamierzaliśmy następnego dnia rozpocząć poszukiwania Luciena Bar-lier'a, aby bez problemu mógł nas znaleźć.

Miał zamiar wstać wcześniej rano, zrobić na *motocrotte* rundkę po Champs-Élysées, a potem do nas dołączyć.

Mogłam tylko zgadywać, dokąd się udamy następnego dnia, ponieważ nie mieliśmy okazji, aby umówić się z nadinspektorem Le Roux i kapitanem Stottlemeyerem, gdzie i o której godzinie mamy szukać freeganów.

Sama więc wybrałam jakieś miejsce, postanawiając, że nad ranem zdam wszystkim sprawę z powstałej sytuacji. Po prostu nasz dzień zaczniemy właśnie tam, czy to się będzie kapitanowi podobało czy nie.

Monk położył się spać z uśmiechem na ustach, oparłszy swoją oficjalną miotłę o ścianę obok łóżka. Dobrze chociaż, że nie spał z nią w łóżku, tuląc ją do siebie jak pluszowego misia.

Jak Monk powiedział, tak zrobił, i kiedy obudziłam się następnego dnia o siódmej rano, już go nie było. Wzięłam natrysk, ubrałam się i postanowiłam wyjść na śniadanie. Pomyślałam, że wrócę oko-

ło dziewiątej i poczekam w holu, aż pokaże się Stottlemeyer lub do mnie zadzwoni.

Kiedy jednak zeszałam do holu, Stottlemeyer już na mnie czekał, siedząc w klubowym fotelu, popijając kawę i czytając międzynarodowe wydanie „USA Today”.

- Dzień dobry, kapitanie. Dobrze pan spał?

- Bardzo dobrze. Poszedłem spać o północy, a obudziłem się o czwartej rano.

- Co pan robił przez ostatnich parę godzin?

- Poszedłem na spacer. Ulice należały tylko do mnie

- odpowiedział. - Jeśli nie liczyć Monka.

- Widział go pan? - zapytałam.

- Trudno go było nie zauważyć - odparł kapitan. -

Czy wy śpicie w jednym pokoju?

- Tak - przyznałam. - Ale niech mu pan nie mówi, że pan wie. Potwornie się wstydzi.

- Czego? Przecież wiem, że nic się między wami nie dzieje. On jest Monkiem, a ty nie jesteś zainteresowana.

- W najmniejszym stopniu - dodałam, może nieco zbyt mocnym głosem, zważwszy na to, że mówię rzecz oczywistą.

- No i jak wam się układa?

- Spał pan kiedyś z Monkiem w jednym pokoju? — zapytałam.

Stottlemeyer podniósł rękę.

- Nie musisz mówić nic więcej - oznajmił. - Masz moją szczerą sympatię.

Zaproponowałam kapitanowi, aby poszedł ze mną na śniadanie, i zaprowadziłam go do kawiarenki, w której jadłam z Monkiem dzień wcześniej. Po drodze zapytałam, jak potoczyły się wypadki w klubie po naszym wyjściu.

- Kapela zagrała kilka bisów.
  - Ale oni znają tylko jedną piosenkę - zdziwiłam się.
  - Dlatego nie zostaliśmy tam długo. Le Roux zabrał mnie do pobliskiej restauracji. Spalaszowaliśmy parę steków, wypiliśmy trochę wina, porozmawialiśmy o pracy, aż w końcu głowa zaczęła mi opadać we frytki z niewyspania. Polubiłem Le Roux. Ostry gość.
  - Niesamowite, że Randy Disher Project ma w Paryżu zagorzałych fanów, prawda? - spytałam.
- Stottlemeyer wzruszył ramionami.
- Dziwniejsze rzeczy się dzieją na świecie.
  - Tak? Ciekawe jakie.
  - Dzisiaj o świecie widziałem Adriana Monka w Paryżu. Miał na sobie kombinezon śmiecia-rza i czyścił jakąś maszyną chodnik na Champs--Elysées.
  - Fakt. Poddaję się.

Przy croissantach, ciastach i kawie opowiedziałam kapitanowi o planach, które mieliśmy na dzisiaj z Monkiem, a Stottlemeyer opowiedział mi o planach, jakie powziął na dzisiaj z nadinspektorem.

Le Roux i Gadois zostaną w biurze, aby przeanalizować zebrane dotychczas dane, a Disher zostanie z nimi, żeby im pomóc. Stottlemeyer, Monk i ja sami porozmawiamy z Lucienem Barlierem i free-ganami.

Le Roux wyszedł z założenia, że jeśli pokażemy się u freeganów bez asysty policji, to może będziemy mieli więcej szczęścia. Po południu spotkamy się wszyscy w gabinecie nadinspektora, aby porównać zebrane informacje i wspólnie ustalić następne kroki w śledztwie.

Nie miałam zastrzeżeń, jeśli tylko Monk nas odnajdzie.

- Potrafi przecież czytać mapę - powiedział Stottlemeyer.

- Niewykluczone jednak, że nie będzie chciał — stwierdziłam. - Tak bardzo pragnął zająć się śledztwem, a teraz, kiedy wreszcie może to bez przeszkód robić, wydaje się bardziej zainteresowany sprzątaniami ulic.

- Zawsze coś odwróci uwagę Monka - przekonywał Stottlemeyer. — Mimo to nie przeoczy najdrobniejszego szczegółu, czy mu się to podoba czy nie. Robi to mimowolnie. W pewnym momencie wszystkie detale nagle układają mu się w głowie w jedną całość. Poruszy niezgrabnie ramionami, wskaże kogoś placem, powie: „To ten”, i będzie miał rację.

- W takim razie co my mamy robić?

- My możemy sobie zamówić kolejnego croissan-ta - odparł kapitan.

- Nie powiem nie.

Dobrze, że się najedliśmy przed wyruszeniem na rue Cler, bo w przeciwnym razie stracilibyśmy ze dwie cenne dla śledztwa godziny na wałęsanie się uliczkami i objadanie różnymi smakołykami.

Rue Cler łączyła prostopadle rue Saint-Dominique z rue de Grenelle. Dla nianieek, szefów kuchni i gosposi domowych z pobliskich kamienic było tu wszystko co trzeba, aby sprawnie zrobić codzienne zakupy dla swoich zamożnych i wpływowych pracodawców.

Po obu stronach brukowanej ulicy ciągnęły się najsztywniej s ze w Paryżu kawiarenki, cukier-

nie, sklepiki z serami, wędliniarnie, małe markety i piekarnie.

Szliśmy z kapitanem Stottlemeyerem środkiem ulicy, zamkniętej dla ruchu kołowego, i wszystkimi zmysłami chłoniliśmy widoki i zapachy.

Na wystawie przed jednym z marketów owoce i jarzyny były tak idealne, czyściutkie i ułożone w równiutkie rzędy, że Monka rozpierałaby duma. Wszyscy sprzedawcy mieli na sobie pięknie odprasowane fartuchy, nieskażone najmniejszą plamką.

Chrupkie bagietki w piekarniach złożyły się w koszach wystawowych niczym bukiety kwiatów. Miałam ochotę zabrać je wszystkie ze sobą.

We włoskich delikatesach nęcił szeroki, pięknie udekorowany asortyment oliwek, mięs, makaronów i najlepszych oliw z oliwek. Przed sklepem stało nawet parę drzewek oliwnych. Miałam ochotę posmakować wszystkiego, a przecież oliwek nie znoszę.

Po chwili minęliśmy *fromagerie*, coś, czego na oczy nie widziałam w San Francisco. Koła, trójkąty i kule najróżniejszych serów pieściły oko, ale zapach wydawał się gorszy od woni rozkładającego się ciała. Zauważyłam jednak, że najbardziej smrodliwe sery przyciągały najwięcej klientów, którzy pochylali się nad nimi i wdychali z zachwytem ich aromaty.

Obok sklepu z serami znajdował się urokliwy sklepik ze specjalami dla smakoszy, gdzie sprzedawano najbardziej wyszukane potrawy, między innymi delikatne steki, przepiórki nadziewane *fois gras*, homary, różne rodzaje kawioru i najlepsze wina. Domyślam się, że była to francuska wersja zestawu „Happy Meal”. Byłaby również moja, gdybym miała zasobniejszy portfel.

Ryby wystawione w sąsiedniej *poissonnerie* wy-

glądały tak, jakby wyrzeźbił je ten sam artysta, który stworzył ogladaną przez nas wcześniej wystawę owoców i jarzyn. Były tak piękne i kształtne, tak doskonale odzwierciedlały rozmaite gatunki morskiej fauny, że ludzie powinni je kupować nie do jedzenia, lecz do dekorowania mieszkań.

Ciastka, tarty, wypieki w witrynie Lenôtre, jednej z najbardziej eleganckich cukierni we Francji, także wyglądały jak małe dzieła sztuki, ale nie potrafiłam się im oprzeć. Musiałam wejść do środka i zjeść jakieś ciastko.

No dobrze, dwa ciastka.

Kobiety za ladą ubrane były na biało, na rękach miały rękawiczki, a po łakocie sięgały z taką ogromną ostrożnością i skupieniem, jakby brały do ręki chińską porcelaną lub nitroglicerynę.

Zanim zaczęłam się delektować kawałkiem tortu czekoladowego i tartą truskawkową (jeden szalowy deser to dla mnie stanowczo za mało), poprosiłam Stottlemeyera, aby dla potomności zrobił mi z nimi zdjęcie. Powiedziałam kapitanowi, że może kawałek ugryźć, ale wykazał się niespotykaną siłą woli i odmówił. Zupełnie tego nie rozumiałam.

- Niech mi pan nie mówi, że woli pan batoniki Twinkie.

- Nie. Te ciastka wyglądają wspaniale.

- Więc niech pan spróbuje - zachęcałam. - To Paryż. Tu człowiek używa życia.

Te dwa zdania powinny być hasłem reklamowym miasta.

Stottlemeyer pokręcił głową.

- Nie lubię przesłuchiwać ludzi z buzią umazaną czekoladą i klejącymi się od cukru palcami. Zresztą muszę dbać o wagę.

- Dlaczego? - zdziwiłam się. - Nie jest pan wcale gruby.

- Jestem singlem - odparł. - Wystarczy, że znalazłem się po złej stronie czterdziestki, a włosów mam więcej pod nosem niż na głowie. Jeśli złapię brzuszek, będę mógł zapomnieć o kobietach.

- Kobiety patrzą nie tylko na brzuch mężczyzny.

- Bywa jednak, że tylko to mogą zobaczyć.

- Wygląd nie jest najważniejszy. Wrażliwość i poczucie humoru znaczą o wiele więcej. Kobiety nie są tak powierzchowne jak mężczyźni.

- Ha. To powiedz mi coś o tym grubym i łysym facecie, z którym się umówiłaś na randkę, wrażliwym i dowcipnym, a do tego nie milionerze.

Nigdy nie umówiłam się z milionerem bez względu na jego kształty i rozmiary. Raz umówiłam się z trędowatym, choć prawda, że ten akurat był człowiekiem sukcesu. Skończyło się tak, że rzucił mnie dla modelki reklamującej strój kąpielowy „Hawajskie tropiki”.

- Sugeruje pan, że kobiety nie zwracają uwagi na wygląd mężczyzny, jeśli ma on pieniądze - powiedziałam.

- Owszem. Za to nie znajdziesz wielu facetów, którzy polecana mało atrakcyjną kobietę, bez względu na to, jak bardzo byłaby nadziana.

- Ja nie zaglądam mężczyznom do portfela.

- To gdzie zaglądasz?

- Do serca - odparłam.

Stottlemeyer się roześmiał.

- Może i mężczyźni są powierzchowni, ale przy najmniej stawiamy kawę na ławę.

Wśród sklepów sprzedających wyborne jedzenie i trunki znajdowały się również takie, które ofero-

wały naczynia, sztuce i inne drobne sprzęty domowe. Zauważyłam nawet niezwykłą kwiaciarnię z nieprawdopodobnymi bukietami i wiązanekami, których ceny przewyższały projekt i urządzenie mojego ogródka za domem.

Kiedy obejrzelśmy wszystkie wystawy, skręciliśmy za najbliższym rogiem i weszliśmy w wąską alejkę biegnącą za sklepami.

Była to chyba najczystsza alejka na tyłach sklepów, jaką w życiu widziałam, odpowiednio, jak sądzę, do standardu ulicy. Niemniej jednak była to tylko ślepa alejka, z ustawionymi po obu stronach kontenerami na śmieci.

Mniej więcej w połowie uliczki buszowała w śmietnikach grupa około dziesięciu osób. Freeganie mieli rękawiczki, wysokie buty robocze i gogle ochronne. Dwie grupy, żeńska i męska, uwijały się jak mrówki, jakby według jakiegoś przygotowanego układu choreograficznego.

W jednym kontenerze pracowało dwóch ludzi zanurzonych po pas w śmieciach. Jedna osoba rozgarniała i przerculowała odpady, a druga zbierała użyteczne rzeczy do plastikowych worków i wiązała je potem ciasno sznurkiem.

Trzecia osoba stała na ustawionej przy kontenerze drabince, trzymając skrzynkę po mleku wyłożoną plastikowym workiem. Kiedy skrzynki były wypełnione, wkładano je do supermarketowych koszy na kółkach.

W pracy dał się niemal słyszeć melodyjny rytm, jakby wszystkich ustawił choreograf i jakby wszyscy tańczyli w jednym miarowym rytmie. Nie zdziwiłabym się, gdyby nagle zaczęli śpiewać chórem *Hej ho, hej ho, do pracy by się szło* i gdyby pojawiły się



przy nich ćwierkające ptaszki i puszyste zwierzątka.

Patrząc na dalszą część alejki, gdzie freeganie jeszcze nie ruszyli kontenerów, można było powiedzieć, że zespół pozostawiał za sobą ulicę czystsza, niż ją na początku zastał, a śmieci lepiej posegregowane.

Skrzynki wypełnione były owocami i warzywami, jak również różną żywnością w puszkach i paczkach. Ktoś mógłby odnieść wrażenie, że freeganie wcale nie grzebali przed chwilą w śmietnikach, lecz zrobili zakupy w eleganckich sklepikach ze smakołykami.

Nie wiedzieliśmy, jak wygląda Lucien Bar lier, ale od razu rzucało się w oczy, kto jest przywódcą grupy. Otaczała go jakaś dziwna aura, która oświetlała go, jakby stał w smudze światła na scenie. Byłam pewna, że takie wrażenie to jedynie wytwór mojej wyobraźni i że instynktownie odbieram jakieś podświadome sygnały freeganów, jak język ciała czy wyraz twarzy.

Ale nie tylko ja. Zobaczyłam, że także kapitan Stottlemeyer utkwiał wzrok w tym trzydziestoparoletnim mężczyźnie z pogodnym uśmiechem na ustach, który stał w kontenerze po prawej stronie, w beztroskim nastroju wykonując swoje zajęcie.

Nie wiem, dlaczego wyobrażałam sobie wcześniej, że freeganie muszą wyglądać jak hobbici, a ich przywódca to ktoś z długą, gęstą brodą i włosami zbitymi w kołtun, ubrany w brudne łachmany czy jakąś długą sukmanę.

Moje uprzedzenia całkowicie miały się z prawdą. Freeganie wyglądali jak grupa studentów z elitarnych uczelni Ivy League, którzy w przerwie między zajęciami czyszczą alejki.

- Lucien Barlier? - zapytał Stottlemeyer mężczyznę, na którym skupialiśmy uwagę.

- We własnej osobie . Zapewne pan Adrian Monk? - Barlier przesunął gogle na czoło i odsłonił uderzająco błękitne oczy. - Zastanawiałem się, kiedy pan do mnie trafi.

- Gdyby pan cokolwiek wiedział o Monku, nigdy by pan go ze mną nie pomylił. Ale on również niebawem się zjawi - powiedział kapitan, pokazując odznakę policyjną. - Kapitan Leland Stottlemeyer z policji w San Francisco, a to Natalie Teeger, asystentka pana Monka. Dlaczego spodziewał się pan naszej wizyty?

Barlier nadal sortował śmieci, pozostałe osoby również nie przerywały pracy, choć oczywiście przy-  
słuchiwały się naszej rozmowie.

- Słyszałem, że zabójstwem Aimée zajmuje się paryska policja i jacyś detektywi ze Stanów - wyjaśnił Barlier. - Nie wiem tylko, dlaczego jej śmierć tak was interesuje.

- Mnie interesuje tylko związek jej śmierci z Bobem Smithem — wyjaśnił kapitan.

- Co zrobił Bob?

- Dał się zabić - odpowiedział Stottlemeyer.  
Ten fragment informacji przykuł uwagę wszystkich.

Lucien Barlier wyszedł z kontenera, zdjął rękawiczki i podszedł do nas. Jego miejsce zajął inny z freeganów, który od razu podjął sortowanie śmieci.

- W San Francisco? - zapytał Barlier.

- Tutaj - odpowiedziałam. - Pan Monk znalazł w katakumbach jego czaszkę.

- Ponieważ pan tam mieszka, a Bob Smith i Aimée Dupon byli członkami waszego ruchu - mówił

Stottlemeyer - pomyślałem, że może się czegoś od pana dowiem.

- To nie jest żaden ruch... - zaczął Barlier.

- Tak, tak, wiem - przerwał mu kapitan. - To sposób na życie.

Lucien Barlier uśmiechnął się.

- Widzę, że rozumie nas pan lepiej, niż kiedykolwiek rozumiał nas Bob.

- Jak poznał pan Boba?

- Był bezdomny, szukał w katakumbach dachu nad głową, przygarnęliśmy go i pokazaliśmy, jak żyjemy.

- Nie wydawało się panu dziwne, że do podziemnych tuneli przybłąkał się bezdomny Amerykanin?

- My żyjemy tam z wyboru, ale wielu ludzi nie. Bezdomni są rozmaitych nacji. Nieszczęście i nędza nie znają granic państwowych. Od trzystu lat katakumby są azylem dla zagubionych i zdesperowanych, dla członków ruchu oporu, dla...

- Zbiegów poszukiwanych przez policję - wpadł mu w słowo Stottlemeyer.

- Dla nich również - przyznał Barlier. - Chociaż bywa, że dla jednych człowiek jest kryminalistą, a dla drugich bohaterem.

- Kim był Bob?

- Nie wiem. Nie obchodziło mnie, jak to się stało, że skończył w tunelach, a on sam nic o tym nie mówił. Próbowaliśmy nauczyć go sztuki przetrwania i szczęśliwie żyć. Cieszyło mnie, że Smith nie tylko zaaprobował nowe warunki życia, ale dostrzegł też korzyści płynące z nieuczestniczenia w społeczeństwie konsumpcyjnym.

- Wcześniej pan go nie znał? - zapytał kapitan.

- Kiedy wcześniej?

- Kiedy nazywał się Nathan Chalmers.  
- Pan wybaczy, nie rozumiem.  
- Zanim pan go poznał, Smith wiódł inne życie - wyjaśnił Stottlemeyer.

- Wszyscy kiedyś wiedliśmy inne życie. - Barlier zatoczył wokół ręką i popatrzył na swoich kolegów, a potem wbił wzrok we mnie. — Pani nie?

Aby odpowiedzieć sobie na to pytanie, wystarczyło mi porównać osobę, którą byłem w Paryżu kilkanaście lat temu, z kobietą którą byłem dzisiaj. Poczułam, jakby moje życie przechodziło trzy różne etapy - życie przed Mitchem, życie z Mitchem i życie po Mitchu - a w każdym z nich byłem osobą której nie poznałaby następna Natalie.

Barlier z zajęciem i ciekawością obserwował moją twarz i po chwili domyślił się odpowiedzi na swoje pytanie. Skinął lekko głową.

- Bob Smith był aferzystą na dużą skalę - powiedział Stottlemeyer. - Nakradł ludziom mnóstwo pieniędzy, ale został na tym przyłapany, więc sfingował własną śmierć i uciekł do Paryża, gdzie ukrył się w tunelach.

- My go nie ukrywaliśmy - odparł Lucien Barlier.

- Jak pan został freeganem? - zapytałam.

- Kiedyś byłem wytrawnym graczem konsumpcyjnego świata - zaczął Barlier. - Nie lubiłem swojej pracy, ale ciężko pracowałem, żeby zarabiać ogromne pieniądze i wydawać je na rzeczy niepotrzebne, które wyrzucałem, gdy tylko na rynek rzucono coś modniejszego lub nowocześniejszego. Żyłem po to, by kupować. Nie dlatego, że coś było mi niezbędne, ale ponieważ czułem się zmuszony. Wiele milionów ludzi tak żyje. To pustka. Nie miałem bliskich ani nic wartościowego poza tym, co posiadałem fizycz-

nie. Pewnej bezsennej nocy doznałem olśnienia. Dni za szybko mijały, czas marnowałem na bezrozumne pomnażanie pieniędzy. Nie żyłem pełnią życia. Przecież Bóg nie dał mi się narodzić tylko po to, żebym zarabiał i wydawał. Brakowało mi spokoju, piękna i radości, które świat oferuje ludziom.

Stottlemeyer skinął głową w kierunku pojemników na śmieci.

- To jest to piękno?

Barlier uśmiechnął się.

- Nie jest mi zimno, nie jestem głodny ani pozbawiony środków do życia. Kilka godzin zajmuje mi zebranie rzeczy niezbędnych do przetrwania, a przez resztę dnia używam życia, cieszę się sztuką, muzyką, przyrodą i towarzystwem innych ludzi.

Gdy wypowiadał ostatnie słowa, spojrzał na mnie wymownie, a ja poczułam, jak się rumienię, co bardzo mnie zawstydziło, a to sprawiło, że zarumieniłam się jeszcze bardziej. Dopiero wtedy uświadomiłam sobie, że mężczyzna mi się podoba.

- Jestem czysty, zdrowy i szczęśliwy - mówił Barlier.

- Czego więcej mi trzeba? iPhone'a? Byłbym wówczas człowiekiem kompletnym, kapitanie?

- Może mieszkania z dala od kanałów ściekowych?

- Mógłbym panu pokazać części miasta, które wyglądają gorzej niż kanały ściekowe, a wcale nie znajdują się pod ziemią. Kanały i tunele metra to tylko część katakumb. To miasto pod miastem. To wielka galeria sztuki minionych wieków. To samotność i spokój.

- To dziura w ziemi - odpowiedział Stottlemeyer.

- To jest jednak fascynujące - powiedziałam.

- Chciałaby pani zobaczyć? - zapytał Barlier z błyskiem w oku.

- Zanim zdążyłam odpowiedzieć, wtrącił się kapitan.
- Słyszeliśmy, że między panem, a Bobem Smithem doszło do zatargu.
  - Mieliśmy odmienne opinie. Bob uważał, że to, co robimy, nigdy nie będzie miało znaczenia, bo w ten sposób nie zmienimy społeczeństwa — wyjaśnił Barlier.
  - Chciał, żebyśmy podjęli zdecydowane działania przeciwko tym, którzy marnują zasoby ziemi i eksploatują innych ludzi.
  - Jakie działania? - zapytałam.
  - Nigdy nie rozmawialiśmy o szczegółach, ponieważ od początku mnie to nie obchodziło. Sprzeciwiałem się jego poglądom z pozycji fundamentalnych i filozoficznych. Być freeganem to styl życia, etyczny i moralny wybór, a nie ruch polityczny. On uważał inaczej.
  - Więc go pan wyrzucił - dokończył kapitan.
  - Sam odszedł - powiedział Barlier.
  - W podziemnych komnatach i setkach kilometrów tuneli nie było miejsca dla was obu?
  - Oczywiście, że było. Tunele nie są moją własnością. Należą do każdego. Zresztą, nie wszyscy freeganie mieszkają pod ziemią — mówił Barlier.
  - Niektórzy posiadają własne nieruchomości. Inni zajmują pustostany.
  - To znaczy przywłaszczają sobie cudzą własność - uściślił Stottlemeyer.
  - Każdy ma prawo do dachu nad głową- stwierdził Barlier.
  - Pusty budynek to marnotrawione zasoby. To jest dopiero przestępstwo.
  - Wiemy, że Bob pociągnął za sobą grupę freeganów - powiedział kapitan - a pańską grupę pozostawił mocno skłóconą.

Wcale nie wiedzieliśmy. Stottlemeyer upiększał informacje uzyskane od Antoine'a Bissona i pary młodych ludzi mieszkających w budynku Aimée Dupon.

Lucien Barlier nie zaprzeczał, wzruszył tylko ramionami. Albo było to dla niego bez znaczenia, albo chciał, żebyśmy tak myśleli. Ale Stottlemeyer zdobył mały punkt - utwierdził się w przekonaniu, że odejście Boba Smitha spowodowało wśród freega-nów pęknięcie.

— Ludzie mogą wierzyć, w co chcą. To nie jest sekta. Nie mam i nie chcę mieć wyznawców. Przyjaciele są zawsze mile widziani. Bob poszedł swoją drogą ja swoją. Życzyłem mu szczęścia.

- Również w odbiciu ukochanej? - zapytał Stottlemeyer.

Na ułamek sekundy twarz Luciena Barliera ścięła smuga bólu.

- Aimée i ja byliśmy kochankami, ale się nie kochaliśmy - wyjaśnił.

— Och, bardzo po francusku - rzucił Stottlemeyer.

Uważałam, że to był cios poniżej pasa. Nie widziałam powodu, żeby Stottlemeyer miał wrogo traktować Barliera tylko dlatego, że nie aprobuję jego sposobu życia. O ile wiedziałam, nie było żadnego dowodu, który wskazywałby Barliera jako zabójcę Nathana Chalmersa lub Aimée Dupon.

Może chodzi o coś innego, myślałam. Może kapitan specjalnie zarzucił przynętę, w nadziei, że Barlierowi puszcza nerwy i nieświadomie powie coś, co go obciąży, a my będziemy wreszcie mieli podejrzanego.

W tym momencie usłyszałam za plecami niski warkot silnika.

Obejrzelśmy się i zobaczyliśmy Monka nadjeżdżającego na *motocrotte*. Zatrzymał się przy nas i zeskoczył z pojazdu, niczym szeryf na Dzikim Zachodzie zeskakujący z wierzchowca.

— Wszyscy jesteście aresztowani — oświadczył krótko.



## Monk i brudne zaufki

- Pod jakim zarzutem? - zapytał rozbawiony Lucien Barlier.

—Narażanie zdrowia publicznego, nie mówiąc już o waszym własnym - oświadczył Monk. - Musicie przejść kwarantannę.

—Z mocy jakiego prawa?

—Nazywam się Adrian Monk, jestem honorowym Agent de Sanitation de Paris oraz konsultantem policji w San Francisco.

—Innymi słowy, nie ma pan prawa nikogo aresztować, ani tutaj, ani nigdzie indziej - stwierdził Barlier.

—Mam prawo moralne. - Monk zdjął z *moto-crotte* miotłę i przycisnął ją do piersi, jakby to miało podkreślać wagę jego osoby.

—Nie zrobiliśmy niczego niemoralnego — powiedział Barlier. - Każdego roku ludzie wyrzucają dwadzieścia milionów kilogramów jedzenia nie dlatego, że się zepsuło, lecz dlatego, że kupują więcej, niż mogą skosztować, i produkują więcej, niż mogą kupić. To jest niemoralne. My tylko żyjemy z tego, co inni zmarnowali i bezmyślnie wyrzucili. Spójrzcie.

Barlier poprowadził nas do koszyka z produktami zebranymi w kontenerze na śmieci.

Były tam jabłka, pomarańcze, brzoskwinie, banany, sałata i kukurydza. Były szczelnie zapakowane sałatki warzywne, bochenki chleba, pudełka płatków śniadaniowych, ciasto i mieszanka kruchych ciasteczek. Były nawet gotowe posiłki z kurczakiem i makaronem, zapakowane w plastikowe pudełeczka.

Ta żywność wyglądała o wiele lepiej od tego, co znajdowało się na półkach w sklepiku na mojej ulicy w San Francisco, a freeganie mają to wszystko za darmo.

Proszę, w Paryżu nawet śmieci są lepsze niż u mnie w domu.

- Te owoce i warzywa zostały wyrzucone tylko dlatego, że trochę są obite lub zadrapanne — mówił Barlier.

- I bardzo dobrze - stwierdził Monk. — To ruina.

- Mały ślad po obiciu nie czyni ich niejadalnymi.

- Ależ jak najbardziej. Powinno się pogratulować temu, kto je wyrzucił — upierał się Monk.

Lucien Barlier popatrzył na niego z niedowierzaniem, a potem odwrócił się do mnie i Stottlemeyera z błagalnym spojrzeniem w oczach, lecz nie doczekał się naszego wsparcia. Co więcej, kapitana zdawała się bawić frustracją Barliera.

- Obite jabłko nigdy nie zrobiło nikomu krzywdy. - Barlier wyjął z koszyka jabłko i podsunął je Monkowi pod oczy.

- Racja. Ono od razu zabiło.

Barlier wytarł jabłko w rękaw i ugryzł kawałek. Monk wydał z siebie zduszony pisk i cofnął się o krok.

- Wszyscy cofnąć się! - krzyknął.

- Spokojnie, Monk, on nie eksploduje - powiedział Stottlemeyer.

- Prawdopodobnie jest zaraźliwy - stwierdził Monk.
- Czym może zarażać? - zapytałam.
- Zjada zgniłe jedzenie i grzebie w śmietnikach. Ten człowiek jest chodzącą wylęgarnią chorób. To cud, że jeszcze stoi o własnych siłach.
- Jabłko jest kruche i bardzo delikatne - chwalił Barlier, pokazując ręką koszyk. - Ten chleb jest wczorajszy. Te kurczaki z rożna też są z wczoraj, ale wyrzucono je tylko dlatego, że nie zostały sprzedane. Termin przydatności tych puszek i pudełek z żywnością wygasł ledwie dzień lub dwa dni temu.
- Dlatego właśnie należało je wyrzucić.
- To dobre, pożywne posiłki - upierał się Barlier. - Zresztą wyrzucone jedzenie to tylko ułamek tego, co ludzie wyrzucają bez potrzeby i zastanowienia. W śmietnikach znajdujemy komputery, garnitury, dywany, meble, obrazy, koce, płyty czy książki. Wszystko bez najmniejszej szkazy. Fakt, że coś zostało wyrzucone, nie oznacza, że jest zepsute, przegniłe czy przestarzałe.
- Oczywiście, że tak. W przeciwnym razie nie znalazłoby się na śmietniku - stwierdził Monk.
- Ludzie, którzy posiadali te rzeczy, po prostu się nimi znudzili, uznali, że wyszły z mody, albo musieli zrobić w domu miejsce na kolejne zbędne nabytki.
- Nawet jeśli to prawda, co pan mówi, a każdy szalenciec wie, że to nieprawda - ciągnął Monk - to w chwili, gdy jakaś rzecz ląduje w kontenerze z odpadami lub w promieniu dziesięciu metrów od takiego kontenera, staje się natychmiast skażona. Nie można takich rzeczy używać, a z pewnością nie można ich jeść.

- Większość wyszukiwanej przez nas żywności jest pakowana pod ciśnieniem lub zamknięta w puszcze, a resztę można umyć. Na tych warzywach i owocach nie ma nic, co byłoby groźniejsze od zanieczyszczeń ziemi, w której rosną.

Monk aż się wzdrygnął. Na samo wspomnienie o zanieczyszczeniach dostawał gęszej skórki. Powiedział mi kiedyś, że nie ma nic bardziej nieczystego od zanieczyszczeń, dlatego właśnie nazywają się zanieczyszczeniami.

- Z tego wszystkiego mogę dziś przygotować wyborny obiad - powiedział Barlier i przeniósł na mnie wzrok. — Dla dwóch osób. Nie można marnować pożywienia.

- Mam to traktować jak zaproszenie?

- Raczej jako groźbę — wtrącił Monk.

- Mogę pani pokazać mój świat - powiedział Barlier, nie zwracając uwagi na Monka. - Zapewniam, że nigdy nie widziała pani Paryża od tej strony.

- Była już w kanałach ściekowych - powiedział Monk. - Nie ma ochoty z nich jadać.

- Chętnie zjem z panem obiad - zwróciłam się do Barliera. - Gdzie i kiedy mamy się spotkać?

Nie wiem, czy przyjął zaproszenie dlatego, że nie podobało mi się wrogie nastawienie Stottlemeyera wobec Barliera, czy dlatego, że miałam dość apodyktyczności Monka, czy może dlatego, że lubiłam być przekorna, gdy mój szef niespodziewanie zaczynał się o mnie troszczyć. A może dlatego, że idea tajemnego świata pod ulicami Paryża wydała mi się bardzo romantyczna, a w oczach Luciena Barliera dostrzegłam wyjątkowo czarujący odcień błękitu?

- Czyś ty postradała rozum, kobieto?! - krzyknął Monk.

Udawałam, że go nie słyszę. Podobnie Barlier, który uśmiechał się do mnie ciepło.

- Spotkajmy się o siódmej na stacji metra Musée d'Orsay.

- Jak mam się ubrać?

- Jak pani ma ochotę. Jestem pewien, że we wszystkim wygląda pani olśniewająco.

Banalne słowa, ale oblałam się rumieńcem. Czy naprawdę tak łatwo mi schlebić? I od kiedy tak łatwo się rumienię?

- W takim razie do zobaczenia - powiedziałam.

Lucien Barlier skłonił lekko głowę, spuścił na

oczy gogle i wdrapał się z powrotem do kontenera.

Monk zmrużył oczy i patrzył na niego uważnie.

Stottlemeyer również nie spuszczał Barliera z oczu.

- Kładziesz na szali swoje życie - powiedział do mnie Monk.

- Doceniam pańską troskę, panie Monk, ale niepotrzebnie pan dramatyzuje.

Cokolwiek Lucien Barlier poda do stołu, z pewnością nie będzie gorsze od jedzenia, które zwykle trzymam u siebie w lodówce.

- To on - powiedział Monk.

- Jaki on? - zapytał Stottlemeyer.

- Ten on - odparł Monk. - To on zabił Nathana Chalmersa i Aimée Dupon.

- Masz jakiś dowód? - zapytał kapitan.

- Jeszcze nie. Ale to on.

- Mówi pan tak dlatego, że Barlier żyje z tego, co inni wyrzuca— stwierdziłam, nie próbując ukryć poirytowania.

- To prawda - przyznał.

- To jeszcze nie czyni z niego mordercy.

- To dowodzi, że jest zdolny do nieprawdopo-

dobnej deprawacji. Jeśli jeszcze nikogo nie zamordował, to na pewno zamorduje.

- Liczyłem na bardziej rozstrzygające wnioski, Monk — mruknął Stottlemeyer.

- Czegóż więcej ci trzeba?

- Hm, sam nie wiem. - W głosie kapitana brzmiał sarkazm. — Może dowodu rzeczowego, który niezbitcie i bezpośrednio połączyłby jego osobę z oboma morderstwami?

- Barlier żywi się w śmietnikach i mieszka w kanałach ściekowych. To wystarczy, żeby go zamknąć - stwierdził Monk.

- Niech pan potraktuje mój obiad z Barlierem jako część śledztwa - powiedziałam. - Będę miała oczy i uszy otwarte.

- Nie będziesz musiała daleko patrzeć — rzekł Monk. - Dowód znajdziesz na talerzu garnirowanym robactwem.

- Freeganie wyglądają na czystych i zdrowych ludzi - oświadczyłam.

Monk wskazał na kontener.

- Stoją po pas w śmieciach. Jadanie z nimi nie może być bezpieczne.

- Będzie pan wiedział, dokąd idę i z kim będę przebywać. Lucien nie zrobi mi nic strasznego.

- Już Lucien, hm? — zauważył Stottlemeyer.

Zignorowałam tę uwagę.

- On cię otruje - przestrzegął Monk. - Ale masz rację. Nic strasznego ci się nie stanie. Umrzesz na tychmiast.

Spojrzałam na zegarek.

- Nie powinniśmy już iść na komendę na spotkanie z nadinspektorem? Może zrobił krok naprzód w naszym śledztwie.

- Byłoby miło - stwierdził kapitan. - Bo my wciąż stoimy w miejscu.

- Mów za siebie - powiedział Monk. - Ja od rana czyszcę brudne zaułki. - Monk zawiesił miotłę z powrotem na *motocrotte*, wdrapał się na siedzisko i zapuścił silnik. — Spotkamy się na komendzie.

- Jest pan pewien, że znajdzie pan drogę? - zapytałam.

- Jestem detektywem. Znajdywanie to mój chleb powszedni - odpowiedział Monk i odjechał swoim pojazdem, zamiatając chodniki obrotowymi szczotkami.

Odprowadziliśmy go wzrokiem, a potem Stottlemeyer spojrzał na mnie.

- Przyjęłaś zaproszenie Barliera, żeby wkurzyć Monka?

Obejrzałam się na Luciena Barliera, który stał w kontenerze i wesoło sortował odpady, i dopiero potem popatrzyłam na Stottlemeyera.

- Sama nie wiem.

- Masz wątpliwości?

- Nie.

- W San Francisco przyjęłabyś zaproszenie na obiad od bezdomnego, który mieszka w kanalizacji i odżywia się odpadami ze śmietników?

Kiedy postawił sprawę w ten sposób, istotnie zaczęłam mieć wątpliwości, ale szybko je rozproszyłam.

- Nie jesteśmy w San Francisco, kapitanie. Jesteśmy w Paryżu.

- To jakaś różnica?

- *Vive la différence!* - powiedziałam. - Taki właśnie jest Paryż.

- W takim razie do diabła z brzuszkiem - stwierdził Stottlemeyer. - Wracamy do Lenôtre.

## Monk analizuje dowody rzeczowe

Kiedy weszliśmy do pokoju detektywów, Disher stał właśnie przy automacie do kawy i napełniał sobie filiżankę. Włosy miał rozczochrane, ubranie wymięte, oczy podpuchnięte i nabiegłe krwią.

- Witaj, Randy - przywitał go Stottlemeyer. - Jak wam poszło po naszym wyjściu?

- Przez całą noc nie zmrużyłem oka - powiedział Disher, dobywając z siebie resztki głosu.

- Zmiana czasu w końcu cię dobiła? - zapytałam.

- Nie. Moje fanki - odparł. - Hordy roznamięt-nionych i nienasyconych Francuzek.

- Takie są chyba wszystkie Francuzki, prawda? - chciał wiedzieć Stottlemeyer.

- Każda chciała skosztować kawałek Randusia.

- Przepraszam. Sprawdzę swoją pocztę internetową, zanim zwymiotuję — stwierdził kapitan i odszedł w stronę pustych biurów.

- Randusia? - zdziwiłam się.

- Tak mnie nazywają - wyjaśnił porucznik. - Randus był główną potrawką na hucznej uczcie miłości. Nawet sobie nie wyobrażasz.

- Nawet nie próbuję sobie wyobrazić - odpowiedziałam. - Boże, jak bardzo nie próbuję.

Disher ujął mnie delikatnie pod rękę i odciągnął na korytarz, oglądając się za siebie, czy Stottle-



meyer nie patrzy, ale kapitan siedział przed komputerem i nie zwracał na nas uwagi.

- Myślę o tym, żeby tu zostać - powiedział szeptem Disher.

- Chcesz wziąć urlop i zrobić sobie wakacje?

- Chcę zostać na stałe i podążyć za głosem swojej muzy.

- Jak na razie, twoja muza doprowadziła cię tylko do jednej piosenki - zauważyłam.

- Ale jest we mnie więcej piosenek - zapewnił Disher. - Dużo, dużo więcej. Czuję ten napór.

To pewnie gazy, pomyślałam.

- Zanim podejmiesz poważne decyzje, może powinieneś poczekać, aż te piosenki się w końcu pojawią i będziesz mógł się poszczycić jakimś dorobkiem twórczym? Naprawdę chcesz rzucać wszystko na jedną szalę z powodu piosenki, która stała się hitem we Francji?

- Mam fanki - powiedział Disher. - Na dowód mam ich bieliznę.

Jeszcze jeden obraz, którego wolałam sobie nie wyobrażać.

- Jak długo pozostaną z tobą fanki, jeśli następna piosenka okaże się kompletną klapą? Możesz zostać kolejnym Bertiem Higginsem. Albo Joeyem Scaburym. Albo Vanem McCoyem.

- Kim oni są?

- Właśnie o to mi chodzi - powiedziałam. - Oni też kiedyś mieli fanki.

- Też były roznamiętnione i nienasycone?

- Na pewno.

- Jednak w San Francisco w ogóle nie mam fanek - powiedział Disher. - Nikt nie mówi do mnie Randus.

- Może to się zmieni, kiedy nagrasz więcej piosenek.
- Czy do tego czasu chociaż ty mogłabyś mówić do mnie Randuś?
- Nie - odpowiedziałam stanowczo.
- W twojej odpowiedzi wyczuwam pewną niejednoznaczność.
- Nie sądzę.
- Jestem pewien, że tak.
- Na pewno nie - odparłam. -I niech ci nie przyjdzie do głowy prosić mnie, żebym rzuciła w ciebie majtkami.

W tym momencie podszedł do nas Monk, który nie miał już na sobie ochronnego kombinezonu. Spojrzał na mnie przerażony.

- Co w ciebie wstąpiło, kobieto? - powiedział. - Najpierw umawiasz się na randkę z bezdomnym, a teraz namawiasz oficera policji do czynów nierządnych?

- Nie namawiałam go do czynów nierządnych, panie Monk — odpowiedziałam. - Wytaczałam granicę między nami.

- Majtkami.

- Owszem, to bardzo istotna granica.

Monk minął nas i wszedł do pokoju detektywów, gdzie Stottlemeyer konferował już z nadinspektorem Le Roux i inspektorem Gadois.

- W samą porę - przywitał Monka Le Roux. -Kapitan Stottlemeyer właśnie zrelacjonował nam spotkanie z Lucienem Barlierem.

- To on — orzekł Monk.

Le Roux i Gadois wymienili spojrzenia, nic nie rozumiejąc. Stottlemeyer to zauważył.

- Chodzi o to, że według Monka to Lucien Bar-lier jest mordercą.

- Na podstawie czego pan to wnosi? - zapytał nadinspektor.

- Odżywia się śmieciami. To psychotyk.

- Nie znam niuansów amerykańskiego wymiaru sprawiedliwości — powiedział Le Roux. - Ale we Francji to za mało, aby wnieść akt oskarżenia.

- Wszystkie dowody świadczą przeciwko niemu - stwierdził Monk.

- Nie wiedziałem, że mamy jakieś dowody - powiedział zdziwiony Stottlemeyer.

- Wpadliśmy na parę poszlak, które niestety nie prowadzą wprost do podejrzanego - powiedział Le Roux. — Właściwie powinniśmy panu podziękować za pańskie odkrycia, kapitanie.

- Co takiego zrobiłem? — zapytał kapitan.

- Powtarzał pan, że Nathan Chalmers, znany nam jako Bob Smith, nie mieszałby się w sprawy freeganów, gdyby nie wchodziły w grę pieniądze. Postanowiłem więc sprawdzić parę rzeczy. Od czasu, gdy Chalmers przyjechał do Francji, w siódmej dzielnicy potroiła się liczba kradzieży danych osobowych i fałszerstw kart kredytowych.

- Kradzież danych osobowych wszędzie dziś rośnie - zauważył Disher.

- To prawda, poruczniku - przyznał Le Roux. - Jednak w siódmej dzielnicy odsetek takich spraw okazał się znacząco wyższy niż w podobnych dzielnicach w obrębie tych samych warstw społecznych.

Kapitan Stottlemeyer przygryzł dolną wargę, rozmyślając nad tym, co przed chwilą usłyszał.

- W takim razie Nathan Chalmers grzebał

w śmietnikach, poszukując dokumentów, domowych rachunków, wyciągów z kart kredytowych, słowem, wszystkiego, co pomogłoby mu podszyć się pod innych ludzi i opróżnić ich konta bankowe.

- My również tak uważamy, kapitanie - powiedział Gadois. - Chalmers przejął co najmniej milion euro, może o wiele więcej. Mamy nadzieję, że gdy dostaniemy się do komputera Aimée Dupon, dowiemy się czegoś konkretnego.

- Po co tak długo czekać? - zapytał Monk. - Chodźmy już teraz aresztować Barliera. Najlepiej przed obiadem.

- Wciąż nie ma dowodów, że to on zabił Chalmer-sa i Dupon — upierałam się.

- Widziałem, jak ugryzł obtłuczone jabłko -stwierdził Monk. - Przedtem go nie umył.

- Niestety, to nie ma nic wspólnego z morderstwem - powiedział Le Roux. - Mamy tylko czaszkę Chalmersa i parę jego kości odnalezionych w katakumbach. Nie wiemy nawet, gdzie został zabity ani jakim narzędziem zbrodni.

- W przeciwieństwie do zabójstwa Aimée Dupon - dodał Gadois. - Wiemy, gdzie i kiedy się to stało. Mamy nawet narzędzie zbrodni i wielu świadków, ale nie wiemy, jak dokonano zbrodni i kto to zrobił.

- To Lucien Barlier - powiedział Monk. - Oto, co się stało.

Zaczął wyjaśnienia od przypomnienia tego, co już wiedzieliśmy: Chalmers odciął sobie palec, wyrwał ząb i wepchnął jakiegoś przygodnego człowieka do rozdrabniacza na gałęzie, aby sfignować własną śmierć i uniknąć niemal pewnego wyroku długoletniego więzienia.

Zaraz potem Chalmers uciekł do Francji i przy-

stąpił do freeganów, przyjmując ich antykonsumencką filozofię, aby uniknąć oficjalnego zatrudnienia, wynajmowania mieszkania i wszelkich innych działań mogących spowodować umieszczenie w bazach danych jego fałszywego nazwiska, fotografii czy odcisków palców.

Monk był przekonany, że albo Barlier od dawna wykorzystywał antykonsumencki styl życia jako fasadę do wyszukiwania w śmietnikach dokumentów finansowych, albo to Chalmers podsunął mu taki pomysł. Tak czy owak, Chalmers prawdopodobnie poczuł zew własnej chciwości, chciał mieć więcej pieniędzy, a do tego kochankę Barliera.

Z kolei Lucien Barlier nie zamierzał dzielić się z Chalmersem ani gotówką, ani Aimée, zabił więc Chalmersa i rozpuścił wiadomość, że Amerykanin wyjechał do Nowego Jorku.

Wszystko szło jak po maśle, dopóki Monk nie znalazł czaszki, a Aimée Dupon jakiś sposobem nie domyśliła się, że ofiarą jest właśnie Chalmers. Zaczęła szukać Monka, aby mu o tym powiedzieć.

- Barlier oczywiście nie mógł do tego dopuścić - kończył Monk. - Musiał ją zabić, zanim zaczęłaby mówić. Zdążył w ostatniej chwili.

Nastąpiła długa chwila ciszy, podczas której wszyscy zastanawiali się nad hipotezą Monka.

- Zarysował nam pan prawdopodobny motyw zabójstwa - przyznał Le Roux. - Ale to wszystko tylko domniemanie. Brakuje dowodu na potwierdzenie choćby części takiej hipotezy. Równie dobrze Nathan Chalmers mógł zostać zamordowany przez kogoś, kogo wcześniej okantował.

- Mógł, ale tak się nie stało.

- Nie wyjaśnił pan, w jaki sposób Lucien Barlier

wyśledził was w Toujours Nuit ani jak niezauważony wślizgnął się do restauracji — ciągnął Le Roux. — Nie wytłumaczył pan również, jak to się stało, że w totalnej ciemności odnalazł Aimeé Dupon, wbił jej w pierś nóż i zniknął jak duch.

- Wkrótce wytłumaczę - obiecał Monk.

- We Francji takie rzeczy trzeba rozstrzygnąć przed aresztowaniem podejrzanego — powiedział nadinspektor.

- Monk w zasadzie nigdy się nie myli - stwierdził Disher.

Monk uśmiechnął się do porucznika wdzięcznie za pośpieszenie z pomocą, co zwykle należało do moich obowiązków, ale tym razem nie potrafiłam tego zrobić z czystym sumieniem.

- To prawda. Ale zazwyczaj w takich wypadkach pana Monka nie rozpraszają żadne osobiste uprzedzenia - powiedziałam i odwróciłam się do Monka. — Tymczasem nie potrafi pan przejść obojętnie obok tego, jakie Lucien Barlier wybrał sobie życie. Myślę, że to stępiea zdolność do prawidłowej oceny.

- Nic mi nie mów o zdolności do prawidłowej oceny

- odpowiedział. - Dziś wieczorem masz randkę w kanałach ściekowych z brudnym powsinogą.

- Naprawdę? - zapytał Gadois.

- To nie randka. To część śledztwa - broniłam się. - Barlier będzie na własnym terenie. Będzie rozluźniony i spokojny. W zwykłym, codziennym środowisku może mi powiedzieć więcej niż podczas przesłuchania na posterunku. Byłoby nierozsądne z mojej strony, gdybym odrzuciła zaproszenie. Taka szansa na przełom może się już więcej nie przytrafić.

Jeszcze w trakcie tej przemowy czułam, że takie argumenty brzmią w najlepszym razie jak szyte

grubymi niemi racjonalizowanie, a w najgorszym jak niewinne kłamstewko mające uzasadnić przyjęcie zaproszenia. Byłam przekonana, że mogę się teraz spodziewać drwin i wyrazów niedowierzania.

- Zgadza się - powiedział ku mojemu zdumieniu Le Roux. - Jeśli monsieur Monk się nie myli co do winy Barliera, to może to być idealna okazja, aby dowiedzieć się czegoś więcej o nim samym i o tym, co robi.

Miałam ochotę spojrzeć nadinspektorowi w oczy, żeby sprawdzić, czy istotnie zgadza się ze mną, czy tylko okazuje mi łaskawość, ale bałam się, co z kolei on wyczyta z moich oczu.

Spojrzałam więc na swoje dłonie i szybko dopatrzyłam się czegoś fascynującego w naskórku przy paznokciu.

- Co wiadomo o Lucienie Barberze? - zapytał Stottlemeyer.

- To psychotyk, który żywi się śmieciami, mieszka w kloace i morduje ludzi - wyjaśnił Monk.

- Niewiele więcej ponad to, co sam powiedział dzisiaj rano panu i mademoiselle Teeger - odpowiedział Le Roux. - Był tylko raz notowany.

- Włóczęgostwo? Włamanie? Wandalizm? Wymuszenie? - wyliczał Monk.

- Naprawa zegarka - powiedział Le Roux.

- Och, to jest karalne we Francji? - zapytałam.

- Owszem, jeśli w tym celu człowiek włamuje się do muzeum - odpowiedział nadinspektor. - Razem z pewnym emerytowanym zegarmistrzem wykorzystał podziemne tunele, aby przez okrągły rok wchodzić każdej nocy do Musée de l'Art Néoclassique i naprawiać trzystuletni zegar wiszący w głównym holu. To neoklasyczne dzieło sztuki ze skompliko-

wanym mechanizmem, które niestety w ciągu wielu lat zaniedbań przerdzewiało i niszczało.

- Udawało mu się, nie wzbudzając podejrzeń strażników i nie uruchamiając alarmu? - zapytał Monk.

Le Roux przytaknął.

- Za zegarem urządzili sobie cały warsztat, podłączyli się do sieci elektrycznej i telekomunikacyjnej budynku. Za pomocą laptopa monitorowali ruch kamer przemysłowych, a przez Internet komunikowali się z ekspertami, szukając porad i wskazówek. Mieli tam nawet ekspres do kawy.

- Więc jak się udało go nakryć? - zapytał Disher.

- Wcale go nie nakryliśmy - odparł Le Roux. - Lucien Barlier zawiadomił dyrekcję muzeum, że zegar został naprawiony, a dyrekcja wniosła sprawę do prokuratury.

- Och, wygląda na to, że musieli się go potwornie bać - powiedziałam.

- Wreszcie zaczynasz coś rozumieć - stwierdził Monk. - Kiedy wyszedł z więzienia?

- W ogóle go nie zamykali. Orzeczono mu karę dwustu godzin prac na rzecz dobra publicznego - odpowiedział Le Roux.

- Założę się, że zbierał śmieci - powiedziałam.

- Powiedzmy tylko tyle, że wszystkie zainteresowane strony były zadowolone - zakończył Le Roux.

- Pan mówi, że ten człowiek złamał prawo i uszło mu to na sucho - stwierdził Monk.

- Nie patrzyłbym na to w ten sposób, monsieur Monk.

Stottlemeyer westchnął.

- Co dalej?



- Trzeba aresztować Barliera, zanim znowu kogoś uśmierci - powiedział Monk.

- Kogo jeszcze miałby zabić? - zapytał Gadois.

- Natalie - powiedział Monk. — Dzisiaj wieczorem.

- Wszyscy wiemy, gdzie i z kim mademoiselle Teeger będzie dzisiaj wieczorem przebywała - przypomniał Le Roux. - Gdyby Barlier chciał jej coś zrobić, nie miałby nic do zyskania, a do stracenia wszystko. Musiałby być szalony.

- Mówimy o człowieku, który postanowił porzucić wszystko, aby móc odżywiać się śmieciami - stwierdził Monk. - Jeśli to nie jest szaleństwem, to co nim jest?

Przyszło mi do głowy parę dobrych przykładów - jak choćby mycie klamek w zmywarce, agitowanie na rzecz poprawki do konstytucji wprowadzającej zakaz sprzedaży wielosmakowych lodów czy choćby jednorazowe korzystanie *i* kostki mydła - ale trzymałam buzię na kłódkę.

Widziałam, że argumenty Monka nikogo z nas nie powaliły. Lucien Barlier nie zostanie aresztowany, a moja randka wciąż była aktualna.

- Boże drogi, wyście wszyscy postradali zmysły - jęknął Monk.

Po tych słowach wymaszerował z komendy.

## Asystentka Monka schodzi do podziemia

Resztę dnia Monk spędził na *motocrotte*, czyszcząc chodniki w ósmej dzielnicy.

Ja natomiast przyłączyłam się jako tłumaczka do kapitana Stottlemeyera, który uzbrojony w listę od nadinspektora Le Roux poszukiwał ofiar kradzieży danych osobowych w siódmej dzielnicy, gdzie freeganie najczęściej przetrząsają śmietniki.

Jedna z tych osób zaprowadziła nas do sąsiada, szantażowanego fotografiami i listami miłosnymi do żony współwłaściciela swojej firmy, które kiedyś podarł i wyrzucił. Mężczyzna trzy razy zapłacił szantażyście, ale kiedy odmówił kolejnej zapłaty, jego tajemnice zostały ujawnione, przez co stracił i małżonkę, i firmę.

Stottlemeyer pokazał mu zdjęcia Nathana Chalmersa i Luciena Barliera. Mężczyzna natychmiast wskazał Chalmersa jako człowieka, który go szantażował. Kapitanowi udało się dowieść, że hipoteza Le Roux dotycząca zasad działania Barliera była słuszna.

Po powrocie na komendę dowiedzieliśmy się, że wreszcie udało się złamać kod w komputerze Aimée Dupon.

Chalmers wykorzystywał komputer do оголачania kont bankowych, kopiowania numerów kart kre-

dytowych oraz do przelewania swoich funduszy na konta w Szwajcarii i na Kajmanach. Le Roux przekazał ten wątek śledztwa specjalnemu wydziałowi policji, który zajmował się przestępczością gospodarczą.

Koniec końców uznałam, że dzień był bardzo pracowity i owocny. Wyszłam z komendy o czwartej po południu, aby dać sobie więcej czasu na przygotowanie się do obiadu.

W drodze na stację metra kupiłam małą, ale silną latarkę oraz baterijki. Chciałam być pewna, że jeśli z jakichś powodów zdarzy mi się odłączyć w podziemiach od Barliera, będę potrafiła odnaleźć drogę powrotną.

Jeszcze na komendzie przeczytałam trochę w Internecie o paryskich katakumbach i muszę przyznać, że historia, na którą trafiłam, nieco mnie zmroziła. W listopadzie 1793 roku niejaki Philibert Aspaire, odzwierny szpitala Val de Grâce, postanowił zbadać podziemne korytarze ze świeczką w ręku, pragnąc odszukać osławione piwnice z winami należące do mnichów z klasztoru kartuzów. Aspaire zaginął i nigdy nie dał znaku życia. Jedenaście lat później inżynierowie, którzy sporządzali mapy katakumb, natknęli się na jego szkielet dosłownie parę metrów od wyjścia. Pogrzebali go tam, gdzie go znaleźli.

Być może historia miała apokryficzny charakter, ale doszłam do wniosku, że lepiej zrobię, jeśli będę dmuchać na zimne.

Wróciłam metrem do hotelu. Kiedy wyszłam ze stacji Charles de Gaulle Étoile, zauważyłam w oddali Monka jeżdżącego po chodniku swoim *moto-crotte*, ale wolałam nie zwracać na siebie jego uwa-

gi. Nie interesował mnie kolejny wykład na temat tego, jaka jestem lekkomyślna i pozbawiona rozumu.

W hotelu naładowałam baterię w telefonie komórkowym, wzięłam natrysk i przebrałam się w świeże, ale zwykle, codzienne rzeczy. Włożyłam na siebie sweterek z trójkątnym dekoltem, dżinsy, buty do biegania i lekką kurtkę, ponieważ stwierdziłam, że pod ziemią musi być większa wilgotność niż na powierzchni, a temperatura niższa o dobre kilka stopni.

Włożyłam do torebki mapę katakumb, którą dostałam od Bissona, i wzięłam telefon, choć byłby to cud, gdybym w opuszczonych wapiennych korytarzach, trzydzieści metrów pod ulicami Paryża, złapała zasięg.

Przejazd metrem do stacji Musée d'Orsay trwał dużo krócej, niż się spodziewałam, i przyjechałam kwadrans przed czasem. Kiedy jednak wyszłam z pociągu, Lucien Barlier już na mnie czekał. Siedział na jednej z ławek na peronie i czytał gazetę.

Miał na sobie kamizelkę od garnituru włożoną na białą, rozpiętą pod szyją koszulę. Na mój widok jego twarz rozjaśniła się uśmiechem, którego moc mogłaby zasilić niedużą wioskę.

Barlier złożył gazetę, zostawił ją na ławce i podszedł do mnie sprężystym krokiem, aby się przywitać.

- Miło cię widzieć. Bałem się, że możesz nie przyjść - powiedział.

- Dlaczego sądzisz, że mogłabym cię wystawić do wiatru?

- Z powodu twojego szefa. Wyraźnie nie chciał, abyś przyszła na nasze spotkanie.

- Nie chce również, abym jadła mieszaną sałatkę, a jednak jajem. Sama podejmuję decyzje i nie oczekuję od innych, aby żyli tak jak ja.

- Widzę, że jesteś kobietą z otwartym umysłem.  
- Pewnie ci się teraz wydaje, że możesz spróbować przeciągnąć mnie na stronę freeganów?

- Nie takie mam zamiary - odpowiedział.

- A jakie są twoje zamiary?

Poczułam dreszcz, słysząc własne słowa. Mówiłam jak mój ojciec podczas pierwszych rozmów z moimi chłopakami, których przyprowadzałam do domu w licealnych czasach.

- Chciałbym ci pokazać swój świat i dowiedzieć się czegoś o twoim.

- Mój świat nie jest taki interesujący - powiedziałam.

- Śmiem w to wątpić.

Barlier wyciągnął do mnie rękę. Podałam mu dłoń, a on poprowadził mnie wzdłuż peronu do samej barierki przy tunelu metra.

- Teraz mała sztuczka - powiedział. - Peron jest monitorowany przez miejskie kamery. Zanim zła pią nas strażnicy i zanim ruszy ze stacji następny pociąg, musimy pokonać barierkę, zeskoczyć na to ry i wbiec do tunelu.

Poczułam szybsze bicie serca. W łamaniu reguł i podejmowaniu ryzyka bezsprzecznie jest coś podniecającego.

- Ile mamy czasu? — zapytałam.

- Dwie, trzy minuty. Aha, uważaj, żeby nie stanąć na trzeciej szynie, jest pod napięciem elektrycznym.

- Spróbuję zapamiętać.

W tej chwili Barlier przeskoczył przez barierkę i zsunął się sprawnie na żwir usypany pod torami kolejowymi. Zrobiłam to samo. Chwycił mnie znowu za rękę i wbiegliśmy w ciemność tunelu, gdzie zapachniało wilgocią olejem i moczem.

Miałam wrażenie, że gram w scenie filmowej i że jesteśmy kochankami połączonymi tragiczną miłością, którzy uciekają przed karą za niepełną zbrodnię, a jedyną rzeczą, której jesteśmy winni, była nasza namiętność. Zarówno rzeczywistość, jak i fantazja były upajające.

Naraz poczułam pod stopami łoskot, obejrzałam się przez ramię i zobaczyłam, jak na stację za nami wjeżdża rozpędzony pociąg. Bałam się, że się nie zatrzyma. Ale stanął przy peronie i po chwili usłyszałam świst rozsuwających się w wagonach drzwi.

Barlier odciągnął mnie od torów. Biegłam teraz przy ścianie, tak blisko, że ramieniem ocierałam się o jej chropowatą powierzchnię. Całe szczęście, że włożyłam starą kurtkę.

- Szybko - ponaglił Barlier.

Nie było łatwo biec w ciemnościach po żwirze. Nie miałam pojęcia, dokąd biegniemy. Zacisnęłam palce na jego dłoni. To było moje koło ratunkowe.

Znowu usłyszałam łoskot. Pociąg ruszył i tym razem zdecydowanie jechał już w naszą stronę, i to bardzo szybko.

Barlier wciągnął mnie w jakąś niszę, przywarł plecami do ściany i przyciągnął mnie mocno do siebie. Niemal w tej samej chwili wagony przemknęły obok nas o centymetry, wywołując gwałtowny podmuch, który, jak się zdawało, mógłby mnie wessać z powrotem na tory.

Ale Barlier trzymał mnie mocno. Pachniało od niego mydłem i kremem po goleniu. Był to bardzo męski zapach ze słabą, ledwie wyczuwalną wonią zapleśniałej wilgoci, płynącej prawdopodobnie z ubrania, które przechowywał w podziemnym domu.

Czułam już wcześniej tę woń pleśni - w Tou-

jours Nuit. Ale wtedy nie czułam kremu po goleniu. Chwyciłam się tej drobnej różnicy z taką samą siłą, z jaką przywierałam do Barliera.

Pociąg zdawał się nie mieć końca, wprawiał w drgania ziemię pod nogami, smagał nas podmuchami powietrza. Ramiona Barliera były silne, jego pierś szeroka i ciepła, miałam ochotę złożyć głowę na jego ramieniu, opleść go rękami i zamknąć oczy.

Właściwie byłam rozczarowana, kiedy pociąg przejechał. Jak łatwo zapomnieć, jakie to miłe uczucie być przygarniętym do czyjegoś ciała i jak bardzo mi tego brakuje.

W tym momencie usłyszałam ciche tykanie dobiegające z kieszonki na zegarek w jego kamizelce. Przypomniałam sobie, że Monk słyszał tykanie, kiedy zabójca przechodził obok niego w restauracji. Może jednak nie było to to samo tykanie. Może nie stałam w ciemnym tunelu metra w objęciach mordercy.

Barlier sięgnął ręką za siebie i otworzył ciężkie, metalowe drzwi, o które się cały czas opierał.

Drzwi prowadziły do wąskiego korytarza technicznego, wzdłuż którego ciągnęły się jakieś rurki i rury, oświetlonego co kilka metrów pojedynczą gołą żarówką. Korytarz był taki wąski, że mogliśmy iść tylko jedno za drugim, i to pochyleni.

Barlier wziął mnie za rękę i szybkim krokiem ruszyliśmy przed siebie, aż dotarliśmy do jakiegoś rozwidlenia.

Leżały tam na ziemi dwa kaski z przymocowanymi do nich lampkami. Barlier założył jeden z nich, a drugi podał mnie. Najwyraźniej przygotował je tam wcześniej.

- Teraz się zacznie zabawa - powiedział.

Zdawało mi się, że zabawa już dawno się zaczęła, ale nic nie powiedziałam. Zapięłam kask pod szyją i ruszyłam za nim korytarzem.

Za plecami usłyszałam czyjeś kroki i podniesione głosy, ale Barlier zdawał się nimi nie przejmować.

Nie szliśmy długo, gdy mój przewodnik zanurkował pod jedną z rur, odsunął na bok kawałek falistej blachy i odsłonił jakiś otwór, wystarczająco duży, by precyzyjnie się przez niego na czworakach.

Całe szczęście, że postanowiłam nie wkładać sukni wieczorowej.

Dał mi znak, abym poszła przodem. Nabrałam oddechu i wlałam do króliczej nory. Precyzyjnie się przez dziurę na drugą stronę, gdzie panowała nieprzenikniona ciemność. Z ostrożności pozostałam pochylona, niepewna, jak wysoko znajduje się sufit.

Barlier przeszedł za mną przez otwór i za pomocą drutu przeciągniętego przez dziurkę w kawałku falistej blachy z powrotem zasłonił przejście.

Chwilę później usłyszeliśmy w korytarzu te same głosy i tupot nóg, które minęły w biegu nasz otwór.

Kiedy głosy ucichły, Barlier zapalił lampkę na swoim kasku, ja zrobiłam to samo; światło wydobyło z mroku wykuty w skale tunel. Był na tyle wysoki, że mogliśmy się wyprostować, i na tyle szeroki, że mogliśmy iść obok siebie.

- Musisz to robić za każdym razem, kiedy wracasz do domu? - zapytałam.

Pokręcił głową.

- Istnieje wiele wejść do katakumb, włazy, stare piwnice, zamknięte stacje metra, podziemne parkingi, a nawet kilka wejść na powierzchni ukrytych



w zaroślach na opuszczonych posesjach lub w parkach.

- Dlaczego więc nie skorzystaliśmy z wejścia na powierzchnię?

— Pomyślałem, że to będzie dla ciebie niezapomniane przeżycie — przyznał Barlier. - Zresztą dzięki temu przejdziemy trasą widokową.

Znowu ruszył przodem, a ja tuż za nim, tyle że tym razem nie podał mi ręki.

Temperatura była tu odczuwalnie niższa niż na stacji metra, ale w miarę komfortowa. Wokół czułam zapach wilgoci.

Pokonaliśmy kilka zakrętów, kilka wzniesień i spadków terenu, aż w końcu tunel wyprowadził nas do wielkiej komnaty. W smugach światła naszych lampek dostrzegłam na ścianach kolorowe graffiti, malowidła ludzi i zwierząt, a także prymitywne rysunki ludzi wykonujących prymitywne czynności.

Na jednej z ścian, ktoś wyrzeźbił w skale ogromny szkielet dinozaura. W drugim narożniku ściany ktoś z kolei wyrzeźbił rząd twarzy, które zdawały się przytulać do skały, jakby była to pościel.

Ludzie, którzy wykonywali te dzieła, musieli tu przydźwigać wszystkie potrzebne narzędzia, nie mówiąc już o jedzeniu, picu i jakimś oświetleniu. Potem musieli spędzić tu kilka tygodni, dłubiąc w skale za pomocą młotka i dłuta, samotnie, w przejmującej wilgoci i ciemności.

Dlaczego to robili? Co mieli nadzieję osiągnąć? Liczyli na to, że pod ziemią ich prace będą mogły przetrwać dłużej niż na powierzchni? Kierowała nimi pokusa nieśmiertelności? Czy też coś zupełnie innego?

Wszędzie były niewielkie wnęki i szczeliny, w miej-

scach gdzie kiedyś stały świece, widniały stwardniałe bruzdy wosku. Pod jedną ze ścian stał rząd pustych butelek po winie.

Przeszliśmy przez tę galerię sztuki i zniknęliśmy w jednym z wielu tuneli, które odchodziły promieniście od komnaty niczym szprychy. Domorośla twórczość artystyczna ciągnęła się dalej w korytarzu, którego ściany i sufit pokryte były freskami, płaskorzeźbami, malowidłami, kolorowymi rysunkami i prostymi szkicami.

Na ścianach widniały też zapiski, inicjały i daty: 1870, 1942, 1768, 2002, 1790, 1961. Mknęłam przez czas w przód, w tył i w poprzek. Nawet trudno to było nazwać labiryntem — to był wehikuł czasu.

Podziemne tunele bynajmniej nie były czarną dziurą w ziemi, były kalejdoskopem kolorów, obrazów i słów, uchwyconych w przemykających smugach światła naszych lampek na kasku.

Było tego zbyt wiele, abym mogła to wszystko ogarnąć, a próbując tego dokonać, szybko zdałam sobie sprawę, że całkowicie straciłam orientację. Cieszyłam się, że mam w torebce mapę i że wśród ściennych malowideł mogę od czasu do czasu dostrzec nazwę biegnącej nad nami ulicy lub jakiś pełny adres.

Naraz poczułam odór odchodów, który narastał, w miarę jak wchodziliśmy w głąb tunelu. Jeśli tak będą pachnieć katakumby, to raczej nie zjem wiele z obiecanego obiadu, choćby przygotowywał go sam Gordon Ramsey.

Trudno powiedzieć, żebym była ekspertem w kwestii ścieków, ale gdy smród stał się naprawdę silny, poczułam, że przypomina nie tyle zapach ścieków, ile raczej wiejskiej stajni.

- Trzymacie tu zwierzęta? - zapytałam.

- Nie, oczywiście, że nie - odpowiedział Barlier. - Zapach pochodzi od naturalnego gnoju, którego używamy do nawożenia.

Za następnym zakrętem weszliśmy do podłużnej komnaty, oświetlonej elektrycznymi lampami. Bardzo przypominała komnaty w katakumbach, tyle że zamiast kości, jak okiem sięgnąć ciągnęły się na ścianach uprawy grzybów.

Poletka wydawały się prążkowane niczym chrupki ziemniaczane, pomiędzy nimi biegły wąskie ścieżki, na których kilka osób w kombinezonach rozmazywało nawóz po ścianie gołymi rękami i upychało go kolanami. Widok, którego, miałam nadzieję, Monk nigdy nie zobaczy.

- Opuszczone korytarze są doskonałe do hodowli grzybów — wyjaśnił Barlier. - W powietrzu jest dużo wilgoci, temperatura jest idealna, a starta na proch ziemia jest bogata w sole mineralne.

- Jakiego nawozu używacie?

- Końskiego - odpowiedział. - Najlepszy obornik świata. W pełni naturalny, łatwo dostępny, bogaty w amoniak, azot, fosfaty i potas. Mimo to przywiązujemy baczną uwagę do tego, skąd go bierzemy.

- Nie zbieracie go po prostu z ulicy?

- W Paryżu nie ma wystarczająco dużo koni, aby zaspokoić nasze potrzeby. Rocznie wykorzystujemy do hodowli grzybów dwa tysiące ton nawozu, który musi być czysty i wolny od chemikaliów. Kupujemy go bezpośrednio na gospodarstwach rolnych pod Paryżem, gdzie możemy być pewni, że o konie dobrze się dba, trzyma się je z innymi zwierzętami i karmi zawsze tym samym, dobrym, suchym sianem.

- Kupujecie nawóz? Za pieniądze? To nie narusza waszego wolnościowego etosu?

- Nie powiedziałem, że nigdy nie korzystamy z pieniędzy - powiedział Barlier. — Czasem musimy kupować to, czego inni nie wyrzucają lub czego nie możemy zdobyć poprzez barter czy dotacje. Jak choć by leki na receptę czy opiekę medyczną. Uprawa grzybów, a następnie ich sprzedaż to jedno ze źródeł, które przynoszą dochód w postaci gotówki.

Innym źródłem może być kradzież danych osobowych, ale nie powiedziałam tego głośno.

- Naprawdę jest popyt na wyhodowane przez was grzyby?

- To białe grzyby paryskie - powiedział Barlier. - Uchodzą za rzadki rarytas. W dziewiętnastym wieku w tych pieczarach i tunelach zbierano tysiące ton grzybów rocznie. Jeszcze tylko my hodujemy je w tradycyjny sposób. Nasz smakołyk znajdziesz w menu najlepszych paryskich restauracji.

Ciekawe, czy serwowano je również w Toujours Nuit i czy to wyjaśniałoby plamki końskiego łajna odkryte na podłodze restauracji w wieczór morderstwa Aimée Dupon.

Istniało też oczywiście inne niepokojące wyjaśnienie, o którym jednak nie chciałam teraz myśleć. Mimo to specjalnie wdepnęłam w nawóz, aby laboranci nadinspektora Le Roux mogli zeskrobać go potem z podeszwy mojego buta i sprawdzić, czy łajno odpowiada składem próbkom zebranych w restauracji - choć mogłabym się założyć, że odpowiada.

- Domyślałam się, że w menu naszego dzisiejszego obiadu znajdują się również grzyby - powiedziałam.

- Oczywiście — odparł. — Młode, pulchne i świeże. Prosto z farmy.

Szliśmy dalej przez grzybowe plantacje, aż w końcu weszliśmy w kolejny bogato ozdobiony tunel. Prze-

szliśmy jeszcze przez parę komnat, podstemplowanych kamiennymi filarami i pokrytych trzema wiekami sztuki przez najróżniejszych uciekinierów, rewolucjonistów, artystów czy przypadkowych gości, a także oficjalnymi sygnaturami i opisami, pozostawionymi przez inżynierów, górników, hodowców grzybów lub żołnierzy.

Jednak nie była to tylko monumentalna galeria sztuki czy miejsce o znaczeniu historycznym. Było to także miejsce hucznych imprez i potajemnych schadzek kochanków. Komnaty były zaśmiecone mnóstwem butelek po winie, pustych puszek i styropianowych pudełek z barów szybkiej obsługi, jak również poplamionymi materacami, śpiworami i zużytymi prezerwatywami.

Odór grzybowych upraw dawno już zniknął i znowu czułam zapach wilgoci, niesiony lekkim powiewem chłodnego powietrza.

Po paru kolejnych zakrętach zeszliśmy krętymi, kamiennymi schodami, wyglądającymi tak, jakby zostały tu wykute wieki temu, a potem starte na idealną gładź przez stopy, które je udeptywały przez kolejne stulecia.

Schody prowadziły do ostrołukowego przejścia, za którym, jak się domyślałam, znajdowała się następna komnata. Wylewało się stamtąd przyćmione, pulsujące światło i słyszałam coś, co brzmiało jak woda pluskająca łagodnie o brzeg.

Lucien Barlier usunął się na bok i ukłoniwszy się, gestem ręki zaprosił do środka.

- Witam w moich progach - powiedział.

Minęłam go, weszłam do środka i zaparło mi dech w piersiach.

## Asystentka Monka je obiad

Jednym z moich ulubionych filmów w dzieciństwie był *Willy Wonka i fabryka czekolady*. Jest tam wspaniała scena, w której dzieci odkrywają ogromny ogród z cukierkami i przepływającą przez niego rzeką czekolady, a Gene Wilder zaczyna śpiewać o życiu w świecie czystej wyobraźni.

Teraz wiedziałam, co te dzieci czuły.

Weszłam wolnym krokiem do potężnej wydrążonej w skale wapiennej komnaty, sklepionej łukami wspartymi na wspaniałych kolumnach, oświetlonej dziesiątkami stołowych lampek i setkami świec, których migotliwy blask odbijał się w połyskliwej tafli podziemnego jeziora po prawej stronie.

Na wodzie kołysała się łódka z wiosłami, zacumowana do piaszczystego brzegu, a po lewej stronie, w szerokim korytarzu, ciągnęło się w głąb pole golfowe ze sztuczną trawą. Całe było oświetlone różnymi, zebranymi w śmietnikach lampkami stołowymi, ustawionymi w niewielkich wydrążonych niszach. Kable lampek były podłączone do grubej wiązki przewodów zasilania elektrycznego, biegnących wzdłuż ścian tunelu.

Przedemną, u końca kamiennej ścieżki przecinającej pole golfowe, znajdowała się otwarta część mieszkalna apartamentu Barliera, której wystrój

określiłabym jako komiksowy styl filmowych szwajcarskich Robinsonów.

Kuchnia była wbudowana w płytką niszę w ścianie; zobaczyłam tam drewniane półki zastawione kuchennymi naczyniami, sztucami, papierowymi talerzami, plastikowymi naczynkami, kubkami, garnuszkami, patelniami, butelkami z wodą i żywnością w puszkach. Stał tam również zapełniony stojak na butelki z winem oraz mała lodówka, kuchenka elektryczna, mikrofalówka, a nawet ekspres ciśnieniowy do kawy.

Na jadalnię składała się kolekcja różnorodnych drewnianych i plastikowych krzeseł, ustawionych równo wokół przykrytej obrusem dykty, spoczywającej na równo ułożonych, płaskich kamieniach. Stół był nakryty do obiadu przy świetle świec.

W ścianie obok kuchni również znajdowały się dodatkowe wydrążone w skale półki, zastawione książkami, płytami kompaktowymi i DVD. Zauważyłam też kilka telewizorów, odtwarzacz DVD i stary komputer stacjonarny ustawiony na kilku skrzynkach po warzywach.

Zwróciłam też uwagę na parę nisz zasłoniętych kotarą, które, jak się domyśliłam, służyły za szafy i garderoby, bo w jednej z nich, w pół odsłoniętej, dostrzegłam wiszące na wieszakach rzeczy.

Między kolumnami wisiały dwa hamaki, a wokół paleniska Barlier rozstawił kilka składanych krzesełek plażowych i duży, wygodny leżak z podnóżkiem.

Za wystrój służyły dywany, sztuczne kwiaty w doniczkach i plastikowe drzewka. Ściany w części mieszkalnej ozdobione były obrazami i plakatami oprawionymi w ramy.

Lucien Bar lier wyraźnie rozkoszował się moją reakcją i kompletnym osłupieniem na widok jego podziemnego domu.

—Niesamowite - stwierdziłam.

—Całe życie marzyłem o domku nad jeziorem na polu golfowym - wyjaśnił. - Chociaż nigdy mi nie przyszło do głowy, że znajdę go pod ziemią.

—To coś w rodzaju *Upiora w operze*, tyle tylko, że nie nosisz maski.

—Wszyscy nosimy jakąś maskę — odparł.

Barlier minął mnie niespiesznym krokiem i podszedł do pola golfowego, gdzie stała torba z kompletem kijów do gry w golfa. Wydobył z niej dziwnego kształtu kij, bardzo dobrej jakości, z licem wyglądającym jak pałkowata forma opiekacza do gofrów.

— Może przed obiadem zagramy partyjkę? — za pytał.

Uderzył lekko piłkę, która potoczyła się wprost do pierwszego dołka.

—Minigolf nigdy nie był moją pasją— powiedziałam i wskazałam na jezioro. - To słodka woda?

—Owszem, ze źródeł naturalnych, choć mimo wszystko bym jej nie pił, za to można się w niej kąpać, można podziwiać jej urodę i można przy niej wtoczyć do dołka kosz piłeczek golfowych.

Przebiełam kamienną ścieżkę i weszłam do części mieszkalnej.

— Wszystko, co tu masz, jest właściwie ogólnie dostępne. Nie boisz się, że mogą tu wpaść katanie i wszystko ukraść?

Barlier wzruszył ramionami.

— Nie przywiązuję się do rzeczy materialnych, wszystko znalazłem na śmietnikach. Nie ma tu nic,



czego nie można by łatwo zastąpić. Zresztą zazwyczaj wiem, gdy ktoś krąży w tunelach. Moje telewizorki są podłączone do miejskiego systemu monitoringu miasta.

Nagle przypomniałam sobie, jak inspektor Ga-dois pokazywał nam zapis z kamer przemysłowych, na których Aimée Dupon śledziła nas, gdy zwiedzaliśmy z Monkiem Paryż. Na nagraniu nie było widać, aby, poza nią, ktoś za nami szedł. Nikt z nas nie wpadł na to, że z tych samych kamer może korzystać ktoś inny, aby z daleka śledzić każdy nasz krok.

Lucien Barlier mógł nas obserwować, nie ruszając się z wygodnego hamaka. Jeśli on mógł, to rzecz jasna mógł to również robić każdy inny. Przewody zasilające kamery, do których Barlier się podłączył, aby zdobyć obraz z ulic, ciągną się korytarzami pod całym miastem.

Barlier podszedł do stołu i odsunął dla mnie krzesło.

- Siadaj proszę, zaraz podam do stołu.

Usiadłam, a on wszedł do kuchni i po chwili przyniósł koszyczek białego pieczywa, trochę sera i butelkę wina.

Podczas gdy ze smakiem jadłam swoje *hors d'ouvres* i popijałam wino, Barlier włożył do odtwarzacza płytę kompaktową i po komnacie poniosło się ciche echo muzyki poważnej. Akustyka była znakomita. Ten wieczór był przeżyciem, jakiego nigdy wcześniej nie doświadczyłam. Istotnie niezapomniany. Mogłam tylko dziękować Monkowi.

Niełatwo było mi to wyznać, nawet przed sobą, ale Monk miał słuszość, twierdząc, że śledztwo pokaże mi Paryż od strony, od której nigdy później

nie będę miała okazji go zobaczyć, i że przeżyję coś wyjątkowego i zupełnie innego od tego, co przeżywałam tu kiedyś z Mitchem.

Rozważałam właśnie, czy powinnam podzielić się z Monkiem swoją refleksją gdy Barlier postawił na stole zieloną sałatę ze świeżą marchewką ogórkami i białymi grzybami, polaną lekkim wi-negretem.

- To wszystko pochodzi ze śmietników? - zapytałam, kiedy postawił przede mną miseczkę z sałatką.

- Poza grzybkami - odpowiedział, siadając po drugiej stronie stołu. - Są świeżutkie, zebrałem je dziś rano.

Zawahałam się na moment, ale potem wzięłam małą porcję do ust. Sałatka smakowała wybornie. Gdyby mi nie powiedział, że to warzywa wyrzucone przez ludzi na śmietnik, nigdy bym się tego nie domyśliła po jej wyglądzie, kruchości czy smaku.

- Wspaniała — powiedziałam.

- Wydajesz się zaskoczona.

- Bo widziałam, gdzie robisz zakupy - odpowiedziałam, biorąc do ust następną porcję.

- Przewyciężenie awersji do rzeczy z kontenerów zabiera trochę czasu, ale negatywne odczucia znikają gdy człowiek się przekona, że nie wszystko jest śmieciem tylko dlatego, że ktoś postanowił się tego pozbyć. Wystarczy popracować dzień czy dwa przy kontenerach, żeby na własne oczy zobaczyć, że ludzie wyrzucają wiele rzeczy, które nie są ani zepsute, ani przegniłe. Każdy tak powinien postępować.

- Jak na osobę, która twierdzi, że nie chce mieć wyznawców, przejawiasz co nieco prozelityzmu.

- Wybacz. Po prostu jestem pasjonatem.  
- Wciąż nie bardzo rozumiem, skąd się u ciebie wzięła taka pasja - powiedziałam. - Wspomniałeś kiedyś, że pewnej bezsennej nocy doznałeś olśnienia. Coś jednak musiało je wywołać. Nie uwierzę, że któregoś dnia się obudziłeś i jak gdyby nigdy nic postanowiłeś porzucić społeczeństwo.

- Wciąż jestem jego częścią - podkreślił Barlier. - Przestałem tylko poświęcać życie na zarabianie i wydawanie pieniędzy.

- Unikasz odpowiedzi na moje pytanie.

- Unikam.

- W takim razie odpowiedź musi być dla ciebie kłopotliwa. Albo bolesna.

Westchnął i odłożył widelec.

- Byłem zakochany. Ona robiła karierę w zarządzie dużej korporacji, podobnie jak ja, choć w innej branży. Była utalentowana, ambitna i lubiła rywalizację. Oboje tacy byliśmy. Częścią tej gry jest wyglądać zawsze jak zwycięzca; być odpowiednio ubranym, jeździć odpowiednim samochodem, mieszkać w odpowiedniej dzielnicy. Gdy tylko było to możliwe, próbowaliśmy znaleźć dla siebie czas wolny, ale to były stracone chwile, zawsze na pierwszym miejscu była praca. Dla obojga z nas. Pewnego dnia przechodziła przez ulicę i wpadła pod ciężarówkę. Zginęła na miejscu.

- Bardzo mi przykro.

- Rozmawiała przez komórkę i nie uważała.

- To może się przytrafić każdemu - zauważyłam.

- Kiedy przechodziła przez ulicę, rozmawiała ze mną - ciągnął Barlier. - BMW właśnie wypuścił na rynek „piątkę” po liftingu, a ja od sześciu miesięcy jeździłem w leasing poprzednim mo-

delem. Przekonywała mnie, że powinienem zmienić umowę i wziąć nowy model, bo w starym nie będę już dobrze widziany.

— Nie możesz się obwiniać za to, co się stało - powiedziałam. — Równie dobrze mogła rozmawiać z kimś innym na inne tematy. To nie twoja wina, że zginęła.

Barlier zebrał talerze po sałatce i wyszedł do kuchni po następne danie. Kiedy mówił, wyjął coś z lodówki i włożył to do kuchenki mikrofalowej.

- Wiem. To był wypadek. Ale fakt pozostaje faktem; straciła życie, zamartwiając się, że jeżdżę samochodem, którym nie powinienem jeździć, bo źle wygląda w oczach innych. Uświadomiłem sobie wtedy, jak bezcelowe i powierzchowne było nasze życie, jak wiele czasu nam przeciekło, jak wiele radości przeszło koło nosa, bo pochłaniało nas tylko zarabianie pieniędzy i obnoszenie się ze swoim statusem społecznym, który można było zmierzyć tym, co się kupiło. Zrozumiałem, że w życiu musi chodzić o coś więcej i na pewno można żyć inaczej. Wtedy doznałem ośnienia.

Drastyczne zmiany, których Lucien Barlier dokonał w życiu, wydały mi się w takim kontekście dużo bardziej wiarygodne. W żałobie, złości i poczuciu winy znalazł motywację. Nie twierdzę, że nie czuł się oddany całym sercem filozofii freega-nów, ale kryło się za tym coś więcej niż tylko troska o społeczeństwo, środowisko naturalne i współtowarzyszy. Odprawiał pokutę.

Tak mi się przynajmniej wydawało z punktu widzenia marnego psychologa.

- Więc tragedię chciałeś obrócić w dobro.

— Nie chciałem zmieniać myślenia i postępowa-

nia ludzi. Chciałem tylko zmienić siebie. Wciąż tak jest. Ale byłbym nieszczery, gdybym ci wmawiał, że nie cieszy mnie widok ludzi, którzy zdecydowali się pójść w moje ślady - tłumaczył.

—Jednak Bob Smith poszedł innym śladem - stwierdziłam.

—To prawda - przyznał Barlier.

W tej chwili zadźwięczała kuchenka mikrofalowa. Barlier wyjął ze środka półmisek i odwrócony do mnie plecami zaczął coś wykladać na talerze.

— Smith wybierał ze śmietnika materiały, które wykorzystywał do kradzieży danych osobowych i szantażu - powiedziałam. - To był ten jego nowy ślad? Czy może ty też to robiłeś?

Barlier przyniósł do stołu drugie danie i, co trzeba mu oddać, nie rzucił mi na kolana talerza do góry dnem, z gniewnym oskarżeniem, że w jego własnym domu zachowuję się jak szpieg.

— Pieczony kurczak nadziewany ryżem, brukselką i ziemniakami purée — powiedział z uśmiechem, wrócił do kuchni po swój talerz i usiadł naprzeciwko mnie.

Nie zaczynałam jeść. Czekałam. Popatrzył na mnie i ciężko westchnął.

— To był pomysł Boba. Uważał, że powinniśmy ukarać baronów przemysłu i bogatych prezesów wielkich firm, którzy nie tylko ciągną największe zyski ze społeczeństwa konsumpcyjnego, ale ponadto, w życiu prywatnym, produkują najwięcej odpadów. Zdaniem Boba, ci ludzie zasłużyli sobie, żeby stracić trochę gotówki. Produkcja i dystrybucja towarów to źródło niebываłych nierówności i niesprawiedliwości społecznych, nie wspominając o kolosalnym marnotrawstwie zasobów naturalnych. Oni czerpią z te-

go dochody. Tymczasem moglibyśmy przeznaczyć te pieniądze na sprawę ochrony dóbr naturalnych, pomoc dla osób skrzywdzonych przez konsumpcjonizm i na głoszenie naszych idei.

- Nie odpowiadał ci pomysł Boba? - zapytałam i zaczęłam jeść kurczaka, który się okazał doskonały.

- To wbrew prawu.

- Mieszkanie tutaj też jest wbrew prawu - stwierdziłam. - Podobnie jak podłączanie się do miejskich instalacji dla ściągnięcia energii elektrycznej, telewizji kablowej i usług telekomunikacyjnych. I podobnie jak wykorzystywanie miejskiego systemu monitoringu.

- To, co robił Bob, było innym rodzajem łamania prawa, w każdym razie dla mnie - stwierdził Barlier. - Smith łamał pryncypia, w które głęboko wierzyłem, a jeśli zostałyby przyłapany, unicestwiłby kulturę freeganów. Toteż odszedł.

- I pociągnął za sobą innych - dodałam. - W tym Aimée Dupon.

- Aimée nienawidziła korporacji. Jej ojciec poświęcił jednej z nich całe życie, a tuż przed emeryturą okazało się, że chciwy zarząd przez długie lata rozkradał firmowe fundusze emerytalne, by zapewnić sobie coraz wyższy standard życia. Ojcu Aimée nie zostało dosłownie nic. Zawsze chciała się odegrać. Bob dał jej taką możliwość.

- Ty postanowiłeś postępować zgodnie z zasadami etyki.

- Całe moje życie polega na tym, aby postępować zgodnie z zasadami etyki - odparł Barlier.

- Ktoś bardziej cyniczny, nawet gdyby wierzył, że nie był zamieszany w kradzieże i szantaże,

musiałby dostrzec w działaniach Boba i jego zagrożeniu dla ciebie wystarczający motyw do zabójstwa.

- Jesteś tak cyniczna?

Zanim zdążyłam odpowiedzieć na to pytanie, odpowiedział za mnie Adrian Monk.

- To nie ma nic wspólnego z cynizmem. O tym świadczą dowody.

Jednocześnie odwróciliśmy głowy i zobaczyliśmy, jak przez ostrołukowe przejście wchodzi Monk w kombinezonie biologicznego odkażania, a za nim kapitan Stottlemeyer, nadinspektor Le Roux oraz Antoine Bisson z noktowizyjnymi goglami na szyi.

- Jest pan aresztowany - oznajmił Monk.

## Monk rozwiązuje zagadkę dwóch morderstw

Wstałam i zagroziłam Monkowi drogę, gdy przechodził przez pole golfowe.

- Co pan tu robi? - Byłam wściekła i nie chciałam tego ukrywać.

- Wydawało mi się, że przed sekundą to wyjaśniłem - odpowiedział.

Nadinspektor Le Roux wystąpił krok naprzód i skłonił się w przepaszającym geście.

- Przepraszam, że zakłóciliśmy państwu wieczór, ale monsieur Monk był nieugięty.

- Zawsze jest nieugięty — wysyczałam.

- Monk postanowił ściągnąć Bissona, aby nas tu przyprowadził, bez względu na to, czy się z nim wybierzemy. Uznałem, że będzie jednak lepiej, jeśli przyjdziemy wszyscy - tłumaczył Stottlemeyer, rozglądając się z zadziwieniem. - To istnieje naprawdę czy to jakiś teatr? <

- Skoro już panowie jesteście, proszę, siadajcie - powiedział Barlier. - Może do nas dołączycie?

- To nie jest misja samobójcza - stwierdził Monk. - Przybyliśmy rozwiązać zagadkę morderstw Nathana Chalmersa i Aimée Dupon.

- Mam wielką nadzieję, że to się wam uda - oznajmił Barlier. - Ale obawiam się, że tutaj nie znajdziecie odpowiedzi.



- Ale znajdziemy narzędzie zbrodni. - Monk podszedł do kija golfowego, który leżał porzucony na polu golfowym. - Wzór na główce kija idealnie odpowiada śladom na czaszce Chalmersa.

- *Incroyable* — powiedział Le Roux i przykucnął obok kija, przyglądając mu się z uwagą. - Wydaje mi się, że istotnie tak jest - stwierdził po chwili.

Teraz, gdy mocniej się nad tym zastanowiłam, zdałam sobie sprawę, że mnie również tak się wydawało. Cholera. Monk miał rację od początku do końca. Nie powiem, żebym była tym zaskoczona. W kwestii morderstw nie mylił się nigdy.

Wszystkie ślady miałam przed oczami. Ba, tym razem wszystkie je zauważałam. Dlaczego więc obdarzałam Barliera jakimś szczególnym przywilejem i wciąż wątpiałam w jego winę? Czyżbym dała się głupio omotać tym górnolotnym, romantycznym marzeniom, które z mojej własnej woli przemieniły się w chore urojenia?

Bardziej byłam teraz zła na siebie niż na Monka za najście czy Luciena Barliera za to, że się okazał mordercą.

- Naprawdę uważa pan, że gdybym to ja zabił Boba, trzymałbym u siebie w domu narzędzie zbrodni? - zapytał Barlier.

- Pan nie potrafi nic wyrzucić - wyjaśnił Monk. - Pański chory etos doprowadził pana do zguby.

- W sklepach są prawdopodobnie tysiące takich kijów. Każdy mógł zabić Boba czymś takim.

- Patrząc na to, jak i gdzie pan mieszka, jestem pewien, że nie umył pan tego kija zbyt dokładnie - powiedział Monk. - Jestem pewny, że technicy znajdą na nim ślady krwi i naskórka, a to nam wystarczy.

- Nawet jeśli znajdą, to jeszcze niczego nie do-

wodzi. - Barlier mówił trochę już poirytowanym głosem. - Sam pan widzi, jak łatwo tu wejść. Każdy mógł użyć tego kija do morderstwa, a potem włożyć go z powrotem do mojej torby.

- Być może sąd uwierzyłby panu - powiedział mój szef, przechodząc do kuchni. — Gdyby nie dowody świadczące o tym, że zamordował pan także Aimée Dupon.

- Ty łajdaku — syknął Bisson, patrząc groźnie na Barliera. - Jak mogłeś?

- Nie zabiłem jej - odpowiedział mu Barlier. - Kochałem ją.

- Dzisiaj rano powiedział nam pan coś innego - zauważył Stottlemeyer.

- Może nie chciałem się zwierzać ze swoich uczuć. Ale tylko po to, żeby niepotrzebnie nie rzucać na siebie podejrzeń. Nie możecie mi mieć tego za złe.

- Możemy pana za to aresztować - oświadczył Le Roux.

- Nie bez dowodu, że miałem coś wspólnego z jej śmiercią a nie miałem.

- Omotałeś ją - powiedział Bisson. - Kazałeś jej myśleć, że ludzie tak powinni żyć, a kiedy cię zostawiła, jak kiedyś zostawiła mnie, po prostu ją zabiłeś.

- To nieprawda.

- Dowody mówią coś innego - stwierdził Monk. - Oto, co się stało...

- Pan pozwoli, panie Monk — przerwałam i odwróciłam się do Barliera, który patrzył na mnie z takim rozczarowaniem w oczach, jakbym go zdradziła. — Za pomocą miejskiego monitoringu śledziłeś nas i Aimée Dupon, jak idziemy do restauracji Toujours Nuit. Sam mi powiedziałaś, że do tuneli prowadzą tysiące przejść, w tym również z piwnic.

Korzystając z podziemnego korytarza, przedostałeś się pod Toujours Nuit i wszedłeś tam przez piwnice, dlatego nikt nie widział, jak wchodziłeś do restauracji ani jak z niej wychodziłeś.

- Nikt mnie nie widział, ponieważ mnie tam nie było - stwierdził Barlier.

- Popeliłeś błąd - mówiłam dalej. - Na podszewkach butów przeniosłeś na dywan w restauracji koński nawóz z plantacji grzybów.

- Koński nawóz niczego nie dowodzi. Każdy mógł zrobić to, o czym mówisz. To żaden dowód, że to byłem właśnie ja.

- Ma rację - stwierdził Le Roux.

- W ciemnościach czuliśmy stęchły zapach twojego ubrania - powiedziałam. - Słyszeliśmy tykanie twojego zegarka.

- Rozpoznałbym to tykanie wszędzie - wtrącił Monk.

- To także żaden dowód - stwierdził Barlier. - Nie macie nic, co dowodziłoby mojej obecności w restauracji tego wieczoru.

- My nie, ale pan ma - powiedział Monk.

- O czym pan mówi?

- Po morderstwie zauważyłem, że pojemnik na śmieci za salą restauracyjną jest pusty - mówił Monk. - W środku nie było nawet plastikowego worka. Dlaczego? Ponieważ zabrał pan cały worek ze sobą.

- To absurd - zachnął się Lucien Barlier. - W ogóle nie byłem wtedy w restauracji i choć istotnie przeglądam kontenery, to nie znaczy, że z każdego pojemnika, jaki przypadkowo zobaczę, wyjmuję worek ze śmieciami.

- Zanim nas obsłużono, poprosiłem kelnerkę, aby

przyniosła nowe talerze, ponieważ te, które stały na stole, były obtłuczone - ciągnął Monk. - Kelnerka twierdziła, że talerze znakomicie nadają się do użytku, ale uparłem się, żeby je wyrzuciła ze względu na bezpieczeństwo publiczne, i ona to zrobiła. Pan słyszał tę rozmowę.

Monk wziął do ręki serwetkę i chwycił przez nią jeden z talerzy z kuchennej półki. Podniósł go do góry, aby każdy widział.

- To mój talerz z restauracji - oświadczył. - Pan oczywiście uznał, że można z niego jeszcze korzystać. Nie potrafił pan ścierpieć, że taki talerz ląduje na śmietniku.

- Jadł pan w absolutnych ciemnościach, monsieur Monk - odezwał się Le Roux. - Jak to możliwe, aby rozpoznał pan ten talerz?

- Czuję go palcami.

- Ale go pan nie widział — stwierdził Le Roux.

- Nie ma dwóch takich samych obtłuczonych talerzy - powiedział z przekonaniem Monk. - Jeśli sprawdzicie znak firmowy pod spodem, zobaczycie, że to talerze z Toujours Nuit. Jeśli to dla was mało, to znajdziecie na talerzu moje odciski palców, podobnie jak odciski kelnerki i innych osób z personelu.

Lucien Barlier pokręcił głową.

- Naprawdę uważa pan, że zamordowałem Aimée, a potem przyniosłem do domu ten talerz, bo nie mogłem znieść, że ktoś chce go wyrzucić?

- Nie tylko mój - powiedział Monk. - Również talerz Natalie.

- Musiałbym być szalony, żeby zrobić coś takiego — stwierdził Barlier.

- Niech pan tylko spojrzy, jak pan żyje - stwierdził Monk z przekąsem. - Sprawa jest zamknięta.

- W rzeczy samej - potwierdził nadinspektor Le Roux. — Monsieur Barber, jest pan aresztowany pod zarzutem morderstwa Nathana Chalmersa i Aimée Dupon. Proszę wstać i położyć dłonie na karku.

Barlier zrobił, jak mu kazano, świdrując mnie wzrokiem, gdy Le Roux skuwał go na plecach kajdan-  
kami.

- Jestem niewinny - powiedział.

Le Roux spojrział na Monka.

- *Incroyable*. Jest pan najlepszym detektywem, jakiego w życiu znałem.

Stottlemeyer chrząknął głośno.

- Musiał pan to powiedzieć, panie nadinspektorze?

- Ale to prawda - stwierdził Le Roux.

- On ma rację, kapitanie, to szczerą prawdą - potwierdził Monk.

Prawdopodobnie Monk był również najmniej skromnym detektywem, jakiego znał w życiu nadinspektor Le Roux.

- Monsieur Bisson - odezwał się Le Roux do malarza. — Byłby pan uprzejmy i wyprowadził nas stąd z powrotem na ulicę?

- Z przyjemnością. - Bisson założył gogle i skierował się w stronę wyjścia.

Siedziałam jeszcze przez chwilę na krześle, zastanawiając się głęboko nad wszystkim, co właśnie wyszło na jaw. Nurtowało mnie jedno pytanie, na które nie znałam odpowiedzi.

Już otworzyłam buzię, aby się odezwać, gdy Monk, jakby czytając moje myśli, zrobił coś zupełnie niezwykłego.

Położył palec na ustach i mrugnął do mnie.

Kiedy wyszliśmy z katakumb przy stacji metra Musée d'Orsay, porucznik Disher i inspektor Gadois czekali tam na nas z dwoma umundurowanymi policjantami. Przy chodniku stały dwa radiowozy.

Monk wciąż trzymał oba talerze, a kapitan Stottlemeyer niósł kij golfowy.

Le Roux podszedł z Lucienem Barlierem do inspektora Gadois.

- Zawieźcie tego człowieka na komendę i przedstawcie mu zarzut zamordowania Nathana Chalmersa i Aimée Dupon.

- Tak jest — odpowiedział służbiście Gadois i zaprowadził Barliera do jednego z policyjnych samochodów.

Disher zmierzył Barliera niechętnym spojrzeniem.

- To jest ten „upiór z opery” naszej Natalie? Wielkie mi co. Jakoś nie czuję tej siły magnetycznej. Wygląda jak zwykły rzezimieszek.

- Może chodzi o francuski akcent. Kobiety nie potrafią mu się oprzeć - stwierdził Stottlemeyer.

- Dlatego wciąż nad nim pracuję - powiedział poważnie Disher.

Musiałam się szybko odwrócić do nich plecami, żeby nie gruchnąć któregoś lub żeby nie zrobiło mi się mdło, a może nawet jedno i drugie.

- Dziękuję panu, monsieur Monk, za dopilnowanie, by sprawiedliwości stało się zadość — powiedział Antoine Bisson. - Gdyby nie pan, ten drań nigdy nie zostałby złapany.

- To okrutna ironia, że dla człowieka tego pokroju cela więzienna jest krokiem naprzód w standardach życia - podsumował Monk.

Le Roux otworzył bagażnik swojego samochodu, wyjął z niego większe worki na dowody rzeczowe-

we i podał je Monkowi, który ostrożnie umieścił w nich oba talerze.

- Mam nadzieję, że filozofia Luciena przetrwa te wydarzenia - powiedziałam.

Bisson spojrzał na mnie.

- Co tu ma przetrwać? To od samego początku było hochsztaplerstwo czystej wody. Kradli pieniądze i tyle.

Stottlemeyer wsadził do worka kij golfowy i ostrożnie włożył worek do bagażnika. Monk podszedł do obu detektywów w samochodzie i zamienił z Le Roux kilka słów, których nie dosłyszałam.

- To Nathan Chalmers kradł, nie Barlier - powiedziałam.

- Skąd pani może wiedzieć? — zapytał Bisson.

- Kradzież jest wbrew jego etyce.

- Ale morderstwo nie - stwierdził z przekąsem Bisson. - Doprawdy, kieruje się bardzo dziwną etyką.

Nadinspektor Le Roux podszedł do Bissona.

- Odwieziemy pana do domu i tam spiszemy szybko pańskie zeznania. Tak będzie dla pana wygodniej, nie będzie pan musiał jeździć na komendę.

- *Merci* - podziękował Bisson.

Wsiedliśmy wszyscy do jednego samochodu. Monk i Le Roux z przodu. Stottlemeyer, Bisson i ja z tyłu.

W czasie jazdy w ogóle nie rozmawialiśmy, każdy pozostawał zatopiony we własnych myślach. Jedyne z policyjnego radia dochodziły nas jakieś chrobotliwe dźwięki. Ale we wstecznym lusterku dostrzegłam coś dziwnego.

Gadois i Disher nie pojechali z Barlierem w kierunku komendy policji. Cały czas trzymali się nas.

## Monk i dzieło sztuki

Zanim jednak dojechaliśmy do budynku, w którym mieszkał Antoine Bisson, Gadois gdzieś skręcił i zniknął nam z oczu. Doszłam do wniosku, że po prostu przez jakiś czas jechali w tym samym kierunku. Wysiedliśmy wszyscy z samochodu i weszliśmy po schodach do mieszkania na poddaszu.

Kiedy Bisson otwierał kluczem drzwi, odwrócił się niepewnie do Monka.

- Niech mi pan obieca, że nie zniszczy mi już pan żadnego obrazu.

- Gdzieżbym śmiał - odpowiedział Monk.

Weszliśmy do środka. Jak się wydawało, nic się nie zmieniło. Praca przy obrazie ustawionym na sztaludze nie postąpiła ani o krok.

- Szkoda, że nie okazał pan takiego opanowania podczas ostatniej wizyty - mruknął Bisson. — W ostatniej chwili powstrzymałem pana od naprawienia drugiego obrazu.

- Obrazu lub raczej wyznania winy - powiedział Monk, stojąc przed obrazem, od którego odciągnął go wówczas Bisson.

Malowidło przedstawiało martwą naturę ze szkieletem ryby na wyszczerbionym talerzu.

Dopiero w tym momencie olśniło mnie i zorientowałam się, na co patrzę. Podobnie chyba jak wszyscy



inni, może poza Bissonem. Albo on po prostu nie chciał tego przyjąć do wiadomości. Mogłam zrozumieć dlaczego.

- Nie wiem jeszcze, jak ten obraz zatytułować - wyznał.

- Oszczędzę panu tego wysiłku - stwierdził Monk — Powiedziałbym po prostu, że to mój talerz z restauracji Toujours Nuits.

- To tylko zwykły obtłuczony talerz. W treść dzieła wkłada pan siebie i swoje doświadczenia — mówił Bisson. - Taka jest emocjonalna siła wielkiej sztuki. Niech się pan nie martwi. Biorę to za komplement.

Raptem do mieszkania weszli Disher, Gadois i Lucien Barlier. Od razu rzuciły mi się w oczy dwie rzeczy: Barlier nie miał już rąk skutych kajdankami, a Gadois trzymał worek z obtłuczonym talerzem.

Monk wziął worek od inspektora, wyjął talerz i podniósł go na wysokość obrazu, aby dobrze można je było porównać.

Pasowały do siebie jak ulał.

- Nawet przystawkę oddał pan bardzo wiernie - powiedział Monk. — Wędzona rybka. Choć wbrew temu, co pan namalował, nie mieliśmy okazji jej zjeść.

- Mam nadzieję, że wzięliście ją na wynos — powiedział Disher. - Wędzona ryba to prawdziwy przysmak.

- To Barlier zabił Aimée — powiedział Bisson. - Sam pan tego dowiódł.

Monk potrząsnął głową.

- Lucien Barlier jest co prawda mocno pomyłony, ale nie jest głupi. Oto, co się stało. Zabił pan Nathana Chalmersa kijem golfowym Barliera i po-

rzucił ciało w tunelach w nadziei, że znajdą je katanie i posądzą Barliera. Jednak, jak przypuszczam, on pierwszy natknął się na ciało. Nie wiedział, jak Chalmers został zabity ani kto tego dokonał, ale wiedział, że będzie pierwszym podejrzanym. Przeniósł więc szczątki Chalmersa w miejsce, gdzie, jak sądził, nikt ich nigdy nie znajdzie.

—Wciąż nie mogę się nadziwić, że jednak ktoś je znalazł. - Barlier skłonił z uznaniem głowę w stronę Monka, potwierdzając jego słowa.

—Z chwilą, gdy znalazłem czaszkę Chalmersa, sprawy zaczęły się toczyć własnym rytmem. - Monk przeniósł wzrok z powrotem na Antoine'a Bissona. — Wiedział pan, że Aimée rozpozna ciało Chalmersa i to pan teraz stanie się prawdopodobnie głównym winowajcą, ponieważ Barlier wyrzeka się przemocy. Nie chciał pan zabijać Aimée, ale musiał pan to zrobić. Rzucił pan podejrzenie na Barliera, zaczynając od tego, że to przecież on przyciągnął ją do freeganów. Postanowił go pan zrobić.

Monk dowodził dalej, że wszystko potoczyło się tak, jak już wcześniej wyjaśniał, tyle tylko, że to Antoine Bisson był tym, który nas śledził przez kamery miejskiego monitoringu i który wykorzystał przejście w podziemnych tunelach, by wejść do restauracji, a potem z niej wyjść przez nikogo niezauważony.

Kiedy Bisson usłyszał żądanie Monka, aby kelnerka wyrzuciła talerze, dostrzegł w tym idealną sposobność na obarczenie Barliera odpowiedzialnością za morderstwo. Postarał się również, aby przejść obok nas na tyle blisko, żebyśmy poczuli stęchłą woń jego ubrania i usłyszeli tykanie zegarka.

— Sęk w tym, że tykanie dochodzące z kieszeni

Barliera różni się od tykania, które słyszałem wtedy w restauracji - oświadczył Monk. - Pan użył zwykłego stopera.

- Potrafi pan wychwycić różnicę między tykaniem dwóch zegarków? - zdumiał się Gadois. -I jeszcze ją zapamiętać?

- To przecież to samo co odróżnienie dwóch innych głosów.

- Tylko dla tych, którzy potrafią rozłupać kilkadziesiąt fistaszków, wyjąć orzeszki ze skorupki, wszystko wymieszać, a potem na powrót je poskładać - powiedział Stottlemeyer.

- To przecież niemożliwe - zdziwił się Le Roux.

- Na własne oczy widziałam, jak to robi dla zabawy — powiedziałam.

W ten sposób Monk z nudów zabijał czas na Hawajach, zanim podjął śledztwo w sprawie morderstwa.

- To bardzo popularna zabawa w Ameryce - rzekł Monk. - Powinien pan też spróbować.

- Pan jest bardziej stuknięty od Barliera - stwierdził Bisson.

- Tak bardzo starał się pan naprowadzić nas na ślad Barliera i na dowody, które pan podzucił, że nawet wręczył nam pan mapę prowadzącą do celu - kontynuował Monk. - Poprosiłem dzisiaj, żeby zaprowadził nas pan do jamy Barliera, bo chciałem się upewnić, że zna pan drogę. Poprowadził nas pan nawet przez plantację grzybów, by być pewnym, że skojarzymy ślady końskich odchodów. Ale tu właśnie popełnił pan największy błąd.

- Większy od tego, że namalował na ścianie coś, co widział wcześniej wyłącznie morderca? - zapytał kapitan Stottlemeyer.

— Błąd polegał na tym, w jaki sposób wi-  
dział to, co później namalował - stwierdził Monk. —  
Otóż w wieczór morderstwa Bisson miał na nosie  
gogle na podczerwień. To dzięki nim swobodnie się  
poruszał w absolutnych ciemnościach restauracji, bez  
żadnego oświetlenia, a dzisiaj poprowadził nas do  
mieszkania Barliera.

W ten sposób Monk odpowiedział na pytanie, które  
cisnęło mi się wcześniej na usta - jakim cudem Barlier  
mógł wszystko widzieć w restauracji, nie włączając  
latarki? Teraz zrozumiałam, dlaczego Monk mnie  
uciszył. Nie chciał, abym przypadkowo wygadała przy  
Bissonie, że aresztowanie Barliera jest tylko  
inscenizacją. Nie sądzę, żeby nawet Le Roux został w  
to wtajemniczony, zapewne dopiero na zewnątrz, przy  
stacji metra Musée d'Orsay, kiedy widziałam, jak Monk  
szepcze coś nadinspektorowi w samochodzie.

—Barlier również mógł założyć takie gogle -  
stwierdził Antoine Bisson.

—Wszystko, co Barlier posiada, pochodzi ze śmiet-  
nika - powiedział Monk. - Nikt nie wyrzuca na śmieci  
sprawnych gogli noktowizyjnych.

—Więc je kupił — powiedział Bisson.

—Tyle tylko, że Barlier osobiście niczego nie kupuje.  
To wbrew jego niewzruszonym zasadom. Zresztą w  
domu również nie miał takich gogli.

—Po prostu szybko je wyrzucił - stwierdził Bisson.

—Dlaczego miałyby wyrzucać drogie i użyteczne  
gogle, a zatrzymałby kij golfowy, którym zamordował  
Chalmersa, i talerze ocalone ze śmietnika w restauracji,  
gdzie zabił Aimée Dupon? - pytał Monk. - To chyba  
nielogiczne, prawda?

Bisson spuścił głowę.

- Kochałem ją nad życie — wyznał cicho.  
- W takim razie powinieneś odebrać życie sobie, a nie jej - powiedział Barlier.

- Masz rację - stwierdził Bisson i rzucił się do okna.  
Kapitan Stottlemeyer skoczył błyskawicznie za nim, ale nie zdążył.

Bisson zanurkował w okno, z rękoma wyciągniętymi przed siebie, głową schowaną między ramiona i ciałem wyciągniętym jak struna, jakby skakał do basenu, a nie w przejrzyste powietrze.

Zanim dobiegliśmy do strzaskanego okna, Bisson, niczym strzała, przedarł głową markizę małego bistro, gdzie sprzedawano falafele, i wylądował na rozgrzanym ruszcie, a chwilę potem spadł na niego deszcz szklanych odłamków.

Ale on już nie czuł bólu. Niczego już nie czuł.

Odwrociłam głowę, czując, że robi mi się słabo. Barlier mnie podtrzymał. Ale zahartowani policjanci nie odrywali wzroku od ponurego widoku na dole, jakby wpatrywali się po prostu w jakąś osobliwą plamę, która rozbudziła ich ciekawość.

- Teraz rozumiem, dlaczego wszystkie francuskie filmy, które w życiu oglądałem, kończyły się samobójstwem - powiedział Disher.

Kiedy Bisson został zabrany w czarnym plastikowym worku, a policyjni technicy zrobili już zdjęcia, Monk zaczął zmiatać szkło z chodnika swoją oficjalną miotłą paryskiego przedsiębiorstwa oczyszczania miasta, którą schował wcześniej do bagażnika w samochodzie nadinspektora Le Roux.

Podeszłam do niego.

- Nie musi pan tego robić, panie Monk.
- Ale ja to lubię - odpowiedział. - To pomaga mi myśleć.
- O czym chce pan jeszcze myśleć? Rozwikłał pan obie zagadki.
- Jeden dzień później niż powinienem - stwierdził.
- Właśnie chciałam pana o to zapytać. Już wczoraj widział pan obraz w mieszkaniu Antoine'a Bisso-na. Dlaczego wtedy nic nie przyszło panu do głowy?
- Myślę, że byłem podwójnie rozkojarzony. Po pierwsze przeżyłem wstrząs, widząc pornograficzny portret Aimée Dupon, a po drugie byłem do głębi zniesmaczony wszystkim, co tam usłyszałem o obłąkanym i niehigienicznym trybie życia Luciena Bar-lier - tłumaczył Monk. - Miałas rację, Natalie. Tak bardzo chciałem, aby winny był Barlier, że nie potrafiłem spojrzeć na całą sprawę z właściwej perspektywy.
- Więc jak uświadomił pan sobie swój błąd?
- Dzięki temu - powiedział Monk, wskazując głową miotłę. - Jeździłem dziś po Champs-Elysées i w tej chwili niezmaconego spokoju, w tej chwili najgłębszej jasności widzenia, która zdarza się wyłącznie podczas najbardziej dokładnego sprzątania, nagle mnie olśniło. Przypomniał mi się obraz na ścianie i zdałem sobie sprawę, że mordercą jest Antoine Bisson. Kiedy przeminęło uczucie wstydu, dotarło do mnie, że muszę to jeszcze udowodnić.
- Bez talerza nic pan jednak nie miał - powiedziałam. Monk przytaknął.
- Myślałem, że nie ma już nadziei.
- Zawsze pan tak myśli.

- Ale wtedy przypomniałem sobie pusty pojemnik na śmieci przed salą jadalną i już wiedziałem, gdzie znajdę talerz - mówił Monk. - Wystarczyło, aby Bisson mnie tam zaprowadził, a w zapale obwiniania Luciena Barliera pograżył samego siebie.

- Nie rozumiem, dlaczego Bisson namalował u siebie w mieszkaniu obraz, który bezpośrednio wiązał go z morderstwem - zastanawiałam się głośno.

- To artysta. Największe dzieła biorą się z męki duszy.

- Pan to wie, bo...?

- Sam jestem pewnego rodzaju artystą. Nie w dziedzinie płótna i farb czy gliny, ale w dziedzinie rozwikływania morderstw.

Nie ulegało najmniejszej wątpliwości, że to właśnie psychiczne problemy Monka czyniły go tak doskonałym detektywem. Dlatego nie chciał zażywać dioxynlu (chyba że musiał wybrać się w podróż). Lek bowiem pozbawiał go jego czarodziejskich zdolności.

- Zresztą - ciągnął Monk - Bisson uważał, że jest jedyną osobą która widziała talerz w sali jadalnej.

- Ale przecież liczył na to, że pan rozpozna talerze w mieszkaniu Barliera.

- Liczył na to, że je znajdę - sprostował Monk. - Bisson nigdy się nie spodziewał, że z pełnym przekonaniem będę potrafił zidentyfikować po wyglądzie talerze, których wcześniej tylko dotknąłem.

Oczywiście, że Bisson się tego nie spodziewał. To mogły sprawić tylko jakieś moce nieziemskie, a Adrian Monk, jeśli się dobrze orientowałam, był jedynym człowiekiem na świecie, który je posiadał.

- Najwyraźniej pana dobrze nie znał - stwierdziłam.

- Za to ty znasz mnie chyba lepiej niż ja sam. Dostrzegłaś błąd, który popełniam, i próbowałaś mnie przed nim ustrzec.

- To działa w obie strony - wyjaśniłam. - Kiedy pierwszego dnia w Paryżu przeżyłam na ulicy załamane nerwowe, pan od razu wiedział dlaczego. Cieszyłam się, że jest pan obok mnie.

Monk podniósł na mnie oczy, nie przerywając zamiatania.

- Pomogłem ci?

- Tak - odpowiedziałam. - Pomógł mi pan.

- Między nami chyba powinno być na odwrót, prawda?

- Czasami nie wszystko dzieje się tak, jak sobie człowiek planuje, panie Monk - powiedziałam i wskazałam na karawan. — Niech pan zapyta Antoine'a Bissona.

Zostaliśmy w Paryżu jeszcze dwa dni. Przez jeden dzień musieliśmy składać zeznania na komendzie, aby policja mogła zamknąć postępowanie w sprawie obu morderstw. Drugi dzień należał już tylko do nas.

Spędziłam go jednak z Lucienem Barlierem, który na powierzchni okazał się równie znakomitym przewodnikiem jak w podziemiach. Do niczego nie doszło między nami, może poza niezwykłym pocałunkiem na pożegnanie.

W ostatni wieczór wróciłam do hotelu odprężona, w nieco melancholijnym nastroju. Bardzo chciałam już wracać do domu, a jednocześnie czułam smutek, że mam wyjeżdżać.

Jak się okazało, Monk czuł się podobnie.



Kiedy zbliżałam się do hotelu, zobaczyłam, jak z ogromnym ociąganiem oddaje kluczyki do *moto-crotte* Pierre'owi, który sam wyglądał na mocno przygnębionego. Cóż, pełnopłatny urlop pracownika przedsiębiorstwa oczyszczania miasta dobiegł kresu.

Po chwili Pierre odjechał swoim *motocrotte*, a Monk odprowadzał go nieszczęśliwym wzrokiem.

—Wspaniałe wakacje — powiedział, kiedy mnie zobaczył.

—To prawda.

—Właściwie cieszę się, że mnie zaszantażowa-łaś i zmusiłaś do przyjazdu.

—Dziękuję.

—Ale teraz już zniszczysz nasze zdjęcia, prawda? - zapytał.

—Oczywiście - skłamałam.

Zamierzałam oczywiście zatrzymać zdjęcia, na których oboje stoimy osmaleni dymem i ubrudzeni bagiennym błotem. Z powodów sentymentalnych. Nie miałam jednak zamiaru zawstydzać Monka, pokazując komuś tę fotografię, może poza Julie, ale nawet wtedy będę na niej musiała wymóc przysięgę na krew, że nikomu nic powie.

Może pewnego dnia, kiedy Monk pokona swoje fobie, znowu będę mogła mu je pokazać, i może doceni to, że dla potomności utrwaliłam w Niemczech rzadki moment, w którym byliśmy bliscy śmierci.

—Teraz, kiedy jest pan już doświadczonym europejskim turystą, może kiedyś pan tu wróci - powiedziałam.

—I znowu rozwiążę zagadkę jakiegoś zawilego zabójstwa - dodał rozmarzony.

—Może jednak będzie pan wołał cieszyć się wakacjami, nie licząc na czyjaś śmierć?

- Cóż bym wtedy ze sobą począł?
- Mógłby pan czyścić chodniki. Mech pan to dobrze przemyśli. Mógłby pan zostać pierwszym Amerykaninem w historii, który czyścił chodniki we wszystkich największych stolicach Europy. Ba. czemu tylko Europy? Dlaczego nie w Azji, Afryce i na Bliskim Wschodzie?

Monk pokiwał głową.

- Jest o czym marzyć.
- Wszystkim nam tego trzeba - skonstatowałam,
- Najpierw jednak musimy napisać nasze bardzo zjadliwe pismo.
- Jakie pismo? — Nie zrozumiałam. — Do kogo?
- Do rządu francuskiego oczywiście, na temat tego, co musi poprawić w swoim kraju. Masz przecież listę, prawda?
- Nie - odrzekłam. - Sądziłam, że pan robi listę, Tak naprawdę miałam cichą nadzieję, że z chwili lą gdy mój szef zajmie się morderstwami, zapomni o skargach i zażaleniach na francuskie obyczaje. Powinam była znać go lepiej.
- Nie szkodzi. - Monk postukał się palcem w głowę. — Na twoje szczęście mam niebywałą pamięć.
- Och, tak. Na moje szczęście.

KONIEC